

ZOFIA ROMANOWICZOWA

# SKRYTKI

INSTYTUT  

---

PARYŻ



LITERACKI  

---

1980

1982 W 448 / 43  
1982 W 153 / 5

Dragi Peim Janine

prawy epremlen z prawoy  
dedyheps tyd :

"<sup>EK</sup>  
SKRYTKI

w uadzi , re Peim zyaliwoŝc  
pnywne ni nasyte

zofie Romanowicz

Parys, 8.XI.1980

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 322

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

ZOFIA ROMANOWICZOWA

# SKRYTKI

*Tymonowi Terleckiemu*

INSTYTUT  

---

PARYŻ



LITERACKI  

---

1980



*„Można być wierzącym, a jednak  
stawiać sobie pytania, które  
wyglądają na heretyckie”.*

Josy Eisenberg





## I

Nieoczekiwana wizyta zakłóciła spokojny nurt ich niedzieli. Wolnej niedzieli. Nasłuchiwali. Pomiędzy odejściem młodej pary a trzaśnięciem bramy na dole mijało dziwnie dużo czasu. Razem myśleli — po co aż mówić? — czemu tamci tak długo marudzą na schodach?

Podeszła do okna, tego od ulicy. Uchyliła firankę. Ubiegła go.

— Ależ chłopak peroruje! Jak gdyby oprowadzał całą wycieczkę. Jednak ją interesuje głównie nasza brama...

Niczym specjalnym brama ich kamienicy się nie odznaczała. Może ta głowa nad nią, kamienna, o pustych oczach i warkoczu upiętym w koronę? Takich głów pełno było jednak nad bramami kamienic w ich dzielnicy.

— Zostaw. To głupio, tak za kimś wyglądać. Gotowi zauważyć i co sobie pomyślą?

Ale nie mógł się powstrzymać, by także nie rzucić na dół okiem. Młoda para zaglądała teraz do przeciwległego domu. Pokraczne kundle tamtejszej stróżki, wspinając się przednimi łapami na balustradę parterowego balkoniku, podniosły jazgot.

— Czy to była ta sama stróżka, wtedy?

— Ta sama. Psy chyba inne. Psy żyją krócej...

I równocześnie wycofali się w głąb pokoju, odepchnięci dziwnym uczuciem, że tam, na dole, w tej samej chwili, padło to samo pytanie, otrzymując identyczną odpowiedź.

— Myślisz, że oni się pobiorą?

— Pewno tak. Bo co?

— Bo ja tam myślę, że nie. Gdy powiedziałeś: „pańska żona”, on zaprotestował, i to jak energicznie! Nie ona.

— O co ci chodzi? Czy to nie wszystko jedno?

Prysnęła bańka słów, właściwie zbytecznych. Od lat tak wyglądały ich rozmowy. Parę zdań zamienionych półgłosem, parę wierzchnich słów, i zaraz równoległa cisza, równoległe milczenie. Bo gdy któreś znowu otworzyło usta, okazywało się, że myślą o tym samym, para nurków znoszonych jednym prądem, równocześnie wypływających na powierzchnię dla zaczerpnięcia oddechu.

— Ona jest w ciąży — orzekła, sprząając z niskiego stolika.

Tak, to było to. Dziewczyna nie chciała alkoholu, piła sok. Nie żeby już coś było po niej widać, gdy siedziała obok chłopca w luźnym swetrze wyrzuconym na dzinsy, drobna i szara. Brzydka. Właśnie, ta brzydota, jakby nie własna, jakby tymczasowo nałożona maska, pogrubiająca rysy. I oczy. Coś sennego, coś roztargnionego w spojrzeniu, które jednak równocześnie myszkowało po kątach sposobem samiczki rozglądającej się gdzie by tu zlec.

Chłopiec szukał śladów, porównywał to, co zastał u nich z tym, co mu zostało w pamięci. Dziewczyna kombinowała, jakby jej, im mogło tu być. We dwoje czy we troje. W pewnym momencie zabrała się nawet do otwierania na własną rękę drzwi ściennej szafy. Jej towarzysz aż syknął na nią. Słusznie, to już było zbyt bezceremonialne.

W ogóle chłopiec wydawał się bardziej speszony sytuacją, podenerwowany. Dla dziewczyny nie dość grzeczny, według ich staroświeckiego zdania. Jakby w jakimś z nią konflikcie. W stosunku do nich, gospodarzy, także dziwny. Uprzejmy, tak. No, łatwo mogliby być jego rodzicami. Ale to było tak, jakby chłopiec miał na końcu języka coś, co go jątrzyło, a czego nie śmiał powiedzieć. O coś zapytać?

— On by tu nigdy nie wszedł, gdyby nie ona.

— Myślisz?

— Nie myślę. Wiem.

Naprawdę wiedziała. Mogłaby odtworzyć całą scenę. Niedzielny spacer przywiódł młodą parę tutaj, w ich strony, całkiem, albo nie całkiem przypadkowo. Może chłopiec chciał pokazać dziewczynie dzielnicę związaną z jego dzieciństwem? — To tutaj — powiedział — ta ulica, ten dom. Ta brama. Tu mieszkali moi dziadkowie. Ale samemu nigdy by mu nie przyszło do głowy, by wejść. Wtedy ona wzięła go za rękę i wciągnęła na schody. — Czego się boisz, co się może stać? Zobaczmy, kto tam teraz mieszka, jak tam teraz jest. Najwyżej nas nie wpuszczą. A może w ogóle nie ma nikogo? W niedzielę? Po południu?

I to ona, z pewnością ona, nacisnęła guzik dzwonka, przesyłając sprawę.

Kundle stróżki uspokoiły się. Ciszą popołudniową, niedzielna, zapadła na ulicy i tylko z dołu doszedł tym wyraźniej odgłos salw, seriami i kwik koni, galopada westernu z telewizji sąsiadów. Lampy pozapalane wszędzie na intencję gości sztucznie przyspieszały wieczór. Gasiła je po kolei. Ustawiając z powrotem w niszy-barze umyte szklanki zobaczyła, że mąż stoi na środku pokoju i rozgląda się, jakby też dopiero co przyszedł tu z wizytą. Na zwiady.

— Jemu się pomyliło. Te drzwi były jednak tutaj, w samym kącie. Popatrz, rysa przebija spod farby w miejscu gdzieśmy je zamurowali. Nawet na logikę nie mogło być aż dwojga drzwi do kuchni na tej samej ścianie.

— A czy mogło być aż dwoje drzwi do łazienki, też na jednej ścianie?

Wyglądziła kanapę, podniosła jakiś orzeszek z dywanu. Już nie było śladu, że tu ktoś siedział, coś jadł, coś pił. Para obcych spojrzeń nie dawała się jednak tak łatwo zatrzeć, sprzątnąć.

Nie tylko rysa na ścianie, latami nie chcąc zagoić się blizna po zamurowanych drzwiach. Także podłoga, wówczas woskowana na jaśniej słońca przez malutką madame Durand.

— Podłogi chyba państwo nie zmieniali? — zapytał chłopiec.

Nie, skądże! Podłoga ta sama. O mało nie uniosła rogu dywanu, żeby mógł się o tym przekonać. Tyle że nie woskowana już, a pokryta werniksem. Pod powłoką mniej kłopotliwego do utrzymania szkliwa zachowało się unerwienie dębowych desek, pewnie tak starych jak dom, meandry wzdłuż których toczyły się kulki agatu. Przez te kiedyś toczone tutaj bitwy agatowe chłopiec zapamiętał sobie pejzaż podłogi, tak jak zapamiętywuje się pejzaże tapet i rys na suficie dzieciennych lat.

I lustro, także to samo. Jedyna rzecz po dawnych właścicielach. Wielkie po sam sufit, w połączonych ramach, o spękanej w drobną siateczkę, niedowidzącej miejscami powierzchni. Państwo Durand, dziadkowie chłopca, nawet im tego lustro nie odsprzedali, tylko niespodziewanie pozostawili po sobie. Pewno nie opłacało im się przewozić go na wieś.

Lustro — to samo — wisało na tym samym miejscu, nikt go nie ruszył. Za to mogli ręczyć oboje. Być może dziadkowie chłopca także zastali owe lustro tutaj, po dawniejszych jeszcze właścicielach, swoich poprzednikach? Może ono od zawsze tu wisało, rówieśnik domu, rówieśnik dębowej podłogi, kamiennej głowy nad bramą? Bierny świadek zmian?

Po krótkiej chwili zaskoczenia ulegli odruchowi gościnności. Jednak wnuk państwa Durand... Pozapalali lampy, pooprowadzali młodą parę po wszystkich pokojach, choć łóżko — wstyd! nie było zasłane, zaś porządek wszędzie względny. Na meblach kurz. Oni oboje w szlafrokach, jak starcy czy rekonwalescenci. Miała ciężki dzień, ciężki tydzień z tą grypą nie grypą, bólem głowy, dreszczami, bez gorączki. On też miał jakieś komplikacje w biurze. Ale to nie kurz, nie rozgrzebana pościel krępowały ją. I jego.

Bardziej krępował ich martwy ład w drugim pokoju, który wciąż nazywali w myślach, bo nie w słowach pokojem małego. Tam najpierw zgasła lampę, gdy tylko młodzi wyszli. Zamknęła tamte drzwi. Rzadko tam zapalali światło, rzadko zaglądali. Ten pokój był, ale jakby go nie było.

Tak jak ich mały. Był, ale nie było go.

Wszystko teraz wróciło do niedzielnej normy. Jedna mała lampka paliła się przy telewizyjnym stoliku. Mogła wrócić do łóżka, dalej kurować swoje przeziębienie. Mógł znowu zasiąść w fotelu i podjąć przerwana lekturę. Istna para emerytów, dla młodych zapewne komiczna. Spędzać niedzielę, w szlafrokach, wśród czterech ścian! W oczach niespodziewanych gości musieli wyglądać tak karykaturalnie, jak dla nich samych wygląda zwykle para prawdziwych emerytów z domu Jana, wakacyjnego ich domu, gdy człapiąc i szurając kapturami, w szlafrokach właśnie, zjawiają się rano na werandzie.

Wrócić do książki? Wrócić do łóżka? Zamiast tego snuli się po domu, jak nie u siebie. Rysa na ścianie, słoje podłogi, lustro, co jeszcze? Spojrzenie chłopca zamąciło ich poczucie własności, oczywistość zadomowienia. Niejasne formy poprzedniego tutaj bytowania przebijały od spodu, jak na kliszy, na której ktoś zrobił przez pomyłkę podwójne zdjęcie. Przeszkadzały, domagały się adiustacji.

Było im jakby nagle nałożyli cudze okulary. Albo jakby przytknęli do ucha muszlę Jana. Coś tu majaczyło, niewidzialne, coś szumiało, niedosłyszalne, coś poruszało się, zapomniane.

Na kanapą wisiał, w lepszej niż na to zasługiwał ramce, rysunek подарowany im w lecie przez starą nauczycielkę, zwaną przez Jana Picassem z Nîmes. Oczywiście widoczek. Pejzaż, wieża Cezara, droga ku niej prowadząca od domu za skałą, a na pierwszym planie murek werandy i właśnie owa muszla, biała, egzotyczna, na zwykłym swoim miejscu, odrysowana z portretową wiernością.

Dom za skałą... Niedługo tam jada. Jak co roku, jak co lata.

— Co to jest? — zainteresował się chłopiec.

— Ach, nic takiego. Pamiątka. Prezent od kogoś, kogo stale spotykamy na wakacjach w Sewenach. Widok z werandy, na której tam się jada.

— Państwo wybierają się na wakacje? Kiedy? — zapytali młodzi chórem.

Co za pytanie? Co może obchodzić tych nieznamych kiedy i gdzie oni wyjeżdżają? Nawet nie pamiętali, które z nich i jak na to niezwykle pytanie odpowiedziało.

Dziwna jednak wizyta, pełna zaskakujących pytań, gestów, zaskakujących zwierzeń i równie zaskakujących niedomówień. Ale nad czym tu się zastanawiać? Przyszli, pobyli i poszli.

Z irytacją nacisnął guzik telewizji. Tumult pogoni natychmiast zatrząsał pokojem. Konie, cwałujące dotąd piętro niżej, u sąsiadów, czekały tylko na to, by wpaść i do nich szarżę, czy w panice ucieczki. Ale ekran, przez chwilę która wydała im się dłuższa niż zwykle, migał pustką. Nacisnął drugi guzik. Tętent koni zastopował w miejscu, za to głos hermafrodyty załkał coś o miłości, też na ślepo. Więc nacisnął trzeci guzik nim zdążyła głośno powiedzieć, że na modnego piosenkarza również nie ma ochoty. Ekran zgasł zanim cokolwiek zdążyło się na nim zmaterializować, mózg o wyłączonej pamięci, pod kopytami koni zapadła się podłoga, ich tętent dochodził znowu z dołu, stłumiony, jakby sąsiedzi poowijali im teraz kopyta gałganami, tatarskim sposobem.

Zrobiła się prawie cisza. Znowu byli sami. Razem.

— Jeżeli ten chłopak miał wtedy siedem lat, to teraz ma dwadzieścia dwa. Wygląda na więcej.

— Cóż chcesz, z taką brodą...

— A my? — dalej myśleli równoległym nurtem. — Piętnaście lat temu? Jak mogło minąć aż tyle, tak szybko? Jak mogło w tak krótkim czasie aż tyle się stać?

Był w wieku chłopca, dziś, a ona mniej więcej w wieku dziewczyny, kiedy weszli tutaj po raz pierwszy. Z ogłoszenia. Obejrzeń mieszkanie, któreś z rzędu mieszkanie. Przeglądali wtedy rubryki ogłoszeń, biegali pod wszystkie możliwe podpaść adresy. Dzwoniąc do tych drzwi, przekraczając ten próg, wcale nie wiedzieli, że to jest właśnie ich dom. Pierwszy prawdziwy dom. I że tutaj to wszystko ich spotka.

Musieli szybko coś znaleźć. Nie mogli dłużej gnieździć się w jednym pokoiku na poddaszu, na placu Palais Royal. Ona była w ciąży. Jak dzisiejsza dziewczyna, jeśli babskie wyczucie nie myli.

Państwo Durand przyjęli ich ze starczą skwapliwością. Czy naprawdę byli tacy starzy, jak im się wówczas wydało? Dziadek oprowadzał ich, zachęcał. Zachwalał spokojną uliczkę, dobrych sąsiadów. O wygodach nie mógł mówić. Żadnych wygod, cienia tak zwanego komfortu, wszystko musieli zainstalować od zera. Ogrzewanie polegało na żelaznym piecyku z rurą wpuszczoną w kominek, węgiel donosił Durand z piwnicy, wiadrem. W łazience umywalnia, owszem, kran z bieżącą jednak wodą, ale zamiast wanny olbrzymia miednica, „tub” w stylu Colette. Obok, na starych, rdzawych kafkach posadzki pieńek z zatkniętą weń siekierą, zaskakująco wsiowy. Dziadek Durand rąbał sobie tutaj drwa na podpałkę. Niektóre kafelki przez to ucierpiały. Nie wymienili ich. Pasujących rówieśników trudno było znaleźć na poczekaniu, na zmianę całości nie mogli się zdobyć, są więc do dziś, jak były, splekane. Jeszcze jeden ślad.

Ale jak czysto! Jakie nasłonecznienie! Idealne. Słońce miało wschodzić w oknach kuchni, od podwórza, a zachodzić w oknach dwu pokojów od ulicy. To znaczy w oknie ich sypialni i w oknie pokoju małego.

Za to babcia Durand nie zachwalała niczego. Dreptała za nimi w pewnej odległości, spłoszona ich wizytą, zagrożona mysz, nie wypuszczając z rąk flaneli, z którą ją zastali, jak gdyby chciała trop w trop natychmiast zacierać po nich ślady. Jej w widoczny sposób mniej zależało na sprzedaży mieszkania.

Nic nie świeciło, wtedy, ani od podwórza, ani od ulicy, zmokli idąc pod ten adres, to pamiętali i pamiętali skwapliwość, z jaką staruszka odebrała im zaraz w progu kapiący parasol. Podłoga!

Podłoga rozpościerała się satynowym, miodowym jeziorem, lśniła. Wszystko tu zresztą lśniło, miedziane rondle w kuchni, ciężkie, masywne szafy i komody, blat owalnego stołu w jadalni poprzez oka dzierganej serwety sztywnej od białości. Nawet pieńek do rąbania drew błyszczał bokami jak jaki mebel, ani wiórka przy nim, ani trociny. Zapamiętali sobie te zewsząd połyski, choć na ogół mieszkanie wydało im się ciasne i ciemne. Zagracone.

I także zapamiętali szok, gdy — już po wyprowadzeniu się państwa Durand — przyszli tu po raz pierwszy sami otworzywszy drzwi wręczonym im uroczyście u notariusza kluczem. To było jakoś pod wieczór. Słońce zaglądało od ulicy, zachodząc, staruszek mówił prawdę. Wszystkie drzwi pootwierane na przetrzał, wydawało się, że to nie od słońca bije blask, lecz od

podłogi, którą madame Durand z pewnością przetała na odchodnym, na pożegnanie. Flanela wymownie leżała pod progiem.

Zaczęli obchód mieszkania, projektując przeróbki prawie szeptem, gdyż w pustce pokoiw każde słowo odbijało się krępującym echem. Przystanęli przed lustrem, zdziwieni że je widzą, zdziwieni, że ono ich widzi. Młodą parę. Jednomyślnie zaaprobowali je, postanowili nie ruszać z miejsca, było zbyt masywne i równocześnie zbyt kruche. Stare. Zamek ściennej szafy długo nie chciał ustąpić, narowisty. Do dziś tak się opiera, nie udało się przekręcić w nim klucza przed chwilą dziewczynie. Wymagał i wciąż wymaga wtajemniczonej ręki. Wreszcie ustąpił.

Szafa była pusta i czysta, jak wszystko tutaj. Paskudny, glansowany papier o brzegach powystrzyganych w ząbki wykleiła półki, nieskazitelnie. Tak samo czyste, ale teraz dopiero, po zniknięciu mebli, do reszty brzydkie były tapety. Ciemny brąz w beznadziejne ciapki. To one tak pomniejszały, postarzały mieszkanie.

— Dziwne — powiedział dopiero co chłopiec po pierwszych, zaambarasowanych wyjaśnieniach, po prezentacji. — W mojej pamięci było tu bardziej przestronnie. To mieszkanie wydawało mi się znacznie większe. Olbrzymie.

Poczuł się trochę urażeni, choć reakcja chłopca była klasyczna. W dzieciństwie wszystko wydaje się większe, kurczy się przy późniejszej konfrontacji. Ale jednak, cóż za porównanie! Te przepierzenia i alkowy, te surrealistyczne, bezcelowe pomiędzy nimi dublety drzwi, których nie można było całkiem otworzyć, bo zaraz obijały jakiś blat czy kant. Bardziej przestronne, wtedy? Przecież to oni wyczyścili, wykarczowali to mieszkanie, oni dodali mu przestrzeni, oddechu!

No, a taka chociażby biel ścian? Brązowe tapety Durandów spijały powietrze, dusiły.

Pierwszym ich gestem posiadaczy było oderwać cały płat w kącie. Poszło nadspodziewanie łatwo. Ale spod brązu wyrzała zgniła zieleń, a spod niej jeszcze coś i jeszcze coś, było tego z siedem warstw, siedem słoików, po których można by obliczyć kolejne remonty. Może kolejne żywoty? Zmiany mieszkańców?

Oddarty papier był gwałtem, strzępy i pył na podłodze świętokradztwem. Gdyby tak wróciła pani Durand, czegoś na przykład w jakiejś szafie zapomniawszy, albo choćby po lustro, ten widok rozdarłby jej serce.

Nie wiadomo czy by śmieli kontynuować, gdyby nie ciekawość. Spod ostatniej warstwy tapet, w tym akurat obdartym

do skóry miejscu, ukazały się drzwi. Jeszcze jedne drzwi. Nie zamurowane, zakamuflowane. Drzwi dokąd? W tak starym domu wszystko było możliwe. Bez żadnych więc zahamowań, niewczesnego zresztą zażenowania, gdyż i tak zamówieni już byli murarze, malarze, elektrycy żeby tu wszystko poprzebijać, przeinstalować, przeinaczyć, oboje i na wyścigi zaczęli zdzierać tapety płatami, podnieceni, jak kiedy się natrafia na utajoną skrytkę, wejście do lochu ze skarbami. Albo ze szkieletem.

To nie była szafa, tylko mała szafka, wygospodarowana w grubości muru. Nikt by jej się nie domyślił, żadna rysa jej nie zdradzała. Może sami państwo Durand nie domyślali się jej istnienia? Swoje brąz tapety nakleili po prostu na poprzednich, zielonych? Ktoś, kiedyś, ileś lat, ileś pokoleń wstecz postanowił zataić je. Ostatnia warstwa była nie papierowa, tylko płócienna, zetlała, czcigodne jakies, muzealne brokaterie. Bez koloru, bez wieku.

A jeszcze przedtem ktoś dorobił drzwiczki do niszy. Bo w założeniu była to raczej nisza niż szafka. Przekonali się o tym któregoś z następnych wieczorów, gdy pozostawione przez robotników narzędzia pozwoliły im wyważyć intrygujące drzwiczki. Woleli to zrobić bez świadków.

Na razie nie chciały ustąpić jej pilnikowi do paznokci, jego scyzorykowi, strzegąc tajemnicy. Więc dali im spokój i zaczęli buszować po reszcie mieszkania, drąc z ścian pasy bez litości, to tu, to tam, w nadziei dalszych odkryć, i niebawem duch pani Durand, którego ociągająca się obecność tak ich z początku krępowała, spłoszył się, przepadł, zabierając ze sobą zapach schludności i wosku. Teraz w promieniach zachodzącego od ulicy słońca zawirowały kolumny pyłu, zaśmierdziało starym klejem, rumowiskiem, papier kruszał, deptali po nim z beztroską wandalami i gdy zmęczeni opuszczali własne już, ale jeszcze nie swoje mieszkanie, tyle zostało śladów na zgwałconej podłodze, jakby przemaszerowała tędy horda maruderów.

Potknęli się o flanelę u progu.

A w niszy, w końcu, nie było nic. To znaczy był bukiet. Kształt bukietu. Rozsypał się w proch, ledwo go tknęli, rozlała się wstążka, którą był przewiązany. Ale, zanim go dotknęli, był. Cały czas był tutaj. Ukryty? Zapomniany? Niechcący, czy z intencją?

Tak skomponowane bukiety widuje się na starych obrazach. Martwa natura. Ciche życie.

W niszy uwolnionej od drzwiczek zainstalowali sobie pół bar, pół gablotkę. Pół dekoracyjnie, pół praktycznie. Leżały tam



różne pamiątki, mniej lub więcej fetyszystyczne, kamień znaleziony gdzieś w czasie wakacji z odciskiem ślimaka sprzed potopów, szklana ławniczka, też z Sewenów, a na dole parę butelek, parę szklanek, kieliszków. Pod ręką. Tam sięgnęła, gdy przyszło do poczęstunku młodej pary.

Chłopiec i dziewczyna certowali się. Niechętnie jakoś, niedowierzająco przyjmowali normalną chyba przecież gościnność. Może lepiej by im pasowało, gdyby przyjąć ich na stojąco, albo odprawić z kwitkiem od progu? Może chłopiec wolałby wcale tego progu nie przekraczać? W ten sposób raj jego dzieciństwa pozostałby nietknięty, jak ten utajony bukiet, bez zmian, bez niszczącej konfrontacji i nadal mogłoby mu się wydawać, że tutaj jest jak było, przestronnie, brązowo, woskowo, jak w owe niedziele, kiedy babka odkładała dla niego największą porcję czekoladowego tortu o nigdy już potem nie napotkanym smaku, a on wysypywał z woreczka kulki agatowe. Każda innego koloru, innej nacji. Toczyły się, zderzały, brały jedne drugie w niewolę, wszystko w pejzażu podłogi, na strategicznej mapie dębowych jej słoików.

O tych bataliach kulkowych napomknął i o torcie, golnąwszy sobie w zdenerwowaniu cały kieliszek martini, jakby to była wódka. Dziewczyna sączyła sok przezroczymi łyżkami. Nieufność, skrępowanie i jeszcze coś, co po odejściu młodej pary gości każde z osobna, ale przecież razem, usiłowali rozszyfrować. Niedopowiedziana jakaś intencja. Cel. Coś mieli na celu, na myśli, ci młodzi, z czymś tu przyszli, po coś, nie tylko z pielgrzymką. Coś, o czym pewno przedtem rozmawiali, naradzali się i o czym znowu zaczęli rozmawiać zaraz na schodach, na których zabawili tak długo, i na ulicy, pod domem, zadzierając głowy ku ich oknom. O czym pewno dalej rozmawiają, gdzieś w mieście, w tej samej chwili, gdy oni tu siedzą przed zasłą bielmem telewizją, każde w swoim fotelu, w swoim szlafroku, niezdolni nawiązać do spokojnego rytmu wolnej niedzieli.

— Oni tu jeszcze wrócą — orzekła.

— Po co?

Zaprotestował, żeby protestować, ale sam to pomyślał, równoległe. Dlaczego rozdrażniło go nagle ich myślowe od lat zgranie?

Więc żeby nareszcie przeciąć nieme, lustrzane rozważania, niepokoje niczym konkretnym nie usprawiedliwione i do niczego nie prowadzące, znowu włączył telewizję. Zagrzmiała apoteoza finału. Na ekranie zmaterializował się samotny jeździec oddalający się pustynią, jedyny ocalały z jakiejś masakry, szlachetny

mściciel, a może czarny charakter, bandyta. Mała i nikt pomiędzy wydmami, rozfalowanymi jak martwe morze. Z oktawy na oktawę wspiwała się wzwyż muzyka, rozsuwała panoramę pejzażu i wiatr, prześwistując instrumenty, zasypywał piachem ślady końskich kopyt.

## II

Pod koniec tygodnia, gdy wracała z biura, córeczka stróżki zabiegła jej drogę w bramie, wołając z daleka: jagoda!

— Jagoda? *Baie!* Powiedz: *baie!*

Nie wiadomo czemu poczuwała się do tego, by wtajemniczać małe jugosłowiańskie we francuszczyznę. Okazja, by trochę przy niej przystanąć. Dziewczynka była udana, ładna, rezolutna. I taka zdrowa! Odkąd zaczęła chodzić, podwórko przeobraziło się w klatkę żwawej wiewiórki. Jak dotąd nikt z lokatorów nie zgłaszał pretensji, że dziecko hałasuje.

— Be? — obraziła się mała. — Nie be! *Krasne!*

I odbiegła, unosząc w piąstce niedocenioną kulkę ostrokrzewu. Zaraz też jej matka uchyliła drzwi stróżówki.

— Jakaś pani pytała, kiedy państwo w domu. Ma wrócić. Pytałam co powiedzić i jak się nazywa. Jakoś tak Perier, Merier. Francuzka.

Perrier? Merrier? Kto to może być? Była zbyt zmęczona, by wypytywać stróżkę o szczegóły. Wróci, to wróci. Dźwigała torbę zakupów, zrobionych po drodze. Od poniedziałku do soboty schody robiły się coraz bardziej strome. Dziś nie mogła się pocieszać, że jutro niedziela. Nic dobrego nie czekało ich jutrzejszej niedzieli.

— Bee... *Baie...* — podśpiewywała dziewczuszka na dnie podwórka. Już chwyciła! Z bezbłędnym akcentem!

To nie była zazdrość. To była zazdrość. Ostre szydło porównania.

Stróże zamieszkiwali istną norę. Odkąd dom domem, nigdy słońce w ich okno nie zajrzało. Stróż popijał, czasami. Ona szyła, same rękawy albo same kołnierze, od świtu do nocy, przyciskając pęczniejący brzuch do wypożyczonej przez fabrykę ubrań maszyny. Ani się nie gimnastykowała, ani nie odżywiała racjonalnie, nie chadzała na higieniczne spacerki. Stróż, gdy popił,

poszturchiwał ją, czasem zwyczajnie bił. W niektóre sobotnie, wypłatowe wieczory studnia podwórka huczała słowiańskim wrzaskiem podchmielonego samca. I nic. Dziecko przyszło na świat normalnie, rychło też zaczęło dostawać sobotnią porcję lania. Trochę pisku i znów wybiegało na podwórko, zabeczane, zasmarkane, ale wesolutkie, podskakując, podśpiewując coś po swojemu. Rade z byle cukierka, byle jagody. *Krasne*.

Dla tej właśnie dziewczynki zdecydowała się wreszcie opróżnić półkę z ubranek małego, przechowywanych siłą bezwładu. Przez nie wiadomo jaki fetyszizm, na załazek nie wiadomo jakiej nadziei. Drugiego dziecka i tak przecież mieć nie będą. Nigdy.

Nie doceniła, na jaką próbę sama siebie tym darem wystawia. Niektóre sweterki, niektóre czapeczki sprawiały, że odtrącała dziecko z przerastającą rozum i chęci brutalnością, wbiegała na schody i zatrząskiwiała za sobą drzwi, jakby ją goniło widmo.

Na szczęście dziewczynka szybko wyrastała z odziedziczonych rzeczy. Następne, bardziej chłopięce ubranka małego przechodziły automatycznie na innych podopiecznych Konikowej.

Wstydlive utraty samokontroli — bo cóż ta mała była winna, że chowa się normalnie? — zdarzały się jej głównie po niedzielach, takich jak ta, która czeka ich jutro. Comiesięczna wizyta u madame Konik. Wracali stamtąd oboileli, jak po zmianie opatrunku, gdy spod brutalnie zdartego plastra pojawia się niezagojona rana i, nim ją nowy plaster dni opatrzy, doskwiera do żywca.

Przy kolacji przypomniał jej się meldunek stróżki.

— Ona tu dziś była. Ta dziewczyna. Wypytywała o nas. Wiesz, ta co przyszła zeszłej niedzieli z wnukiem Durandów.

Nie wiadomo skąd jej się nagle wzięła pewność, że to nie mógł być nikt inny.

— Nazywa się Perrier albo Terrier. Stróżka nie rozumiała dokładnie.

Nim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Rzucił serwetkę, podniósł słuchawkę. Chwila ciszy, oddychająca czymś oddechem, a potem stuk i sygnał odblokowanej linii.

Poirytowany wrócił do stołu. Takich pomyłkowych telefonów było w tym tygodniu parę. Raz nawet wyrwało ich z łóżka o północy i wspólnie narzekali na centrale, które coraz gorzej funkcjonują. Ale tym razem coś im powiedziało: to ona! To oni! Żadna pomyłka automatu. Wnuk Durandów i jego przyjaciółka.

Zbyt absurdalna była jednak ta myśl, by ją któreś głośno wyraziło.

Po kolacji zszedł jeszcze na ulicę, żeby sprawdzić coś w motorze. Udało mu się zaparkować samochód prawie pod domem. Gdy wrócił i mył ręce pod kranem kuchennego zlewu, wyczuła, że coś mu doskwiera.

— Albo mam przywidzenia, albo wnuk Durand tu się kręci. Mógłbym przysiąc, że to on. Stał na rogu i gdy tylko wyszedłem z bramy, odwrócił się i znikł.

— Zdawało ci się. Takich brodaczy w dzinsach pełno i z daleka wszyscy do siebie podobni.

Ale nie była tego taka pewna i dręczyło ją, jak ci młodzi właściwie wyglądali i czy by ich teraz, po tygodniu, rozpoznała. Dziewczynę chyba tak. Za to broda chłopca, zbyt stereotypowo rozczochrana, nie zdradzała, jakie rysy pod nią się kryją, jaki jest prawdziwy profil, zalezny przecież od kształtu podbródka.

Właściwie zapamiętała sobie głównie ich oczy. Ich spojrzenia. Między tymi spojrzeniami od czasu do czasu porozumiewawcze krótkie spięcie. No i ręce. Jego dłonie, nerwowe, pociągające się, sposób w jaki wyłamywał sobie palce, denerwujący przy tym chrząst. Gdyby się naprawdę znali, poprosiłaby go, żeby przy niej tego nie robił. To ją zawsze u ludzi drażniło.

Były to ręce miękkie i właściwie dziecinne, choć już męskiego formatu. Cała jego sylwetka była sylwetką chłopca, który wyrósł raptem, z dnia na dzień, i jeszcze nie jest przyzwyczajony do swoich dorosłych rozmiarów. Garbił się, potykał o własne, zbyt długie nogi. No i oczywiście miał poobgryzane paznokcie.

Pomimo to, a może dzięki temu, raczej sympatyczny.

Dziewczyna mniej. W ciąży czy nie w ciąży, ta mała musiała być sprytną, podstępłą kobietką, od samego urodzenia. Czy o złym wrażeniu przesądziło jej zdumiewające dobieranie się do cudzej szafy? Źle wychowana, po prostu. A może dochodziło tu do głosu coś podskórnego, właśnie podejrzenie o ciążę, a więc ten sam odruch, który kazał jej raz przytulać, a raz odpychać od siebie córeczkę stróżki?

Nie okazała dziewczynie burżuazyjnej dezaprobaty. No, nie za bardzo. Wstała i sama otworzyła szafę, umiejętnie przekręcając klucz w narowistym zamku. Skoro tacy ciekawi, niech popatrzą co jest i w szafie. Jak zwiedzanie to zwiedzanie.

W szafie był istny dodatkowy pokój, garderoba. Skarb, taka ścienna szafa w mieszkaniu. Prędko ją zresztą zamknęła, gdyż panował tam lekki nieład, jak wszędzie u nich, i stosy

prześcieradeł i bielizny nie były tak równiutko poukładane i poprzewiązywane wstążeczkami jak za czasów babci Durand.

Chłopiec aż wstał z kanapy i, chociaż sekundę przedtem skarcił dziewczynę, syknął na nią gdy sięgała ręką do klucza, teraz wpatrywał się we wnętrze szafy z niezrozumiałym napięciem. Co go obchodziła cudza garderoba?

Jemu jakoś mniej miała za złe niedyskrecję. W ogóle nie dość drażnił ją chrzęst wyłamywanych palców, niechlujna, zbyt wybujała broda nie dająca dostępu do prawdziwego oblicza. Jak przyprawiona. Gdyby tak znowu tu się zjawił, ogolony, niepodobna byłoby go zidentyfikować.

Tak samo nie od razu rozpoznała madame Durand wtedy, na schodach. Od ich zainstalowania się tutaj minęło już parę miesięcy. Państwo Durand po ostatnim spotkaniu u notariusza i wręczeniu kluczy nie dali więcej znaku życia. Zapadli gdzieś na wymarzonej przez niego emerytalnej wsi, nie dali adresu. Można by się wywiedzieć u notariusza, ale po co? Żadne listy do nich nie nadchodziły, zostawili pewno instrukcje na pocztę. Nikt do nich nie mógł telefonować, bo przecież za ich czasów nie było tu telefonu. Nie pojawił się żaden ich znajomy, nikt z rodziny, nie było nawet wiadomo czy mają rodzinę, dzieci, wnuki i gdzie. Znikli doszczętnie, tak z mieszkania, gruntownie przerobionego, jak i z ich pamięci.

Toteż kiedy ta zgarbiona kobiecinka w ciężkiej żałobie przyłgnęła w pół piętra do ściany żeby ją przepuścić, nie przyszło jej do głowy, że to może być dawna właścicielka ich mieszkania!

Schody były wąskie i kręte, jak to w starych domach, trudno było na nich wyminąć się dwu osobom. Bąknęła jakiegoś: przepraszam, pardon. Staruszka nie odpowiedziała, jej oddech świszczął, to był prawie szloch i mignęła jej wtedy myśl, że te schody nie nadają się dla osób w podeszłym wieku, ani też dla osób w ciąży. Sama się porządnie zasapała przy wchodzeniu.

Zamykając drzwi, spojrzała jeszcze raz. Kobieta w czerni tkwiła na tym samym stopniu, w pół piętra, uczipiona poręczą i patrzyła w górę z napięciem. Nie na nią. Na to, co za nią. Na wnętrze mieszkania, chwilę objawione.

Wtedy olśniło ją, kto to jest.

Zaraz zbiegła, zaczęła witać, przepraszać, zapraszać. Wszystko na nic. Pani Durand nie dała się namówić, nie chciała wstąpić ani na chwilę. Scena przedłużała się absurdalnie, trudno było aż tak nastawać. Więc w końcu ją zostawiła, w pół piętra, małą, czarną zmkłą mysz, zasapaną, może zapłakaną, o palcach tak wczepionych w poręcz, że aż pobiełały.

No i zamknęła drzwi. Co było robić? Choć głupio, komuś przed nosem drzwi zamykać, zwłaszcza przed panią Durand, zwłaszcza jej własne kiedyś drzwi, choć pozmieniali w nich zamki.

Korciło ją to jednak i po paru chwilach wyrzała przez wziernik. Ten wziernik, oko Judasza, także sami założyli. Postęp... W jego deformującej, kolistej soczewce już nie było nikogo. Więc jeszcze raz wyszła, żeby się upewnić, ale tylko mokra kałuża z parasolki została po pani Durand na stopniu, w pół piętra.

— Moi dziadkowie nie żyją oboje — powiedział chłopiec. — Dziadek umarł, gdy tylko stąd się wynieśli, nawet pierwszej wiosny nie doczekał na wsi, na fermie, dla której nabycia sprzedał to mieszkanie. Moja babka była bardzo nieszczęśliwa. Ona nie lubiła wsi. Wywiózł ją tam i zostawił. Mówił, że przywyknie, że polubi, że będzie im tam lepiej na starość, niż w mieście, że piętra, niewygody. Ale dla mojej babki całe życie było tutaj. Ona się nawet tutaj urodziła. Przeżyła dziadka o wiele lat. Nie na tej wsi, znaczy, tylko u nas, to jest u mego ojca, swego syna. Umarła miesiąc temu.

Widocznie dlatego zapragnął zobaczyć mieszkanie, w którym jego babka zostawiła serce, wspomnienia wszystkich epok życia. Lata sprzątań i froterowań. Może mu coś o tym przed śmiercią napomknęła. Urodziła się tutaj, może było jej ciężko gdzie indziej umierać. Może tu duchem wracała?

Trochę im się zrobiło niewyraźnie po tej rewelacji. Od wizyty młodej pary cisza domowa zrobiła się inna. Łapali się na tym, że nasłuchują: coś jakby szklany stukot agatowych kulek, coś jakby szelest flaneli zbierającej kurz z mebli. Nie, nie mogli sobie pozwolić na takie przerosty wyobraźni. Ten dom i tak był nawiedzany przez ich własne, rodzinne upiory. Przez krzyk małego.

Spotkanie na schodach musiało nastąpić zaraz po śmierci pana Durand. Stąd żałoba, na którą wtedy nie zwróciła specjalnej uwagi, gdyż starszka ubierała się chyba zawsze na czarno, w czymś raczej czarnym snuła się za nimi w czasie pierwszej ich wizyty. Na czarno-uroczyście wystąpiła u notariusza. Były to jednak czernie niedzielne, od elegancji, gdy tym razem była to czerń wdowia. Stąd ta jej wyprawa na dawne śmieci i ta stacja krzyżowa w pół piętra i te łzy. I odmowa. Rozsądna odmowa. Bo gdyby babcia Durand weszła do przeznaczonego mieszkania, spadłaby na nią dodatkowa żałoba. A tak mogła je do śmierci jako swoje, po swojemu wspominać.

Cóż za sentymentalne mury! Gdyż oni też przywiązali się do tego miejsca, wrosli w nie jak bluszcz i też nie zamierzali nigdzie stąd się przeprowadzać. Aż do śmierci. Tyle, że z tym

ich „aż do śmierci” było trochę inaczej. Oni, póki co, nie mieli prawa umierać. To naturalne prawo zostało im odebrane. Bo kto by odwiedzał małego raz na miesiąc, w niedzielę? Kto by płacił Konikowej za to, że go trzyma, że jest dla niego, zamiast nich, cierpliwa? Kto by sprawdzał, przynajmniej raz na miesiąc, że za tę stale podwyższaną, regularnie uiszczaną taryfę jest dla niego wciąż cierpliwa?

Owszem, wyprowadzą się stąd, ale dopiero za parę lat, na dobre. Na wieś. Zupełnie jak państwo Durand. I tak jak Durandowie, mieszkanie komuś za parę lat odsprzedają, żeby dofinansować dom na wsi. W Sewenach. Jan miał się dla nich za takim domem rozglądać. Może już upatrzył coś odpowiedniego?

Skąd aż takie tej soboty zmęczenie? Jutrzejszy wyjazd żaden wyjazd, ani przygotowań, ani bagaży, nic, wciąż ta sama w wiecznym pogotowiu torba, już podniszczona, z zacinającym się więc nigdy nie zamykanym suwakiem. W niedzielne poranki wyjazdowe automatycznie wyjmują ją z szafy i wstawiają do samochodu.

Cukierki dla małego kupowała w tygodniu, przy okazji i też automatycznie wkładała do owej torby. Madame Konik twierdziła, że on przepada za cukierkami. Tradycyjnie kupowała dwie torebki, druga torebka cukierków rozkładana była na codzienne raty, dla córeczki stróżów. Co do tej, bez niczyich zapewnień i gwarancji wiadomo było, że lubi. Wyrывała łakocie z ręki jak łakoma małpeczka i z wypchanym policzkiem dopominała się o następne.

— *Encore!* — jeszcze!

Tego też już zdążyła nauczyć się po francusku.

A ich mały? Jego ręka trzymała cukierek nie wiedząc, że trzyma. Co trzyma. Może nie wiedziała nawet, że jest ręką? Nie chciała wiedzieć, że jest ręką do chwytania, do trzymania, tak jak jego oczy nie chciały wiedzieć, że są do widzenia, ani język, że jest do mówienia, wszystko jedno w jakim języku.

Jego jedynym językiem był krzyk. Czyli bunt. Wycofanie się w chaos sprzed stworzenia. Gdyż na początku było Słowo. Dobry Bóg wyciągnął świat z chaosu Słowem. Przed początkiem, przed słowem: stań się, był chaos. Zły. I pewno Krzyk. Ich mały stoczył się w chaos sprzed pierwszego Słowa, sprzed rozdziału łądów i wód, sprzed pierwszego z siedmiu dni Bożej pracy. Jaki duch unosił się nad pustynią jego duszy, czyj krzyk kneblowany był prozkami, zamieniany w nieobecność? W odmowę istnienia?

Kiedy po pewnym czasie przestał odwracać głowę na ich

widok, zrozumieli, że to bynajmniej nie jest oznaka poprawy. Przeciwnie, skuteczniejsze wyeliminowanie. Mógł już na nich patrzeć, ponieważ przestał ich widzieć. Siedział w swoim krzeselku, schludnie ubrany, umyty, uczesany przez madame Konik, która dobrze wiedziała, że tej niedzieli rodzicielska inspekcja w drodze. Mały książę na bezludnej planecie.

Konikowa starała się, to trzeba przyznać. Może i przez resztę miesiąca, w powszednie dni i w niedziele, też się tak nim zajmowała? Gruba, czerwona, poufała, odwracała mu głowę w ich stronę, jak lalce, gruchając czule: kto to? Tatusz z mamusią przyjechali! Podaj rączkę!

Nie mogli, nie śmieli okazywać, że w tym traktowaniu go jak niemowlaka — a to już przecież duży chłopiec — było coś, co ich do reszty pognębiało, nawet obrażało i do czego nigdy nie mogli się przyzwycząć. Nigdy też nie prosili, by ich z nim zostawiła. Jej wulgarna, zawodowa macierzyńskość była im konieczna, jej pomiędzy nimi obecność zabezpieczeniem. Nie mieli odwagi zostać z synem sam na sam.

Madame Konik w jeszcze większym stopniu niż oni nie miała prawa przeżyć małego. Ją akceptował. Cukierka zjadał dopiero, gdy ona wsuwała mu go do ust, obranego z papierka. Jej pozwał się dotykać. Przywykł do niej.

Comiesięczne wizyty rodzicielskie robiły się z biegiem lat coraz krótsze. Konikowa reżyserowała je zresztą i reglamentowała według swego uważania, z autorytetem.

— No, już dosyć — mówiła. — Jużeśmy się nacieszyli tatuś i mamusią.

I albo ich wyprowadzała do drugiego pokoju, gdy był deszcz i dzieci urzędowały w kuchni, albo zostawiała go na dworze, siedzącego na krzeselku, zabezpieczonego zamykaną od przodu listwą.

To było trzecie czy czwarte już krzeselko tego typu. Mały wyrastał z nich jak z ubrań. Obecne też nie było jeszcze dorosłe, definitywne, Kto mu teraz zмайstruje następne, na miarę? Gdy nie ma Konika?

Madame Konik wprowadzała ich do kuchni, wycierała stół z rozmachem, nawet gdy był czysty, stawiała szklanki, butelkę jabłecznika własnej roboty. I nareszcie można było przystąpić do interesów, uregulować za następny miesiąc, zawsze płatny z góry, a także różne nieprzewidziane, zaległe wydatki, dodatki. I sobie pójść.

Interesów nigdy nie brakowało. Znaleźli pracę dla panny Konik, córki z poprzedniego małżeństwa madame. Sobowtóra matki. Korpulentna i przystojna, także bardzo słowiańska, wpa-



dała potem do nich w mieście najpierw za często, potem coraz rzadziej, na końcu wcale. Mieli niby roztaczać nad nią opiekę w Sodomie i Gomorze stolicy, ale szybko znalazła sobie lepszego opiekuna i wyjechała z nim gdzieś za morza, gdzie się w końcu podobno pobrali. Nie były im najmilsze jej wizyty, przeobrażenie się ze zdrowej wiejskiej dziewczyny w wyondulowaną ekspedientkę, a najgorzej znosili chyba przesadne podobieństwo do matki. Żeby chociaż była córką Konika!

Inny znowu krewny Konikowej, wujek, popijał, staczał się na coraz gorsze drogi, trzeba było ciągle go wyciągać z jakichś opałów. W każdym komisariacie powoływał się na nich jako na gwarantów. Ostatnio jakoś ucichło i z tej strony. Może przymknęli go na dobre? Ulga.

Gdy Konik zachorował, nie żalowali zachodu. Prowadzali go po specjalistach, pilnowali rezultatów analiz. Czego by nie zrobili, czego nie dali, by go ratować! Lubili Konika. Wszystko na nic. Zachorował pierwszy raz w życiu, zdziwiony, zażenowany że sprawia tyle kłopotu swoją osobą i cichutko, szybciotko, jak gdyby przez delikatność odszedł. Był i nie ma go.

Wdowa Konik miała komplikacje z rentą po mężu. Dla odmiany zabawiali się w doradców prawnych, pomagali jej pisać podania i wypełniać formularze. Przy jabłeczniku w kuchni najmniej w końcu było mowy o ich małym.

Co i lepiej. Bo jaka może być o nim mowa?

— Aniołeczek! — zachwycała się na wstępie Konikowa. — Żadnego z nim kłopotu!

Jabłecznik pienił się w szklankach, kwaskowy. Wyciągała rachunki, wyciągali gotówkę. Nie lubiła czeków. Przytomna. Bo podatki...

Wychodzili po kuchennej konferencji kiwając małemu z daleka, nie, nie trzeba żeby podawał rączkę na pożegnanie tatusiowi, mamusi. Oglądali się spod furtki. Siedział pod ścianą w swoim krzeselku, grzeczny aniołeczek, i patrzył przed siebie. Ani nie unikał ich widoku, ani ich nie odprowadzał wzrokiem. Ssał cukierek. Trochę kolorowej śliny spływało mu po brodzie.

Koło krzeselka łąziły kury przestępując z łapy na łapę, popatrząc to jednym, to drugim okiem. Brzęczały muchy i żuki, poruszały się cienie dzikich bżów. Inne dzieci Konikowej biegały, piszczały, w coś się tam bawiąc, mniej lub więcej zdarnie, jak które było stać. Sielski, wiejski obrazek.

Madame Konik zamykała furtkę za nimi, żeby kury i dzieci nie porozłaziły się po polu, jeszcze o czymś tam przypominając, co jej mają przywieźć czy załatwić. Wsiadali do samochodu.

Torba była pusta. I już. Na ten raz, na ten miesiąc mieli to z głowy.

Ale nie z serca.

W każdym razie Konikowa była ideałem. Lepsza niż początkowe kliniki, szpitale. Lepsza niż ich dom, w ich domu ów pokój z zamkniętymi drzwiami. Niż oni. Mieli szczęście, że na nią trafili.

Mały nie był u niej sam. Zawsze kwiliło tam jakieś niemowlę, nieślubne, albo odebrane przez Opiekę Społeczną niegodnym rodzicom, pijakom czy sadystom. Zawsze parę większych dzieci, mniej lub więcej obciążonych dziedzicznie, kręciło się po podwórku. Ich syn miał być ze wszystkich „najgrzeczniejszy”, madame Konik nie miała dlań słów pochwały. Nie to co tamte łobuziaki, z których ani oka spuścić bo zaraz jakaś głupota strzela im do głowy!

A jaki ładny! Pyszniła się jego urodą, jakby go sama rodziła. Był na pokaz i gdy zjawiała się u niej kontrola z Opieki Społecznej, zawsze najpierw demonstrowała czystość i grzeczność ich syna.

— Moje ty oczko w głowie! — mawiała przy nich, tuląc lalczyną głowę do swej obfitej piersi. Spróbowałyby tak któreś z nich małego do siebie przytulić!

Tak, mieli szczęście trafiając na Konikową. Długie, najdłuższe życie dla madame Konik!

Ile ona może mieć teraz lat? Była od nich starsza, niestety. Drugiego męża pochowała. Ale kwitnie. Zwłaszcza od śmierci Konika.

Konik był zamiłowanym rybakiem niedzielnym i dawniej, gdy jeszcze żył, w końcu nie tak dawno, parę miesięcy temu, podjeżdżali zwykle nad rzekę, by trochę przy nim posiedzieć. Miał swoje miejsce, wydeptana przez niego ścieżka prowadziła nad brzeg między krzakami tarnin i głogu, to w kwieciu, to w jagodach, zawsze w cierniach. Przysiadali obok niego na murawie i patrzyli na znoszony prądem pływak wędki. W odróżnieniu od żony był milczkiem. Razem z nim z ulgą milczeli. Ryba brała, albo nie chciała brać, połyskiwała pajęczynowa żyłka, połyskiwała łuska fal, jakieś ptaki poćwierkiwały w zaroślach, niebem przelatowały samoloty rysując na niebie krechy, długo czasem trwające nim rozdmuchał je wysoki wiatr.

Mogli tak siedzieć godzinami, bez słowa. Woleli skrycie, gdy ryba nie chciała brać. Ale nagle pływak podrygiwał, stawał dęba, coś brało się na przynętę, skubało robaka. Wtedy Konik umiejętnie podciągał wędkę dla wzmocnienia pokusy. Wstrzymywali dech. Wreszcie pływak dawał nurka pod wodę ze swoją ofiarą,

jeden sprawny ruch podrywał wędzisko i coś srebrnego, coś trzepoczącego wyszarpywane z wody, ze swego elementu, zataczało w powietrzu łuk i lądowało na murawie.

Odwracali oczy, gdy z rozdartej haczykiem rybiej gęby ciekła krew. Ryby słodkiej wody mają krew czerwoną. Para mieszczuchów, hipokrytów. Bo gdy połów był udany, nie odmawiali przyjęcia ryby na kolację, do domu. Jeść tak, ale wyrwać haczyk z gęby nie.

Konik zawijał im ryby w stare gazety i pewno nigdy się do tych darów nie przyznawał żonie. O wzięciu za to pieniędzy nie było mowy. Dawał bez słowa, i bez słowa widać było że się cieszy, gdy ma coś do dania.

Dawno nie jedli ryb na kolację w niedzielę. Teraz ścieżka musiała zarastać, może całkiem już zarosła? Ciernie krzewią się jak chwast. Nigdy na to miejsce nad rzeką nie wrócili. Po co? Spod furtki wdowy Konikowej jechali prosto przed siebie, dokądkolwiek. Zależnie od pogody, od pory roku, piknikowali w lesie, albo wstępowali gdzieś na obiad.

Mieli w tych stronach różne przyzwyczajenia, trasy spacerowe, wypoczynkowe polanki. Znali wszystkie zabytki, wszystkie kościoły i muzea okolicy. Na wzór tysięcy mieszkańców wielkich miast dotleniali się, opalali, zażywali ruchu. Każdy by ich wziął za zwyczajnych *weekend'owiczów*.

Za to przez resztę niedziel rzadko kiedy chciało im się ruszyć z domu. Szlafrokowali. Nabierali sił do następnej wizyty u madame Konik. Samochód służył im właściwie raz na miesiąc, po to głównie go kupili. No i ze względu na wyjazd do Janów, na lato.

Soboty poprzedzające wypad do Konikowej były trudniejsze od innych. Bardziej zmęczone. Kładli się wcześniej spać, zażywali proszki. Trochę czytali w łóżku, gasili światło gdy litery zaczynały rozpływać im się w oczach. Sen był jak czarna rzeka, zanurzali się weń, para śniętych ryb, niżej, głębiej, na samo dno. Dzięki proszkom żaden pływak nie unosił się na powierzchni, żaden robak nie wił się nadziany na haczyk, kusząc, wciągając w pułapkę. Telewizja sąsiadów z dołu huczała transmitowanym meczem. Od podwórka dochodziły pokrzykiwania pijanego stróża, czasem pisk małej. Wszystko zamazane, zamazujące się jak litery odrzuconej na podłogę gazety czy książki. I wreszcie nic. Głucho i ciemno. Sen, proszkowy sen bez snów. Nic im się nie śniło, nie krwawili.

Tej soboty, z tego snu, z samej jego pierwszej warstwy, pierwszej fazy, wyrwało ich ujadanie kundli z przeciwka. Te psy nie zwykły szczekać, gdy ktoś zwyczajnie przechodził ulicą. Pod-

nosiły larum dopiero wtedy, gdy ktoś obcy przystawał koło ich balkoniku.

To było jakby ostry haczyk wyszarpnął ich, półprzytomnych, z wody.

Nie zapalili światła. Leżeli nieruchomo, myśląc jedno o drugim, że może jednak śpi, może nie słyszało. I każde z osobna, oboje razem, byli pewni: to oni. Chłopiec i dziewczyna, goście sprzed tygodnia.

Dziwili się, wstydzili się tej myśli, absurdalnej, podejrzliwej. Odpychali ją, wzbraniali się połykać robaka.

Czyjeś kroki, kroki dwojga osób, oddalały się spiesznie ulicą. Psy zaraz umilkły. Telewizja na dole także już milczała. Musiało być po północy, koniec programów. Ale sen długi nie chciał rozstąpić się pod nimi z powrotem.

### III

Łało. Od rana łało. Chmury przetaczały się tak niskim pułapem, że deszcz nie miał dystansu żeby się rozpędzić i zsuwał się jednolitą masą. Nie padał, był; nie jechali, płynęli pod wodą. Wycieraczka nie nadążała z rozgarnianiem strugi. Nie deszcz, ale dżdż.

Gdyby nie to, że madame Konik należało się nie tylko za ten miesiąc z góry, ale i za następny, ze względu na wakacje, zostałyby chętnie w domu, w łóżku, nadrabiając niedospaną noc. Proszki jakby teraz dopiero zaczynały działać i poranna kawa nie wydobyła ich z otumanienia. Za oknem kuchni płynny ołów.

Toteż prosto od Konikowej wracali do miasta. Wcześniej niż zwykle, a dłużej niż zwykle. Tamy niedzielnych zatorów na autostradzie twardniały z powodu dżdżu. Pod samym miastem ruch zamarł na dobre.

Zgasił motor, zapalił sobie i jej papierosa. Włączyli radio. Ze wszystkich stacji ciurkały ciągutkowe piosenki, taka moda, już nie obłędny wrzask. Karetki pogotowia, straży pożarnej i policji drogowej przelatywały wydzielonym dla nich pasem. Daleko przed nimi niebieskie sygnały alarmowe pulsowały w wodzie. Wypadek.

Auta zbiły się w jedną masę, niecierpliwą rój blaszanych żuków. Odór spalin dusił, podtrzymywany wilgocią. Przed

nimi, na odległość maski, mały chłopczyk wiercił się i nudził na tylnym siedzeniu poprzedzającego ich samochodu. Wiózł kanarka. Klatka tuż przy szybie była zabezpieczona poutykanymi wkóło niej płaszczami.

Dziecko zagadywało do ptaka, wpuszczało mu przez pręty po ziarnku czy po okruszku, ale kanarek, nastroszony, też pewno znudzony jazdą, nie reagował. Podglądali tę scenkę, rozbawieni. W pewnym momencie matka odwróciła się ze złością i nie wiadomo z jakiego powodu uderzyła dziecko w twarz. Zapadło się między siedzenia.

Nie musieli wymieniać komentarzy, ten policzek odebrali jednakowo. Zresztą zaraz ruszyło.

Tak doszczętnie, tak do imentu wypalonego samochodu nie widywało się często. Pudło od konserw, nawet nie pogrucho-tane, osmalone. Puste. Bez opon, bez siedzeń w środku. A obok coś nie dającego się nazwać, określić, przyrzucone plastykiem. I odór. Odór palonych śmieci. Odór krematorium.

Tak doszczętnie spłonąć, pod taką strażacką ulewą? Kierowcy porozsądnieli, nikt już nikogo nie usiłował wymijać, nikt nie zajeżdżał nikomu rybim poślizgiem przed nos, przed maskę, tak że do samego tunelu dojechali w tym samym rzędzie, za samochodem z kanarkiem i z chłopczykiem, który wychynał spo-między siedzeń pocieszony, choć bynajmniej nie poskromiony. Dalej wiercił się i drażnił ptaka i rodziców. Zapewne klapsy i policzki były dla niego czymś powszednim.

Przez ten deszcz wracali wcześniej, chociaż u Konikowej tym razem dłużej siedzieli niż zwykle. Mały był chory. Nic groźnego, jak twierdziła z pewnością fachowej piastunki. Przy takiej psiej pogodzie nietrudno o zaziębienie. Rzeczywiście, sama czuła się zagrypiona poprzedniej niedzieli. No i przeszło.

Ale chłopiec miał gorączkę. Dużą gorączkę. Pod wpływem temperatury wydawał się prawie normalny. Spał. Zamknięte powieki kamuflowały nieobecność spojrzenia. Długie rzęsy rzucały wdzięczny cień na policzki. Usta drgały, jak gdyby przez sen, przez gorączkę, chciał, nareszcie chciał i mógł coś powiedzieć.

Może mówił? We śnie?

Madame Konik rozwodziła się nad biednym aniołeczkiem, takim grzecznym, nawet gdy chory. Lekarz, wezwany przez nią poprzedniego dnia, przepisał antybiotyki. Zwykła grypa. Nie ma czym się niepokoić. Reszta trzódki też się przechorowała i proszę, już biegają. Do nich nie wzywała lekarza. Ale państwo tak drżą o synka... No i nie liczą się z kosztami...

Dzieci biegały rzeczywiście jak rozmnożone, nudziły się, ha-

łasowały, nie przejmując się zapowiedzianą lania. Dobrze wiedziały, że przy gościach, póki co, żadne wielkie sankcje im nie grożą. Trudno było, kaszlące jeszcze, wyrzucać na podwórko, psa by nie wygnać. Nie mogła też Konikowa zamknąć ich w pokoju, gdzie tymczasem aniołeczek tak słodko spał.

Poprosili ją jednak tym razem żeby, nim przejdą do kuchni, do interesów, pozostawiła ich na chwilkę samych przy jego łóżku.

Spał. Śnił. To był sen paradoksalny, owa faza snu, w której coś się dzieje, coś się przeżywa. Gałki oczu biegały pod błonką powiek. Coś musiały widzieć. Wargi układały się do słów. Coś musiały formować, jakieś dźwięki, formułować jakieś słowa. Gorączka i sen, odgradzając go, paradoksalnie przywracały go światu. We śnie widział, mówił, żył. Na jakim świecie?

Chciała nasunąć kocyk, który mały odrzucił, ale mąż przytrzymał jej rękę. Zrozumiała. Jeśli ruch przebudzi chłopca, jeśli oczy mu się otworzą, okaże się, że nic się nie zmieniło, bo nic się zmienić nie mogło. Że w tych oczach nie będzie spojrzenia. A tak mogli sobie choć przez moment wyobrażać. Łudzić się, że jemu się coś po ludzku śni.

No a gdyby, wyrwany niebacznie ze snu, wyczuł nie patrząc, nie widząc, że to oni i wpadł w jeden z tych ataków prawie epileptycznej złości... Bo przecież właśnie ich obecność najczęściej to prowokowała. Nie mogli sobie wyperswadować absurdalnej myśli, że czymś zawinili, że przez nich, specjalnie od nich odwrócił się i wycofał ze świata.

Drgania oczu, ruchy warg musiały być w jego wypadku czysto fizycznym objawem. Bez treści. Paradoksalnie. Bo przecież w takiej fazie snu interpretuje się podobno to, co się przeżyło na jawie, dopisuje się ciąg dalszy, komentarz do minionego dnia, do minionych dni. Jego dni były puste, od lat. Niczym nie zapisane. Czym więc mógłby zapełniać sny?

Na samym odchodnym nie mogła jednak oprzeć się chęci i ostrożnie ujęła przegub dłoni zwisającej poza krawędź łóżka. Puls trzepotał, szybki i słaby. Gorączka znowu pieła się wzwyż.

Kiedy to ostatni raz miała taką okazję, kiedy czuła pod palcami znajomą, własną skórę, kiedy mogła sobie pozwolić na pogładzenie dziecinnej ręki?

Wyszli na palcach, zamykając ostrożnie drzwi. Konikowa już przecierała stół, napełniała szklanki jabłecznikiem. Reszta jej podopiecznych, podejrzanie grzeczna, porozsadzana była po kątach. Musiał tu się odbyć doraźny wymiar sprawiedliwości.

Gdy biegały po dworze, nie było tak bardzo widać, że każdemu z nich czegoś brakuje. To były dzieci niewydarzone, na-

znaczone. Niechciane. W najlepszym razie potomstwo alkoholków. Sięgnęli po jabłecznik, który nigdy im specjalnie nie smakował, ale nigdy nie był tak trudny do przełknięcia jak teraz, gdy każdy łyk obserwowany był przez stare oczy spod tępych czół, imitowany połykaniem na pusto. Nie miały prawa do jabłeczniaka. Słusznie, zawsze w tym pewien procent alkoholu.

Te dzieci były jednak obecne. Miały chęć popić sobie, śledziły ich ruchy, podsłuchiwały rozmowę. Każde trzymało w ręku jakąś tam swoją zabawkę i widać było, że mimo respektu dla metod wychowawczych madame Konik spokój i grzeczność długo nie potrważą.

Wyjęła z torby cukierki. Na ten widok stado małpek poderwało się, obległo ją, wyciągając ręce.

— Pani mi je psuje — protestowała Konikowa. — Objędzą się słodczy, to im nie będzie smakowała zupa.

Ustalili, że madame Konik zadzwoni do nich w tygodniu, z wioskowej poczty, gdyby stan małego się nie poprawił. A nawet jeśli się poprawi, niechże będzie dobra i tak zadzwonić. Na ich koszt, oczywiście. Bardzo im na tym zależy. W każdym razie w przyszłą niedzielę zawadzą tutaj w drodze na wakacje. I niech w razie czego nie waha się znowu wezwać lekarza.

Wstąpili potem na kawę do oberży, gdzie przed Konikową zjedli pospieszny obiad. Tuż przy katedrze. Jeszcze nie było posprzątane, brudne talerze, kieliszki, pomięte, kraciaste serwetki zaśmiecały stoliki. Pachniało frytkami na nieszczególniej oliwie. Gardziel kamiennej maskary za oknem rzygała deszczem.

Tym razem nie odczuwali zwykłej ulgi po odbyciu niedzielnej wizyty u syna. Chłopiec siedzący pod ścianą w cieniu dzikich bzów nie potrzebował ich, ani ich chciał, ani ich nie chciał. Zostawiali go z poczuciem spełnionego obowiązku, właśnie z ulgą. Zapłacili, omówili co trzeba, wypili po szkłance jabłeczniaka i koniec. Nic tam więcej nie mieli do roboty.

Dziś było inaczej. Dziś powinni byli może zostać, posiedzieć przy jego łóżku, potrzymać go jeszcze trochę za rękę. Może to w jego sen jakoś jednak przenikało, może jego samotność, nieforemny chaos sprzed stworzenia, sprzed pierwszego Słowa, te wody w które im się kiedyś wymknął i bez ratunku zanurzył, może jednak przepuściłyby ich pragnienie, by dotknąć go, by mu dać znać o swojej miłości? No i choćby od strony praktycznej: czy madame Konik dostatecznie pilnuje godzin, w których należy dawać antybiotyki? Jak ona to robi? Budzi go bez ceregieli, wkłada mu pastylkę do ust, sprawia że on to połyka, że

popija wodą? A czy antybiotyki godzą się ze zwykłymi, koniecznymi dlań środkami na uspokojenie?

Mieli do niej zaufanie. Do jej wprawy, do skuteczności jej gestów. Oni by tak nie potrafili. Nie śmieliby. Ale posiedzieć przy nim jeszcze trochę jednak by mogli. Na samym brzegu jego paradoksalnego, gorączką sztucznie ożywionego snu.

Bardziej niż kiedykolwiek pozazdrościli Konikowej poufałości z biernym ciałem ich syna. Nie tylko w chorobie. Umiała kąpać go, ubierać, karmić. Bez drżenia, bez problemów.

Mały chodził. W tym się nie cofnął. Ale trzeba było go prowadzić, bo nie wiedział gdzie idzie, że idzie. Był czysty. Ale należało pamiętać o funkcjach jego żołądka. I tak mieli szczęście. Bywa gorzej.

Zapisała sobie na karteczce: pizamy. Pizama, w której leżał, miała za krótkie rękawy. Rósł. Stare przejdą w spadku na inne dzieci Konikowej. Czysta dla niej oszczędność, Opieka Społeczna przewiduje przecież budżet na garderobę swych pupilów.

Najgorsze — ale czy najgorsze? — że jeśli ta grypa się przeciągnie, jeśli nastąpią, broń Boże, jakieś komplikacje, będą mieli zatrute lato. Dzisiejsza wizyta miała być pożegnalna, przedwyjazdowa. Trudno. Wstąpią tam w przyszłą niedzielę, po drodze, choć to wcale nie po drodze, i zobaczą. Konikowa ma zresztą zadzwonić. Obiecała. Głupio, że u niej nie ma telefonu. Przy takiej ilości „społecznych” dzieci powinna by mieć pierwszeństwo w ministerstwie poczt i telegrafów. Ale ferma Koników leżała na uboczu, kosztą doprowadzenia linii, ilość słupów czy kabli, wszystko to opóźniało instalację.

Fermy właściwie jakby już nie było. Obora stała pusta, z jedną tylko mleczną krową ze względu na dzieci. Cały zeszły rok pola przeleżały odłogiem. Tej wiosny zajął się nimi sąsiad. Zastawali go czasem w kuchni, w najlepszej z wdową komitywie. Nie spodobał im się, patrzył spode łba i nie pił żadnego jabłecznika, tylko calvados. Konikowa promieniała, odmłodzona, w sukni z niewczesnym przy czerni dekoltem, skutkiem tego w biały dzień jakby wieczorowej, z biustem odsłoniętym jak na bal. To był jej strój galowo-żałobny, podejrzewali że sięgał czasów pierwszego nieboszczyka.

Sąsiad dużo od niej młodszy, kawaler. A jeśli się pobiorą? Apetyczna wdowa, majątek. Pola. Że coś już między nimi było, to pewne. Nie tylko ona babskim okiem, on także to zauważył. Trzecie małżeństwo Konikowej mogło wszystko zmienić, odnowić ich problem, wydawało się załatwiony na lata.

Na razie to chyba nie groziło, sprawa renty po Koniku nie



była jeszcze całkiem załatwiona, ani postępowanie spadkowe. Stale jednak widywali na rzeźbionym przez Konika kredensie kuchennym butlę calvadosu i dwa kieliszki w pogotowiu. Sąsiada w własnej osobie spotykali coraz rzadziej. Ich wizyty były ustalone z miesiąca na miesiąc i Konikowa musiała wyczuć, że sąsiad niezbyt im odpowiada. Czasem dostrzegali go, jak przemyczał się obejściem, ledwo ich samochód zajeżdżał przed furtkę. Pewno pospiesznie go odprawiała. Prywatny aniołeczek bardziej był dochodowy niż reszta dzieci, do których żadni rodzice w żadne niedziele nie dojeżdżali sprawdzać, czy im dobrze. Nie chciała zrażać sobie takich klientów.

W związku z pojawieniem się na horyzoncie sąsiada, ich tegoroczne plany wakacyjne jeszcze wyraźniej nabrały aspektu wyprawy po dom. Wiejski dom gdzieś na uboczu, nie za bardzo ludziom na oczach, ale też i tak, żeby w razie czego lekarz był osiągalny. Jakaś pewno ruina, ze względu na stan ich finansów. Za parę lat podklepią go, urządzą, żeby był gotów. Do emerytury sporo jeszcze lat, niestety. Tam się potem przeniosą z małym. Już dużym wtedy.

Zupełnie jak ongiś państwo Durand. Wizyta młodej pary uprzytomniła im tę niewesołą analogię.

Tak, na wsi, z dala od ludzi, choć nie na odludziu, bez obowiązków biurowych, przymusowej, całodziennnej nieobecności. Tam będą mogli nareszcie zająć się nim jak trzeba. Może jego stan poprawi się przy okazji dojrzewania? Lekarze znali takie wypadki, choć nie robili wielkich nadziei. Ale cóż w końcu wiedzą lekarze? Niczego nie mogli orzec, co by ściśle przystawało do wypadku ich syna, sami też niczego całkiem pasującego nie znaleźli w książkach. Mieli całą bibliotekę na ten temat. Co w nich było? Rozdziały, podrozdziały, etykiety. Jaką etykietkę przylepić dziś na czole ich syna? A jutro?

Problem w tym, że on przez te lata jeszcze bardziej przywyknie do madame Konik. Nie przywiąże się, właśnie przywyknie. Po roślinnemu, nie po ludzku, nawet nie po zwierzęcemu. Jak zareaguje na zmianę? Każda zmiana to dla niego zagrożenie, w tym zgadzali się wszyscy lekarze i wszystkie książki. Oczywiście, Konikowa nie wieczna, ale nie dopuszczali myśli, że może zwyczajnie zachorować i umrzeć, jak Konik. Za to jeśli wyda się *tertio voto* za sąsiada, kto wie czy zechce kontynuować hodowlę dzieci? Czy sąsiad zechce te biedactwa u siebie tolerować?

Tym pilniejsza sprawa, żeby już coś mieć, coś zacząć przygotowywać, na wszelki wypadek.

Wszelki wypadek? Oni także nie byli wieczni. Chociażby ten oto spalony samochód. Mogli byli w nim być, gdyby na przykład nie zatrzymali się na kawę w oberży koło katedry.

Czyli nie być. Już teraz, już dziś.

Nie pierwszy wypadek drogowy, którego byli świadkami w niedzielnych i wakacyjnych rozjazdach, ale jakoś zrobił na nich większe wrażenie. Cała ta niedziela, pod strumieniami deszczu, który żadnej ulgi nie przynosił, bo nic z obłych, niskich chmur nie ubywało. I te zatory. No i choroba małego, gdy fizycznie był okazem zdrowia, nic go się nigdy nie czepiało, ani katary, ani niestrawności. Gorączka, paradoksalny jego sen...

Taka gorączka kiedyś im go odmieniła. Przez jedną noc. Na zawsze.

Nie od razu pojęli co się stało. Zachorował im normalny syn. Normalne dziecko. Nic groźnego. A w środku nocy z jego pokoju ktoś krzyknął wielkim głosem. Może jeszcze on, ten sam, właśnie tonący w wodach chaosu, a może już nie on. I wyzdrowiał ktoś obcy. Jak w bajce o złośliwych skrzatach, które podkradają ludzkie dzieci, a na ich miejsce podrzucają odmienne.

Nie było ani szpary pod ich domem, zaparkowali samochód dość daleko, na ulicy de Turenne. Woda ciekła z parasola na schody, zdążyła uformować sporą kałużę, zanim się uporał z zamkiem. Klucz przestał nagle pasować, jakby także zamókł.

— Dziwne — powiedział. — Czyżby ktoś próbował dobrać się tu wytrychem?

Kradzieże i włamania stały się nagminne, rozprawiły o tym stróżki w całej dzielnicy.

Prędko pozapalali światła. Nie, wszystko w porządku. Dom czekał, ciepły, suchy, swój, bez śladów czyjejkolwiek obcej obecności. Czekały szlafroki, pantofle, czekała telewizja. Było stonkowo wcześnie. Nie mieli wolnej niedzieli. Będą mieli wolny wieczór. Wyjęła z niszy szklanki, słoności, butelkę. Trzeba jakoś i rozgrzać się po deszczowej wyprawie i trochę zalać robaka.

Bez słowa siedli każde w swoim fotelu, ze swoją szklanką w ręku. Nie włączał telewizji. Z dołu dochodziła muzyka, poważna muzyka, szeroka, tak mocna, że nie chcieli mieć jej bliżej uszu. Raz coś dobrego w programie. Bijący o szyby deszcz stanowił jakby akompaniament i nie wiadomo było czy gromy stanowią część symfonii czy też włącza się zagniewane niebo.

#### IV

Wieści były pocieszające. Konikowa zadzwoniła z poczty zaraz w środę. Antybiotyki zadziałały, gorączka spadła. Lekarz zalecił wprawdzie jeszcze parę dni w łóżku, na jogurtach i witaminach, ale przy tej pogodzie i zdrowego na dwór by nie wypuszczała. Gotuje dla aniołeczka specjalne rosółki. Wcale nie muszą wstępować w niedzielę. Taki objazd, taka niedogoda! Odwiedzą syna, całkiem już wydobrzałego, po wakacjach, jak zwykle.

— Zobaczmy! — odskrzykiwała. Madame Konik po wiejsku wrzeszczała do telefonu, to było zaraźliwe. — Porozumiem się z mężem. Może jednak wstąpimy? Gdyby pani łaskawie zadzwoniła raz jeszcze w sobotę. Wyjeżdżalibyśmy spokojniejsi. Czy naprawdę gorączka spadła? Żadnych komplikacji?

Telefon zaniósł się jazgotliwą urazą Konikowej. Albo to pierwsze dziecko choruje u niej i zdrowieje? I bez doktora wiedziałaby, co mu trzeba. Wcale państwo nie muszą nakładać drogi. Pani bledziutka, pan nerwowy, niechże sobie jadą prosto w te góry czy gdzie i niech śpią spokojnie. Małą grypką tak się przejmować! Zresztą już tak jak po grypie. Szkoda nawet dnia urlopu.

Może i racja? W piątek, po kolacji, rozłożyli na stole mapy, mocno już podróżami sfatygowane. Wakacyjna trasa wywijiała się z miasta na południe, słoneczną autostradą, nie północną, jak do Konikowej. Inny wyjazd, inna marszruta. Nie sposób byłoby dobić na noc do Jana przy takim objeździe. Trzeba by wysłać depeszę. Tam też nie było telefonu. Jan i Maria gotowi czekać na nich do rana, zamartwiać się, że po drodze przytrafiło im się coś złego...

Więc jak? Jaka decyzja? Każde miało tyleż za, co przeciw, te same za i te same przeciw nagłej zmianie planów. Na wszelki wypadek studiowali ewentualny objazd. Trzeba by szerokim kołem, małymi drogami, nawrócić z północy na południe. Przebijanie się z powrotem przez mgławicę przedmieść, przez twarde jądro miasta, zabrałoby z pewnością więcej czasu.

W sumie dwie setki kilometrów więcej.

A może by tak wrócić od Konikowej do domu, przenocować i właściwe wakacje zacząć od poniedziałku? Jeden dzień różnicy. Ale...

Gdy dojeżdżało się do Janów, niebo ulatywało wysoko, przezrocyste, pozbawione ciężaru i góry coraz tłumniej wychodziły

naprzeciw, granatowe, jagodowe, obłe grzbiety skamieniałych mamutów. Doliny to otwierały się szeroko, morskie dna wysuszone dla przedpotopowych Mojżeszów, to rozpękały w przepastne, ciasne szczeliny. Gdy czasem prysnął kamień spod koła, spadał bez żadnego oparcia ni etapu aż do potoku rwącego gdzieś na dnie. Kasztanowce powiewały jasnymi, dokwitającymi kiściami, zielone, kolczaste dęby przytrzymywały głowy w powykrecanych korzeniach. Skąd brały ziemię, soki te wszystkie korzenie wessane w jałowość skał? Droga stawała się coraz bardziej kręta, ciasno oplatała zbocza, potrafiła wielokrotnie opasać jedną górę, nawet nie taką wysoką, nim przerzuciła pętlę na następną i za każdą przełęczą otwierały się nowe perspektywy, szerokie, szczodre, do zawrotu głowy. Niekiedy wydawało się, że pędzą samobójczo wprost na skalny mur, ale zawsze w ostatniej chwili objawiało się jakieś przejście, ucho igielne.

— Popatrz! — wykrzykiwała. — Nie, nie patrz, prowadź! Uważaj!

Zwlekał z zapaleniem świateł, żeby przedłużyć ową szczególną chwilę, już po zachodzie słońca, gdy noc paruje białą mgłą z dolin, z przepaści, z lasów, ale niebo wciąż promieniuje zapasami blasku.

Pierwsze gwiazdy wytryskiwały pojedynczo, mokre, przezroczyste krople niebiańskiej rosy. Wreszcie z daleka, z przeciwka jakiś samochód dotykał ich ruchomym ramieniem reflektora. Znikał, pojawiał się znów, wyżej, niżej, bliżej. Wtedy i on zapalał latarnie. Auta mrugały do siebie porozumiewawczo, wymijały się z ostrożnościami, tak wąsko bywało, tak ryzykownie. I nagle okazywało się, że już jest noc.

Przejeżdżali jeszcze jedno, ostatnie miasteczko, placyk pod platanami stojącymi równo w szeregach, jak na warcie. Sklepy pozamykane, pozawierane okiennice. Czasem jakaś zakochana para spacerowała wzdłuż potoku nie wiedząc o Bożym świecie i trzeba było parę razy zatrzeć, nim uskoczyła ku skale. I zaraz po lewej stronie drogi pojawiała się wieża Cezara, na szczycie wzgórza, na tle wciąż jeszcze nasyconego jasnością nieba i gwiazda, zawsze ta sama, wpięta w szczyrbate jej czoło, Wenus, gwiazda pasterska.

Jeszcze jeden zakręt, jeszcze drugi i już mostek i skała, za którą droga, mała, boczna dróżka, skręcała pod samobójczym kątem. Trzeba było wiedzieć by tam trafić, nawet za dnia.

Za skałą, plecami do niej przyparty, ukrywał się dom Jana.

Nie dom ale świat. Inny świat ukrywał się za tą skałą. Dolinka schodząca ku potokowi, zaskakująco żyzna oaza, ogródek

warzywny, nawet półko tytoniu o wielkich, mięsistych, trochę buraczanych liściach, wszystko zawdzięczające życie źródłu, które niedaleko, pomiędzy paprociami, tryskało z pogańską radością podczas największej posuchy.

Tam oddychali. Prostowali się. Na miesiąc odpadał im z pleców garb.

Zależało im na tym momencie dojeżdżania, lubili podróż kończącą się, gdy zapada noc. Wsiadali z samochodu. Powietrze uderzało do głowy, po południowemu korzenne, po górsku rześkie. Na werandzie rozpięty gęsto winograd zastępował dach, liście i grona zwisały teatralnie, renesansowo, lampa razem z winnym szczepem zahaczona o bambusowe pręty ściągała tłumami ćmy. Było nakryte do stołu. Ledwo umyli ręce, a już Maria nalewała zupę, trzymaną dla nich w ciepłe, na blasze. Jan nalewał wino. — Nie ciężkie — mawiał — nie krzywdzi. Wino było miejscowe, cierpkawe. Atramentowe. Pierwszy łyk drapał w gardle, z każdym następnym lepiej smakowało, w końcu smakowało jak żadne.

— Jeść i spać! — dyrygował Jan, choć najchętniej przegadałby z nimi do rana. — Ależ wyglądziecie! Jeszcze gorzej niż w zeszłym roku! Ach, ci Paryżanie...

Łóżko przyjmowało ich chrzęstem chłodnej, świeżej pościeli, suszonej na wietrze, pachnącej powietrzem, *pachnącej tutaj*.

Lubili samą jazdę, jej etapy, jej warianty. Każdego roku w innym miejscu odbijali się od autostrady, zawsze tak jednak celując, by Janowie nie za długo musieli na nich czekać z wieczera. Bo to była wieczerza, nie kolacja.

Jeżeli wstąpią do Konikowej, zejdzie z pół dnia. Nie zdążą. Wypadnie im nocować w jakimś przypadkowym hoteliku. O ile znajdą nocleg, w sezonie wszędzie pełno. A jeśli z powodu soboty, gdy pocztę w miasteczku zamykają w południe, depesza do Janów nie dojdzie na czas?

Wszystko to razem stanowiło masę przeciw. Ale czy nie ważyło więcej jedno jedyne za? Upewnić się, że z małym jest już naprawdę dobrze, że mogą odjechać na miesiąc z czystym sumieniem, że...

Telefon oderwał ich od map. Nie, to nie madame Konik i nie pomyłka. Dzwonił wnuk Durand.

— Mam do państwa ogromną prośbę — mówił, jękając się i zacinając. — Nawet mi trudno przez telefon. Dzwonię z kawiarni na rogu. Ja wiem, że to z mojej strony wielka śmiałość, ale państwo tacy mili... Czy bardzo będę przeszkadzał, jeśli wpadnę na minutkę?

Znowu oboje w szlafrokach! O tej porze bardziej zrozumiałe, ale... Jak odmówić? W głosie chłopca było tyle żarliwej prośby. Nie zdążyli pozierać map, a już dzwonił do drzwi. Sam, bez dziewczyny.

Wyraźnie postarał się, by zrobić dobre wrażenie. Wyprana, przyczesana broda wyglądała dziś mieszczańsko i godnie, to już nie był Che, tylko członek Akademii Francuskiej z zeszłego wieku. Dżinsy, tak, ale buty na wysoki połysk. Siadł, skromny i przejęty, na tym samym jakby już swoim miejscu na kanapie i zaczął oczywiście od wyłamywania sobie palców.

— Jest taka sprawa — wykrztusił wreszcie, połknąwszy znowu martini jednym haustem — że moi rodzice wyjechali na parę dni, a ja zgubiłem klucz od mieszkania. I tak się głupio składa, że wyszedłem bez grosza. Ja wiem, tak się nie robi, państwo mnie właściwie nie znają, ani nic. Ale czy nie mógłbym tu prznocować? Tylko tę jedną noc. Choćby na podłodze. Bo nie mam co ze sobą zrobić, wszyscy znajomi na wakacjach. Oczywiście, jest metro, są dworce kolejowe, ale... Przypomniałem sobie, państwo tacy gościnni, więc...

— No, a pańska znajoma?

— Też wyjechała. Pech. Zresztą jej rodziców trudniej byłoby mi prosić o prznocowanie, są pewne komplikacje...

Już sięgał ręką do portfela by wyjąć parę franków i pożyczyć, czy nawet dać chłopcu na hotel, ale reakcje ich nie zsynchronizowały się. Ubiegła go i sama siebie zaskakując, powiedziała:

— Ależ oczywiście! Prosimy bardzo. Jest wolny pokój.

Był zły. I ona była zła na siebie, ponieważ. Cóż za niepotrzebna komplikacja! Dała się złapać, pochlebiło jej że chłopiec woli ich od rodziców własnej dziewczyny. No, powiedziało się, stało się. Jednak to wnuk Durand. Raczej sympatyczny. Jak wyganiać samego na miasto, na noc? Brodaty niby, ale jeszcze dziecko, nieśmiały...

— Czy pan coś jadł? — zatroszczyła się konsekwentnie.

— Tak. To znaczy nie, bo wyszedłem z domu bez grosza, jak mówię. I zaraz gdzieś posiałem klucze. Może mi ukradli? Ale ja nie chcę sprawiać kłopotu. Wcale nie jestem głodny.

Albo faktycznie nie był głodny, albo się krępował. Gdy mu podała coś naprędce, na rogu stołu, odsunąwszy mapy, wyraźnie zmuszał się do jedzenia.

— Państwo wybierają się w podróż?

Sama dotrzymywała chłopcu towarzystwa, gdyż mąż, skrywając dezaprobatę, powiedział: — No, to dobranoc! — i wycofał się z gazetą pod pachą.

— Tak, wyjeżdżamy. W niedzielę rano.

Nie dopytywał dokąd, ani na jak długo. Mapy mówiły same za siebie. Zostawiła go, męczącego się nad plasterkiem szynki, wyjęła ze ściennej szafy prześcieradła i poszła do dzieciennego pokoju zasłać chłopcu tapczan.

— Ależ miałaś pomysł — gderał mąż półgłosem, trochę jej jednak pomagając. — Co my z nim zrobimy jutro? Przecież oboje musimy wczesnym rankiem do pracy! Trzeba będzie budzić go, wyrzucać. Zator w łazience i w ogóle. Chciałem mu dać na hotel i już. To byłoby najprostsze, najmniej dla nas i dla niego krępujące.

Racja. Miał świętą rację. Słała łóżko pełna dziwnych uczuć. Otworzyła okno. Niech się wywietrzy. Tu pachniało inaczej niż w całym mieszkaniu. Właściwie nie było tu żadnego, niczyjego zapachu. Tu było pusto. Nie pachniał nawet kurz. Należałoby może przetrzeć. Nie, nie będzie się teraz miotać ze ścierkami.

Od tamtej pory nikt tutaj nie sypiał. Żadne z nich. Łóżeczko małego poszło dla córeczki stróżów. Ani zabawek na szczęście, ani nic. Neutralny pokój, z dziewiczym tapczanem, nieużywanym biurkiem, niedomeblowany. Pokój „dla gości”, niezbyt gościnny. Parę rysunków małego z epoki przed katastrofą, nawet nie oprawionych jak widoczek Picassa z Nîmes, po prostu za szepionym kłamrami podwójnym szkłem. To pozostało.

Mały malował z zapałem domy, zawsze i tylko domy, kolorowe, krzywe chałupki ze ścieżką skręcającą ku furtce pod ostrym kątem. Domy otoczone zębatym parkanem. Zastanawiali się: gdzie on widział takie parkany? A na niebie dwa słońca. Nie jedno, zawsze dwa.

Brali to za dobry znak. To był dobry znak. Brali to do siebie. Wszystkie pedagogiczne książki twierdziły: słońce nad domem, to dobry znak! Więc coś dopiero dwa! Rodzicielskie.

Biurko i tapczan kupili potem, tak jak się kupuje lekarstwo, w którego skuteczność z góry się nie wierzy. Nazywało się, że zawsze któreś z nich będzie mogło tutaj się przenieść na wypadek większej bezsenności czy grypy, żeby drugiemu nie przeszkadzać. Albo gdy któremuś zechce się dłużej popracować, poczytać w nocy.

Gdyby nabrali takich obyczajów od razu, pokój byłby odegzorcyzmowany. Ale pozwolili minąć dniom, tygodniom, aż minęły lata. Tabu stwardniało. Nie otwierali tych drzwi i tylko przy bardzo gruntownych porządkach wkraczała tutaj z odkurzaczem.

Wnuk Durand musiał przywazyć sobie wolny pokój w czasie pierwszej wizyty. Jak mu się dziwić? Zwrócił się do nich spon-

tanicznie, ale przecież nie bezceremonialnie. Dowód sympatii, zaufania. Jeśli rodzice dziewczyny byli tacy jak ich córka, trudno się dziwić, że wołał poprosić o pomoc obcych ludzi.

Poszeptali, udobruchali się nawzajem, nic takiego w końcu się nie stało, wrócili do chłopca. Na ich widok zaczął gorliwie kroić szynkę, popijając winem. Widać nie chciał im robić przykrości, zostawiając pełny talerz.

— Całe szczęście, że pan nie musi się golić — zażartował. — Jeden kłopot odpada. Moja piżama będzie dla pana trochę ciasna, trudno. A czy my mamy jakąś zapasową szczotkę do zębów?

Była wdzięczna mężowi, że przestał się gniewać, że włączył się w jej gościnną inicjatywę. Chłopca wpędziło to w zupełną panikę.

— Ależ nie, ależ po co, ja się prześpię w swetrze, ja bym nie chciał...

— Nie komplikujmy sprawy. I tak jest jedna mała komplikacja. My wczesnym rankiem oboje wychodzimy do pracy. Niestety, będziemy musieli pana obudzić. Inaczej byłyby większe jeszcze komplikacje z kluczem. A więc pobudka przed siódmą rano!

— Kiedy wracają pańscy rodzice?

Wyłamywał palce, wił się, bardziej niż na początku speszony. Jak on w ogóle zdobył się, z tym usposobieniem, na telefon do nich, na przyjście tutaj, na prośbę o nocleg?

— Pojutrze... To znaczy może już jutro. Ja... Ja nie sprawię kłopotu. Ja wiem, że państwo nie mogą przeze mnie spóźnić się do pracy. Ja wstanę, tylko proszę mnie obudzić. Bo ja mam twardy sen. I zaraz sobie pójde...

— Pańscy rodzice wracają kiedy? Jutro, czy pojutrze?

— Pojutrze — przyświadczył chłopiec skwapliwie.

— Ja panu pożyczę jutro na hotel. Nie dlatego, żeby pana obecność była nam niemiła. Nas i tak cały dzień nie ma w domu. Ale tak się składa, że w niedzielę wyjeżdżamy na urlop. Musimy się przygotować, zapakować. Pan rozumie. A poza tym nie mamy zapasowych kluczy, to byłoby krępujące i dla pana i dla nas.

Dali mu pierwszeństwo do łazienki. Długich ablucji tam nie wyprawiał i przepraszając, prosząc, dziękując wycofał się do pokoju małego, bardzo komiczny w przykrótkiej piżamie, z tą na niej rozpostartą brodą. Cicho zamknął za sobą tamte drzwi. Nie tak źle wychowany — skomentowali w duchu. I prawie zaraz zgasił światło.

Młodzi mają taki prędko, taki twardy sen...



Sądząc po trudnościach z zasypianiem, mieli po sto lat. Proszków tym razem wzdragali się brać. I tak trzeba było nastawić budzik na pół godziny wcześniej, ze względu na trzeciego kandydata do łazienki. Bali się, że nie dosłyszą, że zaśpią. W ogóle jakoś nie chcieli spać.

Czytali więc w łóżku do zupełnego maku pod powiekami, aby odsunąć moment kiedy i oni zgaszą światło, ciemność ogarnie ich, ale nie sen, i napłyną te wszystkie myśli, których nie chcieli dotykać słowami.

Był czas, gdy przed zgaszeniem światła zaglądali jeszcze raz do tamtego pokoju. Czy mały śpi, czy dobrze przykryty, czy mu czegoś nie trzeba. A właściwie dla przyjemności popatrzenia na niego. Jeszcze raz. Jak śpi. Drzwi zostawały wtedy stale na oścież otwarte. Czasami budził się, wzywał ich, upewniał się czy są obok. Zaraz słyszeli. W najgłębszym śnie dochodził do nich jego szept, prawie jego oddech. Wystarczyło pogłodzić go po głowie, potrzymać za rękę i znów zasypiał, uspokojony, zabezpieczony ich obecnością. Wracali na palcach do swego łóżka, para rozczulonych swoją władzą demiurgów, i nasłuchiwali, zasypiając z jakąś podówcześnie łątwością, bez proszków, bez bólu, jak on tam u siebie jest, jak oddycha. Naprawdę słyszeli przez otwarte drzwi tamtego pokoju rytmiczny, spokojny oddech dziecka.

To im teraz wróciło nieznośnym przypomnieniem. Po raz pierwszy od lat w tamtym pokoju znowu ktoś spał, ktoś był, ktoś oddychał. W wielkim przemieszczeniu czasów powrócił do nich szmer dawnego szczęścia, którego nie doceniali, myśląc że jest im na zawsze dane. A także wróciło poczucie winy. Nie do odrobienia, nie do odżałowania. Już nie garb, ale krzyż.

Bo akurat tej jednej jedynej nocy, gdy wszystko przesądziło się, przepadło, oni spali twardym snem. I dopiero gdy rozległ się ów krzyk...

Wydawało im się, że ledwo zgasili światło, już był budzik. Wyrwał ich brutalnie z pół-snu, z pół-czuwania. Z koszmaru.

## V

— Ma pani nasze klucze? — zapytała stróżki wsadzając głowę do „łóży”.

Cały dzień myśl o kluczach i o całej tej sprawie nie dawała

jej spokoju. Niedośpanie i nerwy, gdyż powód był błahy. Cóż się mogło przydarzyć? Wnukowi Durand zostawiła na kuchennym stole karteczkę z instrukcjami, jak ma pozamykać, który klucz w którym zamku ile razy przekręcić, oraz kopertę, żeby włożył do niej klucze i wychodząc oddał stróżce. Czemu miałby tego zaniedbać? A jednak od autobusu biegła kłusem, odkładając na później konieczne ostatnie sprawunki. Nic konieczniejszego ponad upewnienie się że wszystko w porządku, żadnych komplikacji.

Wstydząc się sama przed sobą, że to robi, zadzwoniła do domu w południe. Nikt nie odpowiedział. Chłopiec na pewno już pozbiierał się i poszedł.

W łóżu musiało odbyć się małe piekiełko. Dziecko pochlipywało w kącie, stróżka miała podbite oko. Zza parawanu wystawało łóżko i bose, białe stopy stróża. Chrapał. Coś za wcześniej ta pijatyka, wczoraj był dopiero piątek! Albo dostał podwyżkę, albo sprowadził sobie jakichś kumpli. Dziwne, że wieczorem niczego nie słyszeli.

Pomiędzy sobotami i pomimo sobót było to dobre małżeństwo. Dobra para. Stróżka nigdy nie żaliła się na męża, przepraszała lokatorów za hałasy, usprawiedliwiała go, że prędko, że nerwowo. On też, trzeźwy sześć dni w tygodniu, kłaniał się każdemu z daleka, skruszony rozaczał czary słowiańskich, olśniewających uśmiechów. Po nim mała odziedziczyła czarniawą, dalmatyńską urodę. Nie tak dawno tu przybyli, zależało im na darmowej właściwie dziupli stróżówki, jakiegokolwiek inne mieszkanie, choćby najtańsze, oddaliłoby spełnienie ich marzeń o własnej daczce nad Adriatykiem. Więc po każdej większej awanturze schody w dwójnasób błyszczały, pastowane i froterowane, zaś podwórko, polewane wodą z gumowego węża, stawało się zakazaną strefą dla małej, żeby nie zostawiała śladów.

Córeczkę uwielbiał — od soboty do soboty — i miło było patrzeć, jak ona nim rządzi, każe mu się obnosić na plecach i cwałować w kółko, malutka, zabawna wołyżerka na potulnym, kropla w kroplę do niej podobnym konisku. Stróżka spoglądała na nich rozczulonym okiem przez zakratowane okienko i dogadywała coś po ichniemu, zaniedbując swoją normę rękawów i kołnierzy.

Teraz podała zaklejoną kopertę z kluczami bez słowa. Zostawił je! Co za ulga! Przecież nie mogłaby nawet wejść do siebie, gdyby tego zaniedbał. Popędziła schodami, ledwo dziękując. Nawet gdyby miała w torbie cukierki na pociechę dla małej, nie byłoby jej stać na wyjmowanie ich, na częstowanie dziecka. Zresztą

bezbронnie białe stopy pijaka nie zachęcały do przedłużania wizyty.

No więc nic. Wszystko w najlepszym porządku. Nie tak znowu najlepszym. Wnuk Durand nie złożył pościeli, nie sprzątnął po sobie filiżanki z niedopitą herbatą, talerzyka z nadgryzioną kromką.

Drobiazg. Nieprzyuczony, nie wychowany. Czuł się widać jak w domu, a w domu matka pewno wszystko za niego robi. Nie miała czasu tym się zajmować, zaraz zamykają sklepy, a na jej karteczce było sporo zakupów, związanych z jutrzejszym wyjazdem. Niby drobnostki, ale jednak.

Gdy wróciła, drzwi same przed nią się otworzyły. Poznawali nawzajem swoje kroki na schodach. Właśnie wrócił. Trochę zmieszany, trzymał w ręku pieniądze.

— No, więc?

Czego dotyczyło to: no więc? Wczoraj czy dziś? Czy jutra?

Chyba jutra, bo wciąż nie zdecydowali, czy wstąpią do Konikowej, czy też ruszą prosto na południe. Ale we wstępnym „no więc?” było raczej pytanie o wrażenia z dzisiejszego ranka. On także z pewnością niepokoił się, niezbyt zadowolony, że zostawiają dom na łasce nieznajomego bądź co bądź człowieka.

Rankiem okazało się, że wnuk Durand wcale nie przesadził mówiąc, że ma twarde sen. Budzik, dokręcony jak nigdy, zatrzęsł połową kamienicy, a w tamtym pokoju nic. On się ogolił, ona się ubrała. Łazienka była wolna. Poszedł w delegacji do dzieciennego pokoju i wrócił bezradny.

— Śpi jak kamień. Co robić?

— Jak to, co robić? Za kwadrans wychodzimy. Niech się zbiera! Musi wyjść z nami! Niech się nie myje, nie je, trudno, ale ani ja ani ty nie możemy spóźnić się przez smarkacza do pracy i to akurat dziś, przed samym wyjazdem!

Z dużym rozpędem weszła do pokoju, zapalając bez litości górne, ostre światło. Chłopiec naciągnął sobie prześcieradło na głowę i spał, najwyraźniej spał młodym, upartym snem. Stała przy łóżku, niejasno wzruszona. Duża stopa, śmiesznie męskodziecinna, wystawała spod pościeli.

Nie było rady, pociągnęła za tę stopę.

— Proszę pana! (jak mu właściwie na imię? Nie spytali).

— Panie Durand! Przykro mi, ale my już musimy wychodzić. Niech się pan szybko ubiera! Czekamy z herbatą!

Zamruczał coś, pod prześcieradłem zakotłowało się. Wydał jej się obudzony. Zostawiła na wszelki wypadek zapalone światło i zaczęła jeść śniadanie, nadstawiając ucha.

Sporo mieli do omówienia tego ranka, czego nie zdążyli omówić wieczorem z powodu nieprzewidzianego gościa. Ale się nie dało.

W połowie filizanki raz jeszcze zajrzała do pokoju. Nic się nie zmieniło. Tyle że chłopiec, zwinięty w kłębek, cały zakutany w koce, pochrapywał.

— Przecież nie będziemy ściągać go z łóżka siłą i nie wyrzucimy na schody w twojej piżamie. Słuchaj, ja mu zostawię na stole moje klucze. I słówko. I kopertę. Wyśpi się, wstanie, napiszę mu jak co ma pozamykać, a klucze włoży do koperty i odda stróżce.

— Jeszcze jeden z twoich pomysłów! — powiedział, zły. Ale nie protestował, nie dawał innych propozycji. Gdy gryzmołała w pośpiechu instrukcje dla chłopca, wyjął z portfelu spory banknot i położył na widoku, przy trzecim nakryciu.

— Napisz, że to dla niego, na hotel.

Zbiegli po schodach, ostrożnie zamykając za sobą drzwi żeby — jak już to już — nie budzić chłopca. Niech się wyśpi. Czy on chodzi do szkoły? Chyba już nie, ani do żadnej jeszcze pracy. Niczego im w końcu o sobie nie powiedział, poza wspomnieniami o babce Durand, o nic go nie wypytywali. U stróżki zakratowane okienko było jeszcze zasłonięte firanką. Spali. Sobota. Nie można więc było o niczym jej uprzedzić.

— Nie było innej rady — powiedziała, gdy się rozstawali na rogu ulicy. — Już i tak jestem właściwie spóźniona. I ty też...

— Czy ty w ogóle wiesz, jak on się nazywa? Dobrze, Durand, ale co z tego? Czemu nie Dupont? Dubois? Dupuis? Duval? A imię? Adres?

Nie musiał jej dognębiać, skoro klamka i tak już zapadła. I bez tego cały dzień będzie miała zatruty. Nieufność do ludzi nie leżała w jej naturze. Ale jeśli chłopiec zapomni czy zaniedba oddać kluczy, gdzie go potem szukać? Własne zgubił, może jest bez głowy, niedbały. I czy choć drzwi porządnie zatrzasknie za sobą?

Tym większa ulga, że klucz zdeponowany, a w mieszkaniu wszystko w porządku. Tylko ów banknot, wzgardzony, pozostawiony na stole razem z jej karteczką. Dziwne. Mówił, że jest bez grosza, nie może dostać się do siebie, a rodzice wracają pojutrze.

Duma? Napomknęła mu w dopisku, że to pożyczka, odda im przy okazji, za miesiąc, gdy wrócą z urlopu. To były właściwie zaprosiny, zachęta do nowej wizyty. Nie przyjął pieniędzy, choć przyjął, choć narzucił się właściwie z noclegiem. Pewno duma.

Ale mógł dopisać słówko, dziękuję, do widzenia, na tej samej choćby kartce papieru, zresztą blok listowy i ołówek leżały obok. Gdzie mu się nagle tak spieszyło? Wzgardzona pożyczka, wzgardzony list sprawiły im niewyraźną przykrość. Mógł napisać, że nie potrzebuje, że da sobie radę, na przykład że przypomniał sobie jakichś znajomych, którzy pomogą mu doczekać do powrotu rodziców. Mógł się z nimi jednym słówkiem pożegnać...

Nawet jeśli дума, to niesympatyczna. Niezrozumiała. Zresztą dosyć z tą sprawą. Teraz trzeba było szybko coś przełknąć, odłodzić lodówkę, spakować walizkę. No i — którędy pojadą?

Decyzja wisiała w powietrzu, nie mając wpływu na automatyzm dorocznych przygotowań. Żadne specjalne bagaże. Na lato u Janów stroić się śladami mody byłoby anachronizmem. Coś lekkiego na upalne dni, coś wełnianego na zawsze świeże wieczory. Zresztą część rzeczy pozostawiali tam z roku na rok. Maria przechowywała to na jednej z półek w ich szafie. Miło pachniały ziołami.

Wkładając jednak to i owo do walizki, odniosła dziwne wrażenie, że coś jest nie w porządku. To znaczy za bardzo w porządku. Na półkach z bielizną wszystko zbyt równo, zbyt starannie poukładane. Czyżby?...

Odepchnęła tę myśl, na którą i tak nie miała ani chęci, ani czasu. Pewno któregoś dnia machinalnie powyrównywała te wszystkie szmatki. Często zdarzało jej się nie wiedzieć o tym, co robiły ręce. A jednak nie. Jednak nie dalej niż wczoraj wyciągnęła stąd przecież w pośpiechu prześcieradła dla chłopca i nawet coś jej przy tym wypadło na podłogę, co upchnęła byle jak z powrotem. A teraz nienaganność, prawie jak za czasów babci Durand...

Trudno jednak przypuścić, by chłopiec porządkował jej szafę z wdzięczności za nocleg. Absurd! Niczego nie brak, na oko.

Sama za siebie się wstydząc, zajrzała jednak do drewnianej szkatułki, w której wśród masy bezwartościowych koralików przechowywała sznurek prawdziwych pereł, jedyną swą biżuterię. Cenną, bo to był prezent „za małego”. Perły były przemieszane z bałtyckimi bursztynami, czeskimi szkiełkami, hinduskimi ziarnkami. Nikt tu nie zaglądał i niczego nie porządkował. Więc...

— Więc jak? — zapytał, gdy domykała walizkę. — Którędy jedziemy?

Siedli każde w swoim fotelu, z walizką pośrodku, jak w poczekalni kolejowej, przyduszeni zmęczeniem, nie mający sił by rozebrać się i pójść spać. Od jutra mogliby już zasypiać przy oknie otwartym na wieżę Cezara, strojną o tej porze już nie

w jedną, a w cały diadem gwiazd. Tam niebo było jakoś bliższe ziemi, wieczorne spacerowały z głowami zadartymi do góry, nie patrząc pod nogi, które i tak znały na pamięć każdy zakręt, każdy kamień każdej ścieżki. Pas mlecznej drogi suto nabijany i — to była akurat pora — gwiazdy spadały rześście jak deszcz. Czyhając na nie, wciąż sobie tego samego bez słów życzyli. Były zdążyć pomyśleć, nim która spadnie.

Raz byli nawet świadkami upadku meteora. Noc rozświetliła się nagle zielonym, zaziemskim światłem, posłyszeli szum czy świst. Ognista kula szybowała w dziwnie zwolnionym tempie, szerokim łukiem, jak statek międzyplanetarny. Oniemieli. To było jakby spadał anioł, stuliwszy skrzydła.

Wreszcie zapadło się to gdzieś za górami. Noc pociemniała z powrotem. Żadnego wybuchu, żadnego płomienia. Na zimno. Reszta gwiazd trzymała się twardo firamentu.

O, wtedy, gdyby byli zdążyli wypowiedzieć swoje Życzenie! Spadająca gwiazda tego kalibru! Ale dobrze wiedzieli: cała mleczna droga może hurtem oderwać się od nieba i spaść, ich życzenie nie ma żadnych szans spełnienia.

Zrobiło jej się go żal. Siedział w swoim fotelu taki błądy, zgębiony, w tak ostatecznym wyczerpaniu. Sama Konikowa orzekła zeszłej niedzieli, że „pan nerwowy”. No i nie zadzwoniła od środy. Uznała pewno, że nie warto biegać na pocztę, zostawiając dzieci na łasce Bożej. Małemu do reszty musiało się poprawić. W przeciwnym razie z pewnością by zadzwoniła. Albo wysłałaby na pocztę sąsiada.

Nie, to nie ma najmniejszego sensu, nakładać drogi, przedłużać i tak męczącą podróż, urywać sobie cały dzień z wyczerkiwanego całego roku urlopu! No i w żaden sposób nie zdążyliby już uprzedzić Janów.

— Nie — powzięła decyzję — Konikowa sama odradzała. Ona się zna. Nic tam nie pomożemy. Gdyby coś, zadzwoniłaby, można na nią liczyć. Jej milczenie uważam za dobry znak. Ja do niej zaraz stamtąd napiszę. Włożę ofrankowaną kopertę na odpowiedź.

— Może nawet napiszę już dziś. Wrzucimy to jutro rano, jeszcze w mieście. Będzie miała w poniedziałek, no najdalej we wtorek. I przed końcem tygodnia dostaniemy odpowiedź.

— Jedziemy prosto do Janów.

Spojrzał na nią jak wdzięczny pies. Że postanowiła, że wzięła tę decyzję na siebie. Wyzbyła się resztek wątpliwości widząc, jak on ciężko dźwiga się z fotela. I po raz pierwszy

stwierdziła ze zdumieniem, ze zgrozą, że to już nie jest młody człowiek. Że to jest człowiek zniszczony.

## VI

Lubili jechać. Jazdę samą w sobie. Daleko. Wypadły do Konikowej nie liczyły się.

A już najbardziej lubili jechać na południe. Samochód zamieniał się w ruchomy dom — w ruchome pomiędzy domami. Gdzieś tam pozostawało miejskie mieszkanie z pustym pokojem o stale zamkniętych drzwiach. Oddalały się problemy pracy, jego i jej. Zmęczenie. Zaś dom Janów był coraz bliżej.

Wyjazd południową autostradą był dla nich łatwiejszy, nie musieli wyciskać się z miasta hadesowym, zapchanym tunelem. I zawsze, w największą pluchę, w największą mgłę, po paru godzinach przekraczało się barierę niepogody. Niebo odsłaniało się z życzliwą szczodroblewnością. Po jednej stronie Rodan i przyczółek Alp, w dali biała zębata twierdza, a po drugiej stronie te obłe, inaczej dzikie góry, nie twierdze ale skamieniałe stada mamutów o pomarszczonych grzbietach.

W pierwszej, autostradowej części drogi mieli tradycyjne etapy, postoje na kawę, na rozprostowanie nóg, ale potem zjeżdżali w bok coraz to inną trasą na spotkanie Sewenów. Były takie przeskokki, takie nagłe rozdarcia kurtyny, że zapierało dech. Drogi szły prehistorycznymi szlakami, w poślizgach tobogganów, z przełęczą na przełęcz. Liście kasztanowców odbijały słońce miriadem lusterek. Wioski uczezione zboczy zbudowane były z tego samego surowca co góry, jak gdyby powstały z nich organicznie, wulkanicznie i postarzały się wraz z nimi.

Niekiedy pośród spalonych słońcem traw ukazywało się idealnie okrągłe jezioro, zgubione przez nimfę zwierciadło. To się nazywało *lavogne*. Zaś nimfy nazywały się tutaj po prostu panny, *Demoiselles*. Woda *lavogne* oprawiona była w świeżą trawę albo całkiem zielenią pokryta, jakby Panna wsunęła swoje lustro do irchowego futerału. Pieczary i grotty czerniały wśród skał, prowadziły do podziemnych naw, przypór, sklepień, katedr Notre Dame. Wszystkie potoki od pewnego miejsca przybierały, jak nimfy, to samo imię: *gardon*, plus jakiś przydomek. O tej porze roku w ich łożyskach ledwo coś migało, zapomniany, paniński włos, ale Jan zawsze przestrzegał: woda szybciej cwałuje niż

koń! Nie wolno ufać gardonom, zasypiać nad ich brzegami. I wszędzie było widać ślady po nagłych, wiosennych galopadach powodzi, drzewa wyrwane z korzeniami i poruszone skały.

Drzewa chorowały. Z roku na rok ze smutkiem stwierdzali postępy zarazy kasztanowców. Coraz więcej czerniało szkieletów, które już nigdy nie przyobleką się w liście. Tajemnicza choroba. Najpiękniejsze, najbardziej rozłożyste, pierwsze padały ofiarą, stercząc jak przestroga wśród jeszcze ufnych, jeszcze zielonych.

Czyżby wszystkie były skazane na wymarcie? Jak sobie wyobrazić te góry bez ich szklivem pokrytego listowia, od którego cały pejzaż robił się migotliwy, drżał, bez ich jasnych, kwiatowych kiści, bez owoców o miękkich kolcach wyścielających podłoże. Te drzewa karmiły tutaj całe pokolenia, nim zastąpiły je kartofle.

Tym razem postanowili jechać najszybszą drogą, najpóźniej zboczyć z autostrady, nie bawić się w odkrywanie nowych szlaków. Spieszyło im się bardziej niż zwykle, nie czuli ulgi podróznego Pomiędzy, nie chciał się od nich odczepić niepokój.

Nie mieli czystego sumienia.

Zerwało ich z łóżka przed budzikiem i przed łoskotem molocha śmieciarzy. Już było widno. Ostatni rzut oka. Gaz zamknięty? Zamknięty. Elektryczność wyłączona? Wyłączona. Rutyna. Do tych rytuałów wyjazdowych dodała gest ją samą zaskakującą: zamknęła ścienną szafę na klucz i wsunęła go do torebki. Spozrzegł to, ale nic nie powiedział. Zaaprobował? O tym, że sznurek pereł też już miała w torbie, nie wiedział. Powie mu przy okazji.

Myśl o kluczu i perełach, ukrytych w torbie, uwierała ją. Zazwyczaj szafę zostawiała niedomkniętą, żeby przez miesiąc nie przeszła zapachem stęchlizny. Małe uwieranie, zażenowanie raczej samym faktem obecności tych przedmiotów. Ale nie było o czym rozprawiać.

Ostrzejszy kamień formował się w sercu.

Wcale by się nie zdziwiła ani nie zaprotestowała, gdyby z głównej ulicy skręcił w prawo, zamiast na lewo. Na północ, nie na południe. Akurat światła na skrzyżowaniu były czerwone, stali jakoś długo, innych aut za nimi nie było i dosłownie w ostatniej chwili, gdy już dawno było na zielonym, wyrzucił strzałkę, że skręca, włączył bieg i ruszyli. Na lewo.

To było rozsądne. Konieczne. To było usprawiedliwione. Przecież nie może tak być, żeby ten kamień rósł i przybywał na wadze cały czas, całą podróż. Całe lato u Janów. Gdzieś go się po drodze pozbędą. Jak zwykle. Przy pierwszej kawie, na



pierwszym postoju na Tymczasem, na Pomiędzy. Zapomną. Na wakacje.

Na razie prowadził z niewakacyjną powolnością. Wiedziała: wypatruje skrzynki pocztowej. Wskoczyła, ledwo się zatrzymał, wrzuciła list do madame Konik, napisany wczoraj.

Stało się. Dobrze się stało. Ale...

Gdyby chociaż była to inna choroba, nie gorączka, sama gorączka bez kataru, bez kaszlu! Czysta gorączka. Taka jak wtedy. Jak tamtej nocy, gdy zaspali, gdy zaniedbali. I gdy wpadli do pokoju małego dopiero gdy rozległ się krzyk.

Przyspieszył biegu. Spojrzała na zegarek. Już szósta! Trzeba oderwać się od miasta nim zgęstnieje rzeka wyciekających zeń samochodów.

Dawno już nie słyszeli krzyku małego. W każdym razie dawno nie miał ataku w czasie ich wizyt u Konikowej. Nie krzyczał, nie wyrwał się, nie obijał o meble. Stał pod ścianą, albo siedział w krzeselku, którymś z kolei, bo wciąż robiły się za ciasne, ale możliwie podobnym do tego, w którym lubił siedzieć przed chorobą. Krzeselko, nawet gdy się w nim to coś rozpętywało, ten jakiś bunt, potrafiło uspokoić go na moment. Sadała go, blokowała go blatem stoliczka, dawała mu do ręki zabawkę, miniaturę samochodu, zawsze taką samą, którą on wciąż tak samo psuł. Gdybyż to psuł! Roztrzaskiwał, tępo nim wałąc, niszczył. A oni, ślepi i głusi, cieszyli się, że taki z niego mechanik!

Siedział, kiwał się, trzaskał samochodzikiem, był zajęty. Wtedy mogła coś zrobić, sprzątnąć, ugotować. Nie drzeć, że sąsiad z dołu znowu jej zacznie wymyślać za wrzaski „złe wychowywanego bachora”.

Szczęście, że byli u siebie, we własnych murach. Jako lokatorów nikt by ich długo nie trzymał.

Dlatego poruszyło nimi, gdy wnuk Durand zasnął w pokoju małego tak twardo. Tak cicho. Ich noce, od tamtej, przerwanej spóźnionym alarmem jego krzyku, stały się koszmarem gorszym od dni. Mały zdawał się zupełnie zatracać potrzebę snu. Urwały się jego poobiednie sjesty, tak jej miłe, gdy dawał się kłaść do łóżka jak do wanny z przyjemną kąpielą, uśmiechnięty i zaraz zanurzał się w sprzyjającym elemencie, w wypoczynku, w dobrej wodzie, przezroczystej, bo gdy się w tej drzemce uśmiechał, prawie odgadywali, co mu się tam dziennego pod powierzchnią snu marzy i przetwarza. Ssał palec. Pomyśleć, że głównym kiedyś ich problemem było, czy należy tolerować przedłużające się ssanie palca, czy też zwalczać je, ale jak, jaką metodą? Nasuwała

mu kocyk, zostawiała otwarte drzwi, siadała w swoim fotelu, drugi zostawiając na nieobecną ale przecież obecność przy nich, z nimi, męża, ojca, trzeciego członka rodzinnej trójcy, nawet nie zmywając, żeby szcęk naczyń nie psuł harmonii podwodnych doznań małego. Paliła najlepszego papierosa doby. Czasem coś podczytywała. Nasłuchiwała, aż ją zawoła.

A potem szli na spacer. Był najładniejszym, najbardziej udanym dzieckiem na skwerku.

Ta duma... Duma siódmego dnia, gdy widzi się, że to, co się stworzyło, jest dobre. Duma i szczęście, nieustanne, dwadzieścia cztery godziny na dobę, na jawie i we śnie.

Duma (pycha?) i szczęście trwały raptem dwa lata i coś. Może to dużo, aż dwa lata, na jedno ludzkie życie? Może to dość? Proporcjonalnie, statystycznie? Tak wcześnie zaczął chodzić, tak łatwo nawykł do czystości. I tak wcześnie przeszedł do mowy. Nazywał ich po imieniu. Nazywał rzeczy. Tworzył zdania. Tak wcześnie umysł jego zaczął organizować chaos doznań, chaos materii. Każdym nowym słowem rozdzielał to, co było nim, osobą, od tego co go otaczało i co dzielił na rodzaje i gatunki, organizował w co dzień doskonały ład, wypróbowując kolejne, dziecinne kosmogonie.

Lubił muzykę. Gdy padał deszcz i o skwerku nie było mowy, włączała radio, albo nastawiała płyty. Poznawał melodie, okazywał upodobania. W takt muzyki wykonywał taneczne, zabawne *pas*, jak dyrygent, który używa całego swojego ciała, nie tylko pałeczki, by harmonizować orkiestrę. Tak, on bardziej dyrygował, współtworzył, niż tańczył w rytm. To było zabawne, jego dwuletnie ciało nie było zbyt zgrabną pałeczką.

Byli dumni z niego. Byli z nim, poprzez niego szczęśliwi. W wiecznej gotowości, notując każdy postęp, nowe słowo, nowy gest. Gdzie więc podziała się ta gotowość, to współ-czucie, to zestrojenie? Co ich zaślepiło, że nie zauważyli, nie zrozumieli co się z nim dzieje? Co się z nim stało?

Zapadła w nich klapka świadomości. Pewno w samoobronie. Odraczając wyrok, chroniąc ich jeszcze przez pewien czas. Bo i tak nic już nie było do zrobienia, do uratowania.

Potem, potem, gdy lekarze, też podejrzenie długo wahający się w sformułowaniu diagnozy, karmiący ich mniej lub bardziej szczerze nadziejami, też może błędzący, bo cóż w końcu i oni mogą wiedzieć z całą pewnością, gdy już im rzecz nazwali po imieniu, po łacinie, dopiero potem znajomi, przyjaciele, zaczęli im się przyznawać, jak to bywa, że oni od razu zauważyli. Ale nie śmieli zwrócić im uwagi. Z życzliwości, przez dyskrecję.

Z litości. Tyle że zaproszenia do niektórych domów stawały się coraz rzadsze, a wizyty w ostatniej chwili, wśród gęstych przeprosin, odwoływane. Nic dziwnego. Mały, zbyt żywy „aniołeczek”, do niedawna uwielbiana atrakcja, skakał teraz po meblach, krzycząc, niszcząc co mu wpadło pod rękę, albo, gdy mu już za poradą lekarzy zaczęli dawać proszki, siedział, kiwał się i skrzeczał w takt muzyki.

— Śpiewa! — przychlebiano im nieszczerze. — Będzie z niego meloman.

Pozrywali z przyjaciółmi, właśnie za to. Dorobili się nowych, takich którzy nie znali małego ani przedtem, ani potem i którym nie trzeba było odpowiadać na bolące pytania, albo na bardziej jeszcze bolące, dobrze wychowane milczenie na drażliwy temat. Niektórzy z ich nowych znajomych w ogóle sądzili, że są bezdzietną parą. Tak było lepiej. Bez bólu.

Wnuk Durand miał około dwudziestki. Za jakieś dziesięć lat ich syn będzie w jego wieku. Dorosłym mężczyzną. Czy zapuści brodę? To znaczy, czy mu zapuszczą brodę? Chyba tak. To będzie ułatwieniem, bo jakże narażać się na golenie go co ranka? Z takim więc brodatym, dorosłym mężczyzną, nabywszy dlań ostatnie krzeselko na miarę, chyba żeby zaczął im tyć, gdyż rosnąć kiedyś przecież przestanie, osiądą w ostatnim swym domu, gdzieś w pobliżu Janów.

I będą się razem starzeli. A gdy już za bardzo się postarzą, to znaczy oni dwoje, gdyż mały zawsze będzie w tyle, na dystans jednego pokolenia, wtedy...

Wtedy się zastanowią. Jak to zrobić. Razem.

Gdzieś niedaleko Janów będzie idealnie. Tam ludzie w dobrym gatunku, pełni kamizardowsko-protestanckiej godności i rezerwy, ale już po śródziemnomorsku kolorowi i weseli. Gdy się oswoją, gdy kogoś przyjmą, można liczyć na nich w szczęściu i w nieszczęściu. Od pokoleń życie tu nie szło po różach. Surowość klimatu, jałowość ziemi i te wszystkie wojny i najazdy, dragonady, czarne ospy, którymi smagał ich jak nie król to Jehowa. Dziesiątkowały ich, ale nie ugiwały, nigdy. Z takimi ludźmi można było dzielić rodzinne kalectwo.

Niedzielami, przy długim stole, w impresjonistycznym, ruchliwym cieniu rozpiętego na bambusowych prętach baldachimu winnej latorośli odbywały się u Janów zebrania. Przychodził pastor, nauczyciel, schodzili się z domów zatajonych w załomach skał sąsiedzi. Przy winie, które według Jana nie ważyło dużo, więc nie krzywdziło, śpiewali.

Nie były to burgundzkie, sprośnawe pieśni po dobrym żarciu

i przy dobrym picciu, ani prowansalskie farandole. To były here-tyckie kantyczki, za które nie tak znowu dawno temu szło się na galery. O wieży Konstancji, o Rolandzie (ale nie tym od rogu i Karola Wielkiego) i o Cavalier, bohaterach wojen religijnych, męczennikach któregoś z rządu prześladowania chrześcijan, o których każde dziecko wiedziało tutaj tyle, jakby z tych dziejów nie całkiem jeszcze obeschła krew.

Nikt tych pieśni teraz nie zabraniał śpiewać, nikomu nic za to nie groziło. Ich echo, odbite od wieży Cezara, przelewało się zza skały na szosę, niechby sobie nią przejeżdżał sam koman-dant żandarmerii. A jednak atmosfera niedzielnych popołudni przypominała zebrania w katakumbach, zaś starotestamentowe teksty głosiły bojowość dzieci Judy, ich gotowość na śmierć, za wiarę. Jak dla ich ojców, śmierć była przejściem z życia do życia, choćby ze szklanką nie krzywdzącego wina w ręku.

Nauczyli się i oni tych pieśni o nieskończonej ilości strof, przyłączali swe głosy do chóru. W przerwach lekkie wino, południowa jednak kropla krwi prowokowały do żartów, do śmiechów, w kontraście, w kontrapunkcie. To były dobre, to były wspólne niedziele. Łyk chłodnego wina lub jeszcze chłodniejszej źródlanej wody z zamglonej karafki, strofa kantyczki, jakaś zabawna anegdota, żarcik *à propos* Picassa z Nîmes człapiącego na niedzielne plenery, wszystko w cieniu latorośli o nabrzmiewających fioletem gronach, gdy wokoło południowy żar miażdżył dolinę i gdy liście zdrowych jeszcze kasztanowców migotały, wyostrzone słońcem, przesywając żrenice.

W torbie podróżnej u jej stóp wiozła skarb, talizman. Dowód przyjaźni, z którym przesądnie nigdy się nie rozstawała. W kasztanowcowym lesie Jan znalazł kiedyś cynowy, poczerniały krążek, ni to medal, ni to monetę, ni to pieczęć. Odznakę kami-zardów, po której swoi rozpoznawali swoich i za której pomocą skrzykiwali się na tajne modły. Dał im to, muzealną przecież rzecz, w prezencie. Ktoś to kiedyś tutaj zgubił, albo odrzucił w zarośla, gdy dopadała go królewska dragoneria, tak jak spis-kowiec odrzuca kompromitujący dokument. Zapadło pomiędzy owoce kasztanowców. To się zresztą nazywało „*châtaigne*”, czyli owoc kasztanowca.

Nigdy nie zaniedbała, zmieniając torebki, przełożyć go z jednej do drugiej. Dowód tożsamości.

Czy pomagał ów talizman? Owoc kasztanowca, cynowy owoc tamtych stron? Pomagał na tyle, że choć oboje z innych zupełnie pochodzili stron, stanowił rodzaj symbolicznego klucza, otwierającego im drzwi do wspólnoty, której potrzebowali i którą

cenili. A której bardziej jeszcze będą potrzebować za parę lat, gdy przeniosą się tam na stałe, na dostarczanie się, na dożywocie, z dorosłym, brodatym, niestety młodszym od nich, na zawsze młodszym od nich synem, którego przeżyć, a więc zostawić samego nie mają prawa. Ale z którym łatwiej im będzie jakiś czas jeszcze pożyć, jeszcze przez jakiś czas nierówno choć równolegle się starzeć właśnie tam, pośród tamtych ludzi, gdzieś w pobliżu Janów i ich domu ukrytego za skałą.

## VII

Było już po zachodzie, ale jeszcze widno kiedy z szosy skręcili za Janową skałą. Ledwo wyłączył motor, usłyszeli ów głos, przejmujący, tubalny, niepodobne do niczego powitanie, zew. To Jan, jak zwykle, dmuchał na ich intencję w swoją muszlę. Musiał czyhać pod werandą na ich samochód.

Muszla, egzotyczna, gigantyczna, zawsze leżała na murku i za jej pomocą Jan zwoływał swoich pensjonariuszy na posiłki. Zastępowała banalne dzwonki. Za młodu służył w marynarce i przywiózł owo trofeum znad jakichś egzotycznych, kolonialnych wtedy mórz. Szumiała gdy było do niej przytknąć ucho, szumiała w niej czas i oceany, ale tylko Jan potrafił wydobyć z niej ów głos trochę pasterski, trochę żeglarski, jakby juhas zwoływał pogubione owce, albo jakby kapitan tonącego statku wołał: ratujcie nasze dusze!

Zew Janowej muszli dopadał ich czasem pod wieżą Cezara, albo na przełęczy Mercou. Przyspieszali kroku, zgrzani, miło zmęczeni, wiedząc że stół pod latoroślą już nakryty, że Jan już nasiekał, naprzyprawiał całe michy kolorowych sałatek z jarzyn ledwo co zebranych w ogródku, że butelka nie krzywdzącego wina spuszczone w porę na sznurku do studni będzie miała idealną temperaturę. Wieczorami dymiła waza „oulade”, kapuściano-kartoflanej tutejszej zupy na boczku, albo jakiejś innej, prawdziwej, nie z żadnych proszków.

Waza, która gdyby się stłukła, to jakby kogoś ubyło, prastara, z pożółkłego, splekanego jak ich lustro fajansu, kto wie po kim przez Marię dziedziczona, parowała z pewnością taką samą „oulade” dla tajnie za skałą goszczonych Rolandów czy Cavalierów. Smakowała, jak wtedy. Czupryna Jana srebrzyła

się, do lampy zlatywały się szalone ćmy, skrzeczały na całą dolinę cykady. Maria krzątała się w biblijnym milczeniu, przynosiła z kuchni półmiski, przysiadła u końca stołu, czujna i służebna, ale gospodyni. Dama. Zaś na deser były brzoskwinie i figi, jeszcze rozgrzane dniem, prosto z ogródka. Albo własnej roboty konfitury z wiśni i owczy, twardy serek.

Do posiłków nie pijało się wody ze studni, choć też była dobra. Po wodę do picia schodziło się do źródła, niżej, w lesie. Źródło miało magiczną reputację. Tryskało wprost z boku skały, po mojżeszowemu. Ktoś, kiedyś wczepił tam zwykłą deszczułkę, korytko i jej żłobkiem zsuwała się nieustannie stężona, lodowata nitka, tworząc małe jeziorko, ciemno-zielone od korzystających, nawilżonych przezeń paproci, których nie widywało się tutaj w tak podzwrotnikowej wybujałości.

Źródło było wszystkich i niczyje. Woda, złowiona do nadstawionej bańki, przelana do starej karafki, natychmiast osnuwała jej pękate szkło oparem. Mogłaby wskresić umarłego z pragnienia. Miała jakieś tam właściwości lecznicze. A gdy nią było obmywać twarz, zwłaszcza o nowiu, przedłużała młodość i urodę. Musiały w tym źródle mieć jakieś akcje tutejsze Panny.

Powitalna fanfara muszli, łyk źródlanej wody, nie krzywdzącego wina, serdeczność Janów wskresiły ich, odmłodziły, odwały kamień z serc. Zegar, stary sewenolski zegar, obudowany rzeźbioną szafką, łykał metronomicznie miedzianym wahadłem jak sto lat temu, jak w przeszłym, jak w zaprzesłym roku. Właśnie wybijał dla nich solennie pierwszą godzinę wakacji. Nic tutaj się nie stało, nic się nie zmieniło, Picasso z Nîmes i para emerytów z Montpellier oczywiście już zjedli i poszli spać, jak zwykle. Jan z Marią jak zwykle na nich czekali. Nic tutaj nikomu grozić nie może, żadna zła wiadomość, żadna podejrzana wizyta. Żaden krzyk nie wyszarpnie ich tutaj ze snu.

Poza madame Konik tutejszego ich adresu nikt nie znał, nawet stróżka, bo po co? Przeadresowywanie korespondencji załatwiali na poczcie, to pewniejsze. Z prenumeratą pism to samo. Nadchodziły z odpowiednim opóźnieniem, ale na co tu komu świeże wiadomości? Tyle, żeby było na co rzucić okiem w czasie poobiedniej sjęsty w cieniu bliźniaczych fig, nie bliźniaczych lecz zgoła syjamskich, bo tak ze sobą splecionych, że nigdy nie było wiadomo z której zrywa się owoc.

Tak, słuszna była jej decyzja, słusznie on to zaaprobował, żeby nigdzie nie zbaczać, tylko popędzić wprost tutaj. Do azylu. W czym by mogli pomóc czy poradzić Konikowej? Małemu?

Oni dla niego, bardziej jeszcze niż on dla nich, byli, ale nie było ich.

Ten aspekt jego choroby najbardziej ich bolał. Nie zauważał, nie rozróżniał, nie tylko ich. Osoba była dla niego rzeczą. Gorzej. Rzeczy dla niego były ale nie było ich, na równi z osobami. Na człowieka reagował nie reagując tak samo jak na przedmiot. Żeby można było chociaż się łudzić, że przedmioty są dla niego osobami! Ale i to zostało mu chyba odjęte. W odosobnieniu, w wycofaniu się ze świata, rzeczy i ludzie w jednakowej abstrakcji, w jednakowym chaosie sprzed pierwszego dnia Księgi Rodzaju odbijali się w oczach tak pięknych, ocienionych tak długimi rzęsami. *Lavagne* opuszczone przez Panny.

Tak, fakt leżenia, fakt siedzenia, pozycja w przestrzeni, ciepło czy zimno, nagość czy ubranie, fakt przełykania, trawienia, defekowania, niechciane, niezamierzone, organizowane przez wprawne ręce-narzędzia madame Konik, pewno sen w jakiś sposób oddzielony od jawy, kolorów, zapachów, w notowanym przez zmysł, ale nie segregowanym przemieszaniu, to może jakoś doń trafiało. Wyjątek: krzeselko, gdy go w nim posadzono, zamknięto ruchomą listwą. Ściana, gdy się o nią opierał plecami. Szorstkie, ale pewne siebie ręce madame Konik. Ona wiedziała co, jak i kiedy z nim robić. Zawsze tak samo. Jej nie były potrzebne lekarskie przykazy, nie musiała radzić się żadnych książek, przerzucać się z jednych teorii w drugie, śledzić postępów wiedzy. Najważniejsza, najbardziej asekurująca była rutyna. Posiłki o tej samej porze, powtarzające się potrawy, identyczny rytuał mycia czy kąpieli. Cukierki, wsuwane do ust, gdy zaczynał objawiać niepokój. No i pigułki, zanim zdążył razem ze swoim krzeselkiem-pręgierzem zerwać się, mały Samson blond, by rozwalać słupy niezrozumiałej świątyni, by uciekać znikąd do nikąd, na ośle. By tłuc, by bić. Zabijać?

Urodzili Abła. Teraz trzeba było trzymać pod narkotykami Kaina.

Podglądali Konikową. Konotowali sobie jej sposoby i sposobiki. Na przyszłość. Na starość. Na po emeryturze. Przyda im się kiedyś jej doświadczenie.

Tym bardziej zaboląta ich śmierć Konika i zbyt rychłe pojawienie się sąsiada. Amant, zgoda, ale jeśli konkurent do wdowiej ręki? Który tam się wprowadzi na stałe? Trzeba było pospieszyć się, nareszcie znaleźć tutaj ów dom, dobić targu. Coś mieć, jakąś odskocznię. Bo i tak madame Konik będzie im jeszcze potrzebna, przez ładnych parę lat. Zanim dojdą do

niezbędnej do życia tutaj emerytury, zanim ten dom odpowiednio urządzią, zanim będzie ich stać na to, żeby tutaj we trójkę przenieść się spokojnie, z namysłem, z koniecznymi dla małego ostrożnościami. I jeszcze sobie jakoś tu pożyć pospołu.

Jan obiecał im zeszłego lata, że tym razem już na pewno rozejrzy się i wyszuka coś odpowiedniego. Znał ich problem, znał ich możliwości i potrzeby. Ale nie sposób pytać o to tak zaraz na przyjeźdnym, od progę. Jutro porozmawiają spokojnie. Jan nie jest z tych, którzy nie dotrzymują obietnic.

Pachnące powietrzem prześcieradła przyjęły ich znajomym chrzęstem, znajomą szorstkością. W otwartym oknie wieża Cezara i Wenus. Brzęk zmywanych przez Marię naczyń szybko ucichł. Doszły do głosu cykady, które pewno cały czas krzyczały. Zahuczała sowa. Nawet sowie wołanie tutaj nie miało charakteru złej wróżby. Pójdź! I pójdź! To było wołanie na sen, nie na śmierć. Zegar tykał za ścianą hipnotyzująco, metronomicznie.

Jeszcze szumiąco im w ciałach odrętwienie jazdą. Byli jak para marynarzy po długim rejsie, gdy w pierwszą noc na stałym łądzie wciąż nimi kołyszą fale oceanu.

Poddali się podróźniczemu zmęczeniu, kołysaniu, sowiemu nawoływaniu do snu, przytulili do siebie we wzajemnym ciepłe, wzajemnym pomocnym spleceniu. Jak zawsze, jak od lat. Tylko dzięki temu Nawzajem bez słów, jedno dzięki drugiemu, wspólnie z drugim, ów kamień, wspólnie dźwigany, nie pociągnął ich dotąd na dno.

A jednak ta pierwsza, ta upragniona noc w domu za skałą nie była tak dobra, tak oczyszczająca jak zazwyczaj. Było zaledwie szaro, gdy coś przebudziło ich nagle, jak gdyby ten sam harpun zahaczył dwie syjamskie ryby i wyszarpnął z wody.

— Coś mi się przyśniło — szepnęła ze skruczą, sądząc że to jej nagły ruch, zerwanie się by gdzieś biec, od czegoś uciekać, wyrwało i jego ze snu.

— Mnie też, ale to chyba nie był sen. Co to było? Czyś coś słyszała?

Siedli w łóżku, podciągając pod brody kołdrę, pikowaną, familijną kołdrę Janów. Od okna wiało chłodem. Nasłuchiwali. Dom spał. Jeden zegar chodził, tykając, nie marnując czasu. Dolina także spała. Na popielatym już niebie wieża Cezara, zębata wycinanka, czerniała pusta, bez gwiazdnego cacka. Zaraz będzie wschodziło słońce. Jeszcze nie wzeszło, a już zlikwidowało gwiazdy. Gdzieś daleko poświstywały pierwsze ptaki dzienne.

— Co ci się śniło?



— Nie wiem. Spijmy. Jeszcze noc.

Ale nie było już dla nich nocy. Udając jedno przed drugim, zaciskając oczy, przeleżeli osobno, gdyż w przytuleniu trudniej symulować sen, aż do białego rana, do szczękania naczyń w kuchni, przesuwania fajerek, do zapachu kawy przenikającego szparami drzwi.

To była zmora. Męczyła się, próbowała ją sobie odtworzyć, przypomnieć, leżąc możliwie bez ruchu, popatrując ukradkiem od czasu do czasu w okno, które różowiło, niebiesciło się, wilgotniało od rosy. W tej zmurze grała rolę — dlaczego? Jaką rolę? — najbliższa jej przyjaciółka, która ich kiedyś szczęśliwą ręką właściwie wyswatała, a której teraz nie widywali całymi miesiącami. Unikali jej. Może i ona ich unikała? Chrzestna matka małego...

Tak, to było u niej w domu. Siedzieli przy stole... Tak, urodziny małego. Trzecie, bo trzy świecek na urodzinowym torcie. Chrzestna matka celowała w pieczeniu ciast i tortów. Coś jak madame Durand. Więc tradycyjne urodzinowe obiady odbywały się u niej, od jednej do trzech świeczek na zawsze czekoladowym torcie.

I co wtedy? Co wtedy stało się takiego we śnie, że wydarła się zeń z krzykiem, drżąc i spocona?

Po co koszmary? Taki obiad miał miejsce naprawdę, na jawie i był ten urodzinowy tort. Jawa gorsza od sennych majaków. Sen zawsze korci, gdy nam się tak nagle wymyka, ale zamiast przychwytować go, przypominała sobie tamto wydarzenie. Które, dla odmiany, nie chciało odstąpić, odpychane.

Chrzestna matka... Czemu ich zapraszała, jak gdyby nigdy nic? Po co piekła ów reprezentacyjny tort, po co wtykała weń trzy urodzinowe świecek? Ona przecież dobrze już wiedziała, gdy oni jeszcze nie mogli, jeszcze nie chcieli, nie byli w stanie tego wiedzieć. Rodzice jak mężowie, dowiadują się na ostatku. Konspiracja milczenia działa i w jednym i w drugim wypadku, choć od szeptanych, kolportowanych komentarzy aż szumi poza ich plecami. Ale zdradzeni mężowie czasami miewają szczęście i nigdy nie dowiadują się, jak byli nieszczęśliwi, jak obżałowywani. A cóż to za nieszczęście, zdrada? Większe słowo nieraz niż rzecz. Gdy o niej nigdy się nie dowiedzieć, nigdy nie zaboli. Czasami to taka przejściowa choroba, niewinny wypadek, przypadek, coś jak plama na ubraniu, na którą słusznie nie trzeba nikomu zwracać uwagi, bo po co go peszyć, gdy ona sama przyschnie, sama zniknie bez śladu i bez bólu. Czasem nawet z korzyścią dla chwilowo poszkodowanego.

Ale rodzice? Ale oni? Gdy coś więcej niż zdrowie wchodziło w rachubę? Ale ona, ta najbliższa sercu, ta druga matka małego, chrzestna, więc odpowiedzialna za jego duszę? Czyż nie powinna była, skoro zrozumiała co się z nim dzieje, otworzyć im oczu? Uderzyć na alarm?

To prawda, i tak by się to na nic nie zdało. Od początku było za późno. Ale oszczędziłaby im może wielu analogicznych wizyt i obiadów, a potem przykrego dziwienia się, czemu zaproszenia robią się rzadsze, czemu wizyty u nich coraz częściej, pod coraz bardziej sztucznymi pretekstami odkładane? Tej pustyni, w której się nagle znaleźli, przez nikogo nie ostrzeżeni, nie przygotowani?

Albo i lekarze. Kłamali? Czy nie wiedzieli?

Któregoś dnia, gdy mały był już szczęśliwie umieszczony u Konikowej, natrafiła przy porządkowaniu szafy na gruby plik recept, rentgenów, konsyliarnych, molierowskich orzeczeń. Przecież to było jasne, nawet dla profana, od pierwszej chwili, gdy zaprowadziła — zawlokła — syna do lekarza. Dziecko miało się w poczekalni jak wiewiórka tknięta wściekłą. Krzyczało. Przyjął ich zresztą poza kolejką, na co skwapliwie zgodziła się reszta sterroryzowanych pacjentów .

Ten lekarz znał go od urodzenia, ba, sprzed urodzenia. I cóż orzekł? Ze to nic takiego, chłopiec zbyt inteligentny, zbyt szybko przeskakuje etapy rozwoju, zbyt „żywy”, stąd przejściowe podniecenie, zakłócenie równowagi, które minie samo.

I zapisał coś na uspokojenie, z przestrogą, by tego nie nadużywać. Zresztą z podręcznej swej apteczki zaraz wyciągnął jakąś tubkę i pierwszą pigułkę sam wmusił małemu. Szybko zadziałała, tak że do taksówki doniosła go na rękach, ciężkiego już, jeszcze cięższego przez półsenny bezwład. Całą drogę, wdzięczna lekarzowi, trzymała na kolanach ufne ciało swego dziecka i wdźwigała je potem po schodach.

On już sam na te schody się wspinał, sam z nich zbiegał, takie miał przedwczesne, niewczesne zapędy samodzielności, tak się wszystkim cieszył, każdą nowo zdobytą umiejętnością, każdym nowym poznanem rzeczy i jej nazwy. Wszystko rozumiał, powtarzał, tworzył. Nigdy nie płakał, no, może czasem, gdy go coś zabolalo. Przy tym szczepieniu ledwo się skrzywił. Chuchnęła na ranę. — To nic! — powtórzył dzielnie, sepleniąc po swojemu.

To nic...

O żadnym szczepieniu lekarz ani wspomniał. Sam je przecież przepisał, sam nakazał. Nie skojarzył? Nie chciał skojarzyć?

Czemu z miejsca nie skierował jej z małym do specjalisty?

Gdy chrzestna matka zapaliła uroczyście trzy świece, działanie proszka musiało akurat ustać. Do tej pory mały siedział, obcy im, obcy sobie, ale nie wadzący. — Ależ wygrzeczniał! — zachwalała przyjaciółka. Trzy płomyki najpierw zafascynowały go, jakby nie tylko odbiły się w jego oczach ale i przeniknęły do środka. — Zdmuchnij, kochanie! — nachyliła się nad nim chrzestna matka. Z nieobłudną na pewno serdecznością, ale z jakże obłudną propozycją. Że to niby normalna rzecz. Skoro zeszłego roku już potrafił sam zdmuchnąć dwie świece, budząc ogólny aplauz.

Była jak wszyscy. Wszyscy się tak do niego przy nich zwracali, czule i obłudnie, nawet gdy ciskał w nich resztkami samochodzików, nawet gdy biegał w kółko, frenetyczny, przekręcony automat, i krzykiem uniemożliwiał wszelką rozmowę. Jakie żywe dziecko!

Mały patrzył na swoje trzy świece. Mały je widział. Zamarli, jakby nagle miał stać się cud. A potem, nie wiadomo po jak długiej chwili, wyciągnął ręce, nie, on te ręce jak automat sprężynowo wyrzucił, wystrzeliły z niego miazdząc czekoladowy tort z pasją, z nienawiścią i zaczęły nim ciskać jak błotem, garściami.

Świece pogasły bez dmuchania.

Przeprosili. Przepraszała za poplamiony obrus, tapety, suknię. Ona, ta chrzestna, ta druga matka, jakże nieszczerze pobłażliwa, jak przesadnie bagatelizowała incydent. Potem dopiero odczuli, jak sztuczny był jej śmiech, sztucznie salonowe przejście do historyjek z innymi dziećmi, gorszymi niż ich syn figlarzami. — Zawsze mówiłam, żywe srebro z niego! — zagadywała ocierając sobie twarz, biegnąc z mokrą gąbką na ratunek obić fotelowych. Napomknęła nawet dowcipnie o komediach amerykańskich i obrzucaniu się aktorów ciastkami z kremem. Ten mały po prostu genialny, sam takie „gagi” wymyśla! Bo przecież nie mógł tego chyba jeszcze widzieć w kinie? No i w ogóle nic nie szkodzi, choć czekolada, wszystko się ze wszystkiego świetnie wywabi. Głupstwo.

Jakby to o plamy i ich wywabianie chodziło...

Zrezygnowali z już zaparzonej kawy, wmusili w małego nową pigułkę na drogę i wycofali się z nim, znowu „grzecznym” bo otumanionym, bez przekonania zatrzymywani.

I wcale nie tak zaraz potem, tylko po miesiącu czy dwu miało miejsce ostatnie konsylium, Sąd Najwyższy, wyrok bez odwołania. Dożywocie dla nich trojga.

Dlaczego jej się to teraz, tutaj, pierwszej nocy przyśniło? A jemu, czy to samo? Czyżby i sny dzielili, tak jak dzielą jawę?

Ich sny bywały ciężkie i zatrute, ale tam, w miejskim mieszkaniu. Tu nigdy. Tamten dom był świadkiem i sceną. Często drzwi do pokoju małego otwierały się nocą na oścież. Ale tutaj?

Nieczyste sumienie. Choroba małego, gorączka. To, że nie chciało im się wstąpić do Konikowej.

Coś jeszcze było w tym koszmarze, nie sama tylko powtórka urodzinowego sprzed iluż już lat obiadu u chrzestnej matki. Coś ciemnego. Dotykała tego snu, jak się dotyka bolącego zęba, nie mogąc go ani wyrwać, ani ukoić. Coś złego. Jakaś obecność — nieobecność, jakieś coś-ktoś, obły, anty-materialny płat czegoś, miękka masa przygniatająca ich dwoje, nie, ich troje, dusząca ich. Tak, byli w tym śnie duszeni.

Masa czekoladowego tortu? Skąd?

Za szybko otworzyła oczy. Treść senna wyciekła przez okno, rozpląnęła się w już rozbudzonym dniu. Zakrzyczał znowu ptak, tuż obok, może na syjamskich figach. Triumfalnie.

Niczego już sobie więcej przypomnieć nie zdoła. Nie zdołają.

Wiadomo było tylko, że w tym koszmarze krzyczeli wszyscy troje, oni i mały, jednym głosem. Jednakowo zagrożeni.

## VIII

Już wczoraj zauważyli, że Jan jakby trochę utykał. Przy śniadaniu okazało się, że to poważna sprawa. Parę dni temu, krzątając się przy obórce, przebił sobie stopę obutą w gumowe, zagnojone buty jakimś kolcem i chociaż Maria zaraz mu ten kolec wyjęła i zdezynfekowała ranę, zaogniło się i dziś rano okazało się że cała stopa jest spuchnięta i sina.

Z początku Jan prawie się ucieszył, że tego potężnego ponoć kolca nie połknęła z paszą ich krowa. To byłaby prawdziwa klęska! Teraz siedział zgnębiony pod latoroślą, zaniechawszy prób wzcucia buta na rozstępnioną nogę. W tym stanie rzeczy nie mógł odwieźć mleka do miasteczka. Już było późno.

Ze wszystkich poukrywanych w załomach skał gospodarstw zwożono — lub znoszono — bańki mleka z wieczornego i z rannego udoju pod obórkę Jana i jego funkcją było dostarczać je

do mleczarni odległej o parę kilometrów. Miał motorek z przy-czepką. Zarabiał na tym grosze, ale dla nich liczył się każdy grosz. Głównie była to jednak funkcja prestiżowa, powierzona mu na mocy powszechnego zaufania, rodzaj deputacji. Każdy litr mleka liczył się w tych stronach.

— Trzeba było zaraz wczoraj nam powiedzieć! Trzeba było nas obudzić w porę! I tak już od dawna nie śpimy!

Nie goląc się, nie dopijając kawy wciągnął stary sweter i tutejsze dzinsy i władował bańki do bagażnika. Myślał jechać sam, dobrze wiedział gdzie mleczarnia, ale Jan nie chciał do tego dopuścić. Sprawa mleka okazała się tak wielkiej wagi, że o bosej, omotanej przez Marię szarpianami z czystego płótna stopie pokuś-tykał za skałę i wszedł do samochodu. To może i lepiej, przy okazji namówili go we trójkę z Marią, żeby jednak wstąpił do doktora. Z infekcją nie ma żartów.

Pojechali. Wróciła sama do pokoju, ubrała się, przysiadła na łóżku. Inaczej tego roku zaczynało się lato. Zwykle zaraz po śniadaniu szli na tradycyjnie inauguracyjny spacer w stronę przełęczy Mercou. Czyli Merkurego. Tak ją musiały kiedyś ochrzcić karawany rzymsko-galijskich kupców. Dzisiaj, zanim tamci obrócą i po mleczarni i po doktorze, będzie południe, pora obiadowa, upał.

Trudno. Samej nigdzie iść się jej nie chciało.

Do przełęczy Mercou było blisko, pierwszy spacer na miarę, dla wprawy, na odzyskanie formy po miejskim, nieruchliwym roku. Nie trzeba było przekraczać szosy. Zaraz za Janową skałą mała droga biegła najpierw koło obórki, oczywiście kamiennej. Wszystko tu było z szarego, chropawego kamienia, domy, obory i skały. W obórce mieszkała krowa, jedna jedyna, choć miejsca było na parę. Nieodmiennie zastawali tam Jana, który już zdążył obrócić z mleczarni, mył bańki, zmieniał krowie pościółkę, albo coś grzebał w ogródku. Tam też, jak i poniżej domu, była piędz prawdziwej, dobrej ziemi i studnia, do której spuszczało się wiadro na łańcuchu i czerpało wodę do podlewania. Skarb.

Srebrna czupryna Jana widniała z daleka. Przystawali na inauguracyjną pogawędkę. Opierał się na widłach czy łopacie, opowiadał dzieje minionego roku, ramowy, do późniejszego roz-winięcia, skrót nowinek, stawiał prognozę pogody na najbliższe dni. Wielkie łby hortensji zdążyły już wypłowić od żaru. Rosły tu jak wieczny bukiet, trochę sztuczny, pod wmurowaną w ścianę obórki pamiątkową tablicą. Pierwszą żonę Jana tutaj dosięgła kula. Wybiegła z domu, kiedy za ich skałę skręcił niemiecki

samochód, chciała dobiec do lasu, właśnie do przełęczy Mercou, trochę pewno by uciec, a przede wszystkim by ostrzec ukrywającego się tam Jana z towarzyszami.

Ostrzegł ich strzał.

Jan im kiedyś tę sprawę opowiedział. Wszystko było zresztą wykute nagrobkowymi literami na tablicy, data, okoliczności, uroczystym, trochę starotestamentowym, patriotycznym stylem. I nigdy już więcej nie było o tym mowy. Może ze względu na drugą, na obecną Marię. Z tą pobrali się później, po wojnie. Była już niemłoda, małżeństwo z wdowcem, prostym chłopem, stanowiło rodzaj mezaliansu, ostatnią szansę starzejącej się, zbiedniałej panny z mieszczańskiej rodziny. Ale nie było to niedobrane małżeństwo. Przeciwnie. Ich dwie natury, jej surowa, poważna, przyciszona, jego serdeczna, spontaniczna, otwarta, zgrały się idealnie. Jak on w ogóle mógł być kiedykolwiek z kimś innym żonaty? To musiał być inny Jan.

Maria, ta druga, ta teraz, miała za sobą jakieś szkoły, Jan wrodzoną bystrość. Dobroć. Ona może kiedyś więcej wyczytała, on więcej wiedział sam z siebie. Milczała, on mówił za dwoje. Ta sama protestancka uczciwość, odpowiedzialność i solidność. Wspólne borykanie się co dzień i od wielu już lat stworzyło z nich to, co się nazywa uzupełniającym się stadłem. Parę. Jego wdowieństwo, jej staropanieństwo spotkały się w samą porę i podparły na resztę życia.

Pomachawszy ręką Janowi szli dalej, pięli się ku przełęczy. Droga wiła się zakosami i zaraz za obórką, po prawej stronie, zaczynała się wielka, niczym nie ogrodzona bo warowna skalista skarpą posiadłość, którą ochrzcili „Pod trzema cedrami”. Trzy sędziwe, dostojne cedry ocieniały ledwo majacący z daleka, z dołu, dom.

Nikt tam na stałe nie mieszkał, od lat. Była to letnia rezydencja jakichś wyrosłych stąd, ale już zmieszczających, zbagacanych ludzi.

Od pierwszego wejrzenia pokochali te cedry, dom nad urwiskiem, nie dość zamieszkały, nie dość zadbany. Bliski, a daleki. Coś dla nich! Tutaj by mogli schronić się z małym, ukryci przed resztą świata, ale zabezpieczeni sąsiedztwem Janów. Tutaj by mogli żyć aż do śmierci!

Taki dom, z takim szmatem kasztanowcowego lasu, gruntu dokoła, tak malowniczo położony, z takimi cedrami w prostej linii libańskimi, krzyżowcowymi, musiał kosztować majątek, choć dach mu szczybił się co roku bardziej poobsuwanymi, popękany od zimowych mrozów dachówkami, co było widać nawet

z daleka. Chociaż, kto wie? Janowi obito się o uszy zeszłego roku, że właściciele skłonni byłiby do sprzedaży. Mieli podobno zamiar nabyć sobie coś nad morzem, w bardziej turystycznych, modnych stronach. Do tej pory ceny tutaj nie poszły jeszcze zbyt wysoko, domy pustoszały, popadały w ruinę w miarę wymierania starszych pokoleń, gdy młodzi, nie znajdując tu pracy, emigrowali do miast. A dla mieszczuchów nie było tu podbijających ceny atrakcji: morze nie pod progami, góry, owszem, ale o sportach zimowych, o nartach mowy nie ma. Więc...

Nie tak jak w stronach Konikowej, gdzie byle rudera była na wagę złota. Nic dziwnego, godzina, półtorej od miasta. Stolicy. Ale cóż tam za domy! Albo z brzydkiej, krwistej cegły, albo z belek pozbijanych na krzyż, poutykanych czymś w rodzaju gliny z sieczką, tak że starzejąc się, gdy wygniły im tynki, nie popadały w ruinę, tylko pruły się jak liche skarpety. Pejzaż był tam może bardziej wiejski, sielski, lasy i laski, płaszczyna, możliwość niemęczących, emerytalnych przechadzek, falujące to zielono, to płowo pola. Łagodniejsze lata, łagodniejsze zimy. Ale wszystko widoczne jak na dłoni, wioski ciasno zbite wzdłuż drogi, sąsiadujące z sobą ściśle ogródki, a więc wścibskość, a więc nieustanna kontrola. Nieżyczliwa.

Gdyż i ludzie tam z innej były ulepieni gliny. Jak ich domy. Tam mały szybko by podpadł, zaczął być dziwowiskiem, zawadzał by. Szumiałyby po sąsiedzkich ogródkach komentarze, kome-ráže. No i żeby nawet pożyli tam sto lat, nigdy by nie przestali stanowić trójki czarnych owiec. Gdyż nawet normalnych, normalnymi dziećmi obdarzonych przybyszów z miast tamtejsi tu-bylcy przyjmowali niechętnie. To jest nie przyjmowali.

Tutaj, pod cedrami, czy w jakimkolwiek innym kamiennym domu nikt by ich, nikt by ich małego, już dużego, nie podglądał w chwilach kryzysów. A jeśli już, nikt by ich za to nie odpychał. Tutejsi znali ciężar Bożej ręki, wagę przechyloną na stronę nieszczęścia. Zaś obcych, po okresie próby, raz na zawsze przyjmowali do wspólnoty.

W jednym z sąsiednich tu gospodarstw był chłopiec-mongoł, trochę starszy od ich małego. Właśnie: był sobie. Wszyscy go lubili, prowadzili z nim rozmowy, nie zrażał ich ani nie śmieszył jego chaotyczny bełkot. Nawet się przydawał, stale coś komuś przynosił, odnosił, prznosił, z entuzjazmem i pośpiechem. Oni także, choć z początku przykro im było patrzeć na jego nieforemne rysy, wyłupiaste oczy, przyzwyczaili się do niego i nawet cieszyli się, gdy jak zziąjany, czuł pies, śliniąc się, pogadując, podskakując, towarzyszył im kawałek drogi.

Mongoły są poczciwe. Właśnie, są jak czule, przywiązane psy, choć podobno psuje to się z wiekiem i choć także miewają napady agresywności. Dawniej umierali szybciej, obecnie dłużej się „chowają”, medycyna robi postępy, przeszkadza naturze w selekcji. No i tacy upośledzeni zewnątrznie! Ale cóż z tego, że ich mały „aniołeczek”! Już by chyba woleli być rodzicami mongoła. Od początku, od przecięcia pępownicy. Tak, w końcu chyba to byłoby prostsze, łatwiejsze do zniesienia, do przyzwyczajenia się. Tutaj nie byłoby z nim — gdyby był przynajmniej mongołem — żadnych problemów. Mogliby go już teraz przywozić na wakacje, zabierać jak psa na spacer. Miałby kolegę...

Gdyby mogła być mowa o tym, co by woleli...

Albo ten inny chłopiec, także tknięty ręką Boga. Spotykała go idąc do pracy, na moście. Wciąż o tej samej godzinie odprawiał swoje rytuały. Wielki, brodaty, eklezjastyczny, szedł szybkim krokiem, mnąc w rękę, deszcz nie deszcz, baskijski beret, i coś mamrotał. Miał twarz natchnionego zwiastuna klęsk. W połowie mostu przystawał, obracał się wokół stojącej tam latarni, krąg w lewo, krąg w prawo z obrzędową precyzją, a potem stawał przy kamiennym parapecie mostu i patrząc w dół, na rzekę, wygłaszał głośnym szeptem żarliwe kazania. Modły. Czy zaklęcia. Nigdy nie poszedł ani kroku dalej, na drugi brzeg. Zawracał, gdy już wszystko według jego wewnętrznego nakazu było odprawione, zażegnane i zawracał tym samym, nie cierpiącym zwłoki krokiem fanatyka. Z baskijskim beretem już na głowie.

Może w nim, w samym centrum jego mózgu, odbywała się wojna dobrego ze złym? Może codziennym swym ceremoniałem odraczał grożącą światu apokalipsę?

Gdzie mieszkał? Kim byli jego rodzice?

Szczęśliwi rodzice... Oni mogli go wypuszczać samego na ulicę, lekarze orzekli pewno, że nie jest groźny. Umiał trafić tam i z powrotem. Poza swym przystankiem, ceremoniałem w połowie mostu, zachowywał się normalnie, przechodził przez ulicę na zielonych światłach jak każdy, nie zwracał niczyjej uwagi. Od lat spotykała go tak, spiesząc do pracy, tak jak on spieszył się na swoją mszę. Starzał się, to znaczy doroślał, broda z samsonowej, młodzieńczej robiła mu się mojżeszowa, ezechielowa. Stał się mężczyzną. Trochę może dziwnym, ale właściwie, tak na oko, przystojnym, interesującym mężczyzną, któremu po prostu gdzieś się bardzo spieszy.

Tego roku z wiosną rzeka wezbrała jak rzadko, wyszła z murowanego łożyska, zalała nadbrzeżne skwerki i trasę dla aut. Żółta, zbełtana, wartka, unosiła belki, całe drzewa skądś pod-



myte z korzeniami, galopowała nieprzytomnie jak znarowiony koń, jak — według Jana — któryś z tutejszych gardonów. Wszystkie gazety o tym rozpisywały.

Z daleka spostrzegła chłopca na zwykłym miejscu, w połowie mostu. Wpatrywał się w rwącą w dole wodę długo, o wiele dłużej niż to było jego liturgią wyznaczone. Bledszy niż zwykle drżał i nie mamrotał swych zaklęć. Milczał.

Zwolniła kroku, obejrzała się. Wciąż stał, zamieniony w brodaty słup soli, ściskając beret w rękę. A nuż widok wezbranej rzeki tak go fascynuje i wciąga, że przeskoczy parapet? Może stracił nadzieję na uratowanie świata przed potopem? Myśli, że walka przegrana?

Stała tak jakiś czas, pilnując go, mając nadzieję, że jednak okręci się wkoło latarni, w lewo, w prawo, naciśnie beret na uspokojoną głowę, i zrobiwszy swoje zawróci do swojego gdzieś domu, do rodziców. W końcu musiała jednak iść do biura. Wielka była więc jej ulga, parę dni później, gdy rzeka przyszła już znowu do siebie po wiosennym szaleństwie i znowu ten chłopiec wyminął ją na swych długich, młodzieńczych nogach, odbył jak należy rytuały i zawrócił.

Może poza tym jedynym za dnia momentem przymusu był całkiem spokojnym, całkiem bezproblemowym synem? Coś robił, gdzieś pracował? A w każdym razie żył. Sam wychodził i sam wracał.

Masa była takich szczęśliwszych niż oni rodziców. Choćby jeszcze ów człowiek-wół, którego spotykali wyłącznie w niedziele. Miał tępą, doprawdy wolą twarz i od czasu do czasu flegmatycznie sobie porykiwał. Także przez lata byli świadkami jego starzenia się. Teraz był to już co najmniej czterdziestoletni pan, zawsze schludnie ubrany, wygolony i — co im najbardziej imponowało — zawsze niósł pod pachą starannie złożoną gazetę. Czyżby czytał? Mógł czytać? Umiał tę gazetę kupić? W każdym razie umiał elegancko ją nieść. Teraz jego rodzice musieli już wkraczać w zupełną starość.

No a podopieczni madame Konik? Rozmaite były stopnie ich normalności. Ale żadne z tych dzieci nie było tak bez nadziei strącone z drabiny jak ich mały.

Zapowiadał się wielki skwar. Słońce już parzyło, stojąc w oknie. Zamknęła okiennice i w czarno-złoty pręgach światła zaczęła się trochę krzątać. Rozpakowała walizkę, poukładała przywiezione rzeczy na półce, przeglądnęła te, które zostawili od zeszłego roku.

Torebka nie była jej tutaj właściwie potrzebna. Wstawiła ją do szafy, nie wyjmując z niej ani klucza do mieszkania, ani tego do ściennej szafy, ani tym bardziej pereł. Ale pamiętała, że to wszystko z sobą przywiozła. Absurd! Zwłaszcza perły, tutaj! Kwiatek do kożucha!

Dawniej nosiła je bez przerwy. Bardziej przez sentyment niż dla ozdoby. Niektórzy mówią, że perły to łyzy, przynoszą nieszczęście. Ale gdy on je dla niej kupował, oboje byli opancerzeni taką radością! Musiały kosztować majątek, jak na ich wtedy kieszeń. Kiedyś, przed jakimś sklepem jubilera wymknęło jej się, że — o, takie — chciałyby mieć. Zapamiętał to i przyniósł jej w wyściełanym aksamitem puzderku zaraz pierwszego dnia do kliniki, gdy mały leżał obok, czerwony, jak odarty ze skóry, jeszcze ślepe szczenię. A przecież mętne oczy noworodka musiały wtedy lepiej rejestrować świat niż dziś...

Równy nanizane, matowo błyszczące, perły miały rzeczywiste formę stwardniałych łoż. Któż by brał pod uwagę, wtedy, głupie przesady! Słaba ze szczęścia, zaraz je sobie dała założyć na szyję i leżała, dumna królowa-matka. To był z jego strony królewski prezent, królewski gest.

Właśnie te perły mały zerwał jej kiedyś ze szyi i oboje z ojcem zbierali je na wyścigi, gdyż dziecko deptało po nich, rozgniatało je z wrogą satysfakcją. Parę łoż przepadło. Nanizany na nowo sznurek był krótszy. Jeszcze trochę, a mógłby dusić.

Nosiła jednak od czasu do czasu tę jedyną swoją, poza obrączką, prawdziwą biżuterię. Podobno perły umierają, gdy się ich nie nosi.

Kiedy wnuk Durand napomknął o taczaniu agatowych kulek po podłodze ich mieszkania, przypomniała jej się ta scena, tamten moment, kulki pereł toczące się na wszystkie strony, gorączkowe ich zbieranie, ratowanie i nie zabawa, lecz groza, jeszcze nie całkiem sprecyzowana, a już dusząca. Niby nic takiego, dzieci często zrywają matkom korale z szyi, mogą też je rozdeptywać, to je bawi. Ale w ten sposób?

Jakby go im ktoś odmienił. Ktoś inny, coś innego jakby w nim zamieszkało.

Można by te perły niechący zgubić. Albo wyrzucić. Czy to by pomogło? Komuś dać w prezencie? Co za odpowiedzialność! Można by je tutaj zapomnieć, zostawić w szafie Janów do następnego lata. A jeśli i Janom przyniosą nieszczęście? Nie. Nosząc czy nie nosząc, i tak je miała, skoro na własne życzenie zostały jej w tak ważnym momencie ofiarowane. Z tak wielkiej miłości.

Była do nich przywiązana. Przymierzyła je sobie teraz, przejrzała się w starym, owalnym lustrze Janów, opartym na komo-dzie. Twarzowe. Ale zaraz szybko je zdjęła, włożyła do torebki, zatrzasnęła zamek, zamknęła drzwi szafy. Nie tutaj. Tu zwykła chadzać z wolną szyją.

I tak nic nie mogło zdjąć z jej pamięci dławiącego przeżycia, gdy mały, po chwili zafascynowanego wpatrywania się w mlecz-ne ich połycki — tak samo wpatrywał się w nie gdy był całkiem mały, osesek, tak samo błądziła mu ręka by sięgnąć po nie, by ich posmakować dotykiem — nagle szarpnął za sznurek, zerwał je z jej szyi, a potem wdeptywał w podłogę kruche, białe skorupki łez.

## IX

Maria obierała kartofle na werandzie. Zaofiarowała jej się z pomocą. Maria bez słowa przyniosła drugi nożyk z kuchni i obierały razem.

Tu nie było się pensjonariuszem, tu się było gościem. Za śmieszna „dniówkę” Janowie starali się tak, jakby tydzień składał się z samych niedziel. Ich posiłki przez resztę roku musiały być znacznie skromniejsze. Przyjmowali zaledwie parę osób, prawie wciąż tych samych, nauczycielkę z Nîmes, małżeństwo emerytów z Montpellier, no i ich dwoje. Dom za skąłą był tak mały, że Janowie odstępowali im własny pokój, przenosząc się na miesiąc do prawie komórki przy strychu. Tak że, najbardziej uhonorowani, spali w dziedzicznym, masywnym łożu gospodarzy, zaś w przepastnej szafie pachnącej ziołami ich rzeczy sąsiadowały z rzeczami Marii i Jana. Nic hotelowego, pensjonatowego, czysta domowość.

Z Marią nie rozmawiało się, z Marią się milczało. Gdy czasem zabierała głos w ogólnej rozmowie, zawsze było to jedno zdanie, ale zdanie ważne, puenta. Dobrze milczało się z Marią. Obierane na cztery ręce kartofle wpadały do miski z wodą. W liściach winogrodu cykał namiętnie świerszcz — cykada? — zwariowany ze słońca. Plamy cieni i światła zafiksowały się, ani powiewu, spiekota twardniała i tylko plusk wody za każdym obranym kartoflem rzeźwił ciszę.

Tym razem milczenie Marii wydało jej się inne, nabrzmiałe

troską. Przy którymś kartoflu zaryzykowała pocięciem. Owszem, infekcja, ale odkąd są antybiotyki, to kwestia paru dni. Żadne niebezpieczeństwo. Zagoi się do święta w Saint-Jean.

Maria zacisnęła wargi, jakby zabraniała im przemówić. Odczekała aż Picasso z Nîmes odejdzie, kłapiąc sandałami, nakładając słomiany kapelusz, który robił z niej chudego, zgarbionego grzyba, ściskając pod pachą szkicownik, z którym nigdy się nie rozstawała. Jej spacerzy nie były bezinteresowne, wciąż polowała na „schrupanie” jakiegoś kawałka pejzażu i gdy Jan raz ją mianował „Picassem z Nîmes”, tak to jakoś pasowało, że nikt o niej inaczej od tej pory nie mówił.

Emeryci także gdzieś podążyli. Zostały same. Maria pofolgowała wargom.

Nie, nie chodziło o stopę Jana. Nie tylko. Chodziło o złych ludzi. Którzy mu zazdroszczą.

Czego? Czego można było zazdrościć Janowi? I kto?

Źli ludzie, po prostu. Źli sąsiedzi. Którzy sami chcieliby na jego miejsce zawozić mleko do miasteczka.

O mało nie zacięła się ostrym nożykiem. Źli ludzie, tutaj? Źli sąsiedzi? Tu zazdrościcy, tu wrogowie? Z tak błahego powodu jak parę baniek mleka?

Trudno było przypierać Marię do muru, wymuszać szczegóły. I tak ogromna rzecz, jak na nią, te parę słów, konfidencja. Zresztą kartofle już zostały obrane i Maria, jakby z tego nawet rada, dźwignęła garnek za uszy i opierając go o brzuch zwróciła się do niej w drzwiach kuchni z prośbą. Nie, z zaleceniem:

— O tym ani słowa Janowi. Że ja wspominałam. On wam wszystko sam powie.

Została na werandzie z derwiszowym cykaniem świerszcza nad głową, poruszona tą rewelacją. Dlaczego? Kto? Janowie wydawali się cieszyć ogólną sympatią. A więc i w tych wykuty z kamienia domach leży się robaki? Sąsiedzkie przykrości Janów dotyczyły ich także, nie tylko ze względu na przyjaźń, rzucaly cień na ich nadzieje, na ich plany na przyszłość.

Odczekała trochę, a nuż Maria znów wyjdzie do niej na werandę, coś dopowie, ale z kuchni dochodziły brzęki naczyń i fajerek, metodycznie zaafierowane. Wrócić do pokoju? Samej? Po co? Z werandy widać było zresztą zakręt szosy i zaraz mignie na nim, terkocząc, motocykl listonosza. Żadnych szans, by madame Konik już odpisała, a nawet by coś z poczty w ogóle nadeszło, przedadresowane, nawet gazeta. Ale czekała. Zresztą ich samochód także mógł lada chwila się ukazać. Dostawa mleka nie trwa długo, a lekarz też nie będzie badał Jana godzinami.

A więc i tutaj... Jak w tym wierszyku o świecie, gdzie robak i w najpiękniejszym lęgnię się kwiecie. A może to takie chwilowe, nieważne niesnaski? Ludzkie? Wyolbrzymione przez zbyt wrażliwych, zbyt pocziwych Janów?

Jednak Maria nie zwykła rzucać słów na wiatr.

W bok od drogi ku przełęczy Merkurego starzało się parę drzew morwowych. Ich owoce, białe lub różowe, miały dość obrzydliwy kształt i mięsistość robaków, ale smak bogaty, soczysty. Hodowano tu kiedyś masami jedwabniki, wykarmiane na liściach morw i wszędzie było widać opuszczone, o zasnutych pajęczyną szybach, dawne przędzalnie, zrujnowane przez konkurencję nylonu. Z ich bankructwem wyszło źródło utrzymania tutejszych ludzi. Seweny żyły z jedwabiu, tak jak Szkocja z wełny.

Jan opowiedział im kiedyś po swojemu, barwnie, klęskę choroby jedwabników, która spadła na dziadków czy pradziadków Marii, posiadających taką właśnie hodowlę. Wspominały o tym zresztą turystyczne przewodniki. W wersji Jana był to bicz Boży, coś jak przedtem czarna ospa czy żółta dżuma. Motyle znosiły normalnie miriady jajeczek, ale wylęgłe z nich gąsienice straciły zdolność przeobrażania się w larwy, nie wysnuwały z siebie kokonowej, jedwabnej nici. Sto czy ileś lat temu, a Jan rozprawiał o tym z takim przejęciem, jakby się to zdarzyło wczoraj.

Choroba była tajemnicza. Pierwsze podejrzenie padło na morwy. Ścinano je, wiele padło ofiarą. Karmione liśćmi nowo posadzonych drzew, jedwabniki chorowały dalej, dziesiątkowane przez zarazę. Cóż miały pruć przędzalnie, gdy nie było kokonów? I wtedy Opatrzność zesłała Pasteura. Jan wymawiał to nazwisko z czcią, jak gdyby było poprzedzone przydomkiem: święty. Cudotwórca.

Święty Pasteur nigdy przedtem nie widział na oczy gąsienicy jedwabników. Ich jajeczka wykluwały się w woreczkach, które tutejsze kobiety nosiły na piersiach, użyczając im macierzyńskiego ciepła, tak jak kokosze wysiadują cudze jajka. To trwało swój wyznaczony od wieków, zaprogramowany czas, tak jak jest czas dla wysiadanych jaj, nim pisklą zacznie przedziobywać się przez skorupkę. Wreszcie rój żarłocznych, wijących się, mikroskopijnych żyjątek rósł, tył już na świeżych liściach morwy, dostarczanych im dzień i noc. Pochłaniały je tonami do chwili, gdy za wybiciem godziny na biologicznym, odpowiednio nastawionym dla nich zegarze tłuste robaki traciły apetyt i zaczynały wywijać z siebie nić, kilometrami, osnuwać się w jedwab własnej

roboty, ukrywać w kokonie sekret dalszej metamorfozy, śmierć czy sen. Aż do przebudzenia się pod postacią motyla.

Czyhano na to. Przerzywano im sen, nie dopuszczano do zmartwychwstania. Ważne było, by we właściwym momencie, nie za wcześnie, a już broń Boże nie za późno, dokonać po ludzku utylitarneho morderstwa. Chryzalidę trzeba było zdusić zanim przeobrazi się w motyla, gdyż wydobywając się z kokona na świat zniszczyłby drogocenne przędziwo.

Święty Pasteur, święty Sherlock Holmes, rozpoczął istne śledztwo. Jakich poszlak mogli mu dostarczyć zgnębieni hodowcy jedwabników? Dżuma, cholera, bicz Boży? Dlaczego wykluwające się na piersiach kobiet gąsieniczki rosnąc, tyjąc normalnie na liściach morw, traciły nagle pamięć o tym, że mają stać się motylami? Zapomniały jak się wysnuwa z siebie nić?

Zły duch, duch sprzeczności, musiał być w jakiś sposób w to wplątany. Tak wynikało z dramatycznych opisów Jana. Aby przeszkodzić detektywowi, uczonemu, zesłał na niego śmierć. Najpierw śmierć ojca. No, ten już był stary. Ale potem śmierć młodej córki. Po pierwszym, po drugim pogrzebie Pasteur powracał jednak w Seweny, podejmował przerwane śledztwo, poruszony nieszczęściem, ujęty dobrocią tutejszych ludzi, zagrożonych nędzą. Więc jeszcze jedna śmierć, trzeci pogrzeb w Jura, drugiej córki, na tyfus. Za trzecim jednak powrotem, z potrójną krepą żałobną w klapie marynarki, odkrywa sprawcę. Demaskuje zło.

Zło gnieździło się w samym załączku życia. Jak zawsze. Niektóre motyle składały jajeczka zapłodnione śmiercią. Przekazywały śmierć tak jak się przekazuje kolor plamek na skrzydłach czy na tęczęwkach. Nie tę śmierć konieczną, normalną, tylko jej formę zwyrodniałą, zanik pamięci genetycznej, roztargnienie gąsienicy, która nie wiedziała jak się przedzie i że pora prząść. Wystarczyło identyfikować je i nie dopuszczać ich do lotów godowych. Wyśledził, po czym można rozróżnić dobre motyle od złych, dobrych od złych rodziców. I przerwał łańcuch jedwabnikowego przekleństwa.

Ta stara, lokalna historia dotyczyła ich także, bardziej może niż Marii, zubożałej dziedziczki hodowców jedwabników, którzy zresztą podnieśli się z demonicznej zarazy, i dopiero postęp techniki, równie demoniczny, zrujnował ich ostatecznie. Na sztuczne włókno nie lękające się żadnych kaprysów natury żaden święty Pasteur nie mógł wynaleźć szczepionki.

Ich dziecko urodziło się normalne. Więc niby nie po nich wprost, nie przez nich zatrzymało się na pewnym szczeblu roz-

woju, gorzej, zstąpiło niżej, tak nisko, że to było zstąpienie w nic. W nikogo. Nie byli parą skażonych motyli, którym należałoby zakazać godów. A jednak, kto wie? Nikt nie wie. A jeśli przekazali małemu — które z nich? — jakąś słabość, jakieś uczulenie? Miliony dzieci szczepiło się codziennie, a tylko u niektórych gorączka miała moc niszczyielską, unicestwiała coś zasadniczego w mózgu. Komórkę, która rządzi wysnuwaniem się, formowaniem się osoby.

Święty Pasteur, gdyby żył.. Ale przecież to on rozpętał sprawę szczepionek! Wszystkie szkolne czytanki opisują cudowne ocalenie małego Alzatzczyka, który pierwszy przeżył bez szkody pokąsanie przez wściekłego psa. I już się odtąd zasadniczo na wścieklicznę nie umiera. Ani na tyfus, ani na ospę, ani...

Tylko niektórzy. Niektóre dzieci umierają, nie na ospę, ale właśnie na szczepionkę. I nie całkiem. Obciążone dziedzicznie gąsienice pożerały liście morwy z wrodzonym apetytem, rosły i tyły, ale zabita w nich była umiejętność wysnuwania z siebie jedwabnej nici, niezbędnej, by po chryzalidzie stać się motylem. W niektórych dzieciach, może też przez jakieś obciążenie, szczepionka niszczyła kontakt ze światem. Rosły, jadły, piły, dorosłały, starzały się, ale nie dopełniały przeznaczonego sobie człowieczeństwa.

Mówi się: wyzionąć ducha. Serce przestaje bić i wspólnota komórek, współdziałających z sobą na zasadzie totalnie zdyscyplinowanego społeczeństwa, w którym każdy element odgrywa zaprogramowaną rolę, rozpada się, podlega anarchii i — jak w poruszonym kalejdoskopie — układa się w inne chemiczne i organiczne wspólnoty. Wyrwany włos czy ząb, obcięty paznokieć mają jakieś swoje osobne dzieje w naturze, w której podobno nic nie ginie. Kazać się spopielić, wzdragając się przed rozkładem zwłok, niewiele zmienia. Zwłoki to ciało bez duszy. Ale tak pojmowana dusza to po prostu życie, ludzkie, zwierzęce czy owadzie. W niej — czy oprócz niej? — jest jeszcze coś, co stanowi osobę. Coś jak kokon, z tej duszy, z iskry życia wysnute?

Myśl, mowa, to jest, owszem, funkcja organizmu, jak trawienie czy oddychanie, ale nie dana, tylko przez stworzonego wypracowana, stworzona, osobiście, indywidualnie. Więc może oprócz duszy jest duch? Ten unoszący się nad wodami, wydzierający świat z pierwotnego chaosu nie czym innym właśnie, tylko słowem? Albo jest on jej częścią?

Były takie wierzenia, takie symbolizmy. Ciało, dusza, duch. Efemeryczna trójca. Zabijając ciało, zabija się — czy wyzwala?

— i duszę i ducha. Ciało jest im niezbędnym podkładem. Ono jednak bez ducha łatwiej się obywa niż bez duszy, iskry witalnej. Z duszą, choć bez ducha, puste, dalej prosperuje. Po prostu schodzi o szczebel niżej na drabinie stworzenia. Albo spada, jak ich syn, w chaos sprzed człowieczeństwa. Sprzed słowa.

A może ów duch, różny od ożywiającej duszy, to nic innego jak właśnie Słowo? Zdolność mówienia, myślenia? Tylko Słowo pozwala człowiekowi w drugim rozpoznać człowieka, tylko za pomocą Słowa każdy stwarza sam siebie i stwarza sobie bliźniego. Przemówić do drugiego, znaczy potraktować go jako podmiot, jako osobę, a nie jako przedmiot, rzecz. Uznać go za równego sobie, przyjąć go i poczuć się przyjętym.

Jeśli więc duch to Słowo, znaczy również miłość, bo tylko miłość stwarza. Być go pozbawionym, to przebywać w świecie niższego chaosu, w chłodzie samotności i nienawiści, stać się przedmiotem, maszyną do trawienia, do przemiany wodorowotlenowej. Nie mówić, znaczy odrzucić. Odepchnąć. Zadać gwałt.

Ich mały... Jego krzyk tamtej nocy był krzykiem osuwającego się z drabiny Jakuba. Gorączka właśnie mordowała w nim ducha. Nie duszę. To, co pozostało, było nienawistne, gwałtowne, pierwotną odmową. On by mógł zabić nie wiedząc że zabija, tak jak rozgniatał jej perły, dla samej mechaniki niszczenia. Automatycznie.

Gdyby nie pigułki... Wciąż inne, doskonalone, inaczej dozwane. Święci Pasteurowie ślęczą nad mikroskopami, doskonałą terapię. Ale nie potrafią stworzyć czegoś z nicości, nie potrafią wskrzesić ducha.

Inne wirusy, inne prątki wywołują odwrotne zmiany w mózgu, podniecają zdolność twórczą. Iluż geniuszów zawdzięczamy syfilisowi! Tu natrafiamy na punkt łączący ciało i myśl, materię i ducha. Może i to podpatrzą kiedyś jakieś szkiełka?

Podobno można już rozpoznać skażonych rodziców, których dzieci nie powinno się poddawać szczepieniu ospy. Większe ryzyko, niż zarażenie, a jeżeli śmierć, to pełna, ciała, duszy i ducha ostateczne, normalne rozstanie. Zresztą tak małe teraz ryzyko! Choroba sama jest śmiertelnie chora, zanika.

Ryzyko... Życie jest ryzykiem, w każdej minucie. I łatwiej jednak rodzicom przeżyć śmierć dziecka od którejś z tępiących przez Pasteurów epidemii. Ból ostry, ale trwa krócej. Przecież on sam przeżył jakoś śmierć na tyfus swojej drugiej córki. A gdyby przeżyła, obrócona w debila?

Znowu przyłapała się na potwornej myśli o śmierci małego.



I zaraz ją odepchnęła. Teraz już za późno. Nie byłoby to dla nich uwolnieniem. I jeszcze za wcześnie. Kiedyś, za parę, za paręnaście lat. I razem.

Skoro nie mogli mu dać pełnego życia, tylko skażone, skoro odepchnął ich, przestał znać, przestał nazywać, na całe życie, skoro na to nie ma żadnej rady, żadnego lekarstwa, odnajdą się i połączą w śmierci. To będą jego drugie, to będą ich wspólne, definitywne narodziny.

Gdzieś tutaj. W domu, który może już tego lata znajdą i nabędą. Przygotują. Tu można przygotować dom i na życie, na dożywocie i na to, co potem. Tu nie musiało się koniecznie leżeć na cmentarzu. Wszędzie szarzały po ogrodach płyty z datami, z nazwiskami. Tutejsi woleli obracać się w część swego ogrodu, w część przez siebie za życia uprawianej ziemi.

W ogródku Janów, właśnie obok sjestowych, syjamskich fig, było parę takich płyt, rodzinnych, nie straszących. Spokojnie rozkładali obok koc, okrywał ich jeden migotliwy, rzeźwiący cień. Gdzież indziej można by było tak zwyczajnie układać się na cmentarzu, śmiać się, rozmawiać, podjadać owoce?

Nie wiedzieli jednak, gdzie spoczywa pierwsza żona Jana. Czy pod masywem hortensji, pod murem obórki, pod pamiątkową na jej cześć tablicą? Czy na zwyczajnym cmentarzu? Bo przecież chyba nie tutaj, koło werandy, na której nakrywa do stołu i podaje druga Maria, jej następczyni. A może? Syjamskie figi mogły mieć akurat tyle lat, ile upłynęło od tamtej daty. Ale płyty w ich cieniu były starsze, bardzo stare. Odziedziczone.

Nie, nie pragnęła śmierci małego, teraz. Jakąż pustkę otworzyły w nich, pomiędzy nimi ów odwalony kamień! Zobaczyła go takim jak był zeszłej niedzieli, w łóżku, rozpalonego gorączką. A jeśli to nie grypa, tylko na przykład tyfus? Nie, na tyfus także był szczepiony. I na dyfteryt, i na Heine Medina, na wszystko. Przepisowo. Żaden dziecienny paraliż nie był już w mocy obezwładnić jego rąk i nóg, sprawić że nie będzie nawet mógł ulegać swym nagłym impulsom. Miała cały komplet zaświadczeń szczepionkowych, wymaganych gdy dziecko idzie do szkoły. Z tym nie byłoby problemu...

Ciężkie szyderstwo tej myśli przygwoździło ją do ławy. Kiedyś, tak, był kiedyś taki czas, gdy śmierć małego przyjęliby jak ułaskawienie. Gdy wyrok był świeży, gdy jeszcze się buntowali, gdy jeszcze łudzili się. Gdy nie potrafili dać sobie z nim rady. Gdy przerażała ich wroga obecność-nieobecność, ni ludzka ni zwierzęca, właśnie automatyczna, przedmiotowa w ich rodzonym dziecku, które prawie dopiero wczoraj zwywało ich zaraz

po przebudzeniu z drugiego pokoju, chcąc sprawdzić czy są obok, z którym była wymiana i łączność, uczuć i słów. Który te słowa tak łatwo, tak przedwcześnie chwycił, tak sobie nimi swój świat stwarzał i przetwarzał w nieustającym zachwycie nazywania. Czyli wywoływania z nicości.

Nie od razu pogodzili się z faktem, że jedyne co może rozleć się z dziecinnego pokoju to ów krzyk, nocą czy dniem. Nadbiegali, nawet nie wyrwani ze snu, bo nigdy od tej pory sen tak naprawdę ich nie przyjął, ze szklanką wody, z nową pigułką, byle ubiec gniewne stukanie w sufit sąsiada z dolnego piętra. Byle to ucichło.

Miewała wtedy — miewali — tę pokusę. Ile takich pigułek, żeby usnął całkiem? Całkiem przestał nie być?

Pokusa egoistyczna. W jego krzyku nie było cierpienia, tylko bunt. Nienawistny sprzeciw. Oni cierpieli, nie on.

A potem kajdany wrosły im w ciała. Przywykli. Galernicy przywykają. Zorganizowali się. Przeszedł moment. Gdyby Kain odczekał, nie byłby zabił Abla, przywykłyby do roli mniej kochanego, do pełgających, odpychanych przez niebo dymów swego całopalenia. I żadne Oko by go potem nie śledziło, napiętnowanego.

Wynalezienie Konikowej było decydujące. Więc dalej wioślowali, w rytm comiesięcznych wizyt-inspekcji, zarabiając na małego, to znaczy na madame Konik. Czyli na siebie. Oraz na przyszyły, wspólny dom.

Od szosy rozległ się warkot motoru, zagłuszył świerszcza. Motocykl listonosza mignął na zakręcie. Nasłuchiwała. Minął ich skałę, minął obórkę i dopiero potem zgasł. Droga do domu pod Trzema Cedrami była tak stroma, że wolał zostawiać swój pojazd na dole z całą przytroczoną doń torbą poczty — tutaj nic jej nie groziło, nikt niczego nie kradł — i piął się tam pieszo z tym co było dla jego mieszkańców.

Jak ktoś całkiem tutejszy rozpoznawała rozmaite odgłosy i potrafiła je interpretować. A więc pod cedrami ktoś jest, skoro nadeszła doń poczta. Już nowi, czy starzy jeszcze właściciele? Można by zapytać się Marii. Ale jakoś nie śmiała. Maria miała kłopoty. Zresztą, w czasie jazdy, w samochodzie, Janowi z pewnością nie zamykają się usta i gdy wróca, mąż powtórzy jej wszystko.

Dla nich poczty nie było, ani dla żadnego z pensjonariuszy. Picasso z Nîmes wrócił właśnie z pleneru, wachlując się kapeluszem. Gorąco! I żeby tak od razu, z dnia na dzień, aż taka kanikuła?

Wymieniwszy te sakramentalne uwagi, nie mając ochoty na dalszą konwersację ani na podziwianie obrazków, schroniła się znów do pokoju, gdzie było chłodniej niż pod winoroślą i gdzie przez szpary w okiennicach przedostawały się wirujące pyłki światła, smugami, grążąc resztę w tym czarniejszym mroku.

## X

Mężczyźni wrócili dopiero przed samym obiadem. Musieli czekać na doktora, który gdzieś jeździł po chorych, a później trzeba im było jeszcze zawadzić o inne miasteczko, gdyż w lokalnej aptece nie było potrzebnych lekarstw. Doktorowi bardzo się nie podobała stopa Jana, napędził im strachu.

Jan nie zaniedbywał tradycji. Zaraz rozległ się z werandy zew muszli, znak że podano do stołu. Nie zdążyli zamienić ze sobą ani słowa na korcące ją tematy, domu pod cedrami, a zwłaszcza złych sąsiadów.

Pierwszy tutaj kolec, pierwszy zgrzyt. Jedynym do tej pory zgrzytem, ale raczej komicznym, było znikanie suszącej się na sznurze bielizny. Co tu ukrywać, wyłącznie damskiej. Majtek. Właściwie zginęły jej tylko raz czy dwa, myślała że porwał je wiatr, ale Maria, zwróciwszy raz uwagę na to co wieszka, ostrzegła ją w dwu słowach, że na noc majtek na dworze lepiej nie zostawiać. Resztę dopowiedział Jan, na wesoło.

Wszyscy wiedzieli, kto je ściąga. Tak, tutaj też wszyscy wszystko o drugich wiedzieli. Ale inaczej niż w okolicach Konikowej. Tak im się do tej pory wydawało. Z pobłażliwą wyrozumiałością. Chociaż wymagali od siebie nawzajem wiele. Niepisany a przez to bardziej jeszcze surowy kodeks obowiązywał od wieków. Nikt tu nie kradł niczego, to było nie do pomyślenia. Listonosz mógł zostawiać gdzie chciał i na jak długo mu się podobało swoją torbę, nic jej nie groziło, choćby pękała od pieniędzy. Kiedyś zapomniała swój zegarek myjąc ręce w gardonie, tuż przy drodze. Przeleżał tam całą dobę i znalazł się nazajutrz, choć przechodzili tamtędy ludzie i nie sposób było nie zauważyć złota błyszczącego na kamieniu.

Damskie majtki co innego. Nie kradzież. Dziwactwo. Choroba. Sposób, w jaki Jan referował tę sprawę, stanowią dla nich dobry znak. Tutaj ludzie rozumieli ludzi, bez żadnego studio-

wania Freudów, nie potępiali nikogo za to, co go przerasta, a jeśli podśmiewali się, to życzliwie, ciepło, nie krzywdząco.

Był więc sobie taki jeden, pasterz, no, nie żaden wariat, nic groźnego. Biedaczysko. Cały sezon spędzał na wysokich pastwiskach, zawsze sam. Nie miał żony, a tutaj nie miewało się dziewczyny. Więc czasem, gdy schodził pod wieczór w dolinę i akurat coś takiego nawinęło mu się pod oko, nie mógł się powstrzymać. Cała jego radość.

— Czy to duża strata? — niepokoił się jednak Jan.

Żadna strata, głupstwo, choć trochę było jej niewyraźnie, że jakiś pasterz, maniak pociesza się jej majtkami. Ale niech mu będzie. Gorsze, że przy okazji Jan wyjawiał im, że ten człowiek nie rozstaje się z poniemiecką, wojskową lornetką. Nudzi mu się, wiecznie samemu. Więc, gdy jego nie widzi nikt, on pasąc owce patrzy co się dzieje w dolinie i ma wszystkich jak na dłoni.

Od tej pory, ilekroć im się ta lornetka przypominała, tracili swobodę na spacerach. Zawsze mogli być akurat objęci jej powiększającym, przybliżającym okiem. Przystawali trzymać się za ręce, jak to było w ich letnim zwyczaju. Rozglądali się, nim gdzie przysiedli. Ale najczęściej zapominali o pasterzu i jego niewidzialnym oku.

Zresztą gdzie, na największym odludziu, w najbardziej skrytej grocie Panien można mieć pewność, że żadne oko nas nie śledzi? Już niebo jest wielką lazurową soczewką, nim jesteśmy wiecznie objęci i z jego pola widzenia umknąć nie sposób. Tyle, żeśmy za drobni, za mało ważni, by z tego widzenia coś wynikało. Patrzymy na ścieżkę, pod nogi i nie dostrzegamy przecież każdej mrówki, która pada pod ciężarem sosnowej iglicy. Iluż Syzyfów rozdeptujemy, nie wiedząc o tym?

Soczewka niebios, wielki klosz na muchy, przesuwa się razem z nami i na najdalszych wyprawach, nie ma przed nią skrytki. Zenit stanowi wycelowaną w nas z góry źrenicę, o każdej porze, czy słońce, czy księżyc, czy gwiazdy, czy deszcz. Ten zenit nosimy ze sobą, wiecznie pod nim i w centrum jego widzenia. Więc cóż, mizerna lornetka sfrustrowanego pasterza?

Musza brzmiała normalnie, ale Jan nie był całkiem sobą. Stopa musiała mu porządnie dokuczać, na dodatek prozki, połknięte zaraz w aptecce, zapewne otumaniały go, gdyż siedział przygaszony, bez zwykłych przygaduszek to pod adresem Picassa z Nîmes, bardzo dbającego o linię i ledwie dziobiącego widelcem, to emerytów z Montpellier, którzy znów rzucali się na jedzenie jak wygłodzeni kacetowcy, dobierali wszystkiego po trzy razy, wycierali talerze chlebem do połysku, jak gdyby uważali,

że nigdy nie najedzą się dość za swoje pieniądze. Nie dolewał nie krzydzącego wina ani wody z karafki, która nie pociła się, po czym można było poznać, że jest zwykłą wodą i że nie było komu dziś zejść do źródła. Nie bardzo mógł się ruszać i siedział u szczytu stołu jak chory, siwy król. Maria sama obsługiwała.

Nie było też oczywiście kolorowej orgii sałatek na wstępie.

Pomogli jednak Marii zebrać talerze, chociaż się wzbraniała. Ale już do zmywania nie chciała nikogo dopuścić. Wyczuwało się, że Janowie pragną jak najprędzej pozbyć się stołowników. A przecież zawsze, po deserze, przed figową sjestą, odchodziły z Janem długie pogaduszki, jeszcze jedną, jeszcze pół szklaneczki wina wmaśniał w nich, jeszcze coś zabawnego mu się przypominało, nie cierpiącego zwłoki, i dopiero gdy Maria, przypominawszy, rozwieszała mokre ścierki na sznurze, rozchodzili się i zapadało popołudniowe milczenie.

Dziś pierwszy dzień ich pobytu i cały rok jest zaległy, do podziąka...

Trudno. Im także właściwie pilno było do samotności we dwójkę. Nie zeszli jednak do ogródka, między cmentarne płyty, w cień sjamskich fig. Wszystkie przyzwyczajenia uległy zakłóceniu od samego rana. Nie było inauguracyjnej przełęczы Mercou, nie będzie sjesty na dworze. Zresztą upał dokuczał. Wycofali się w prądkowany chłód pokoju.

— Jemu grozi zakażenie krwi — powiedział, gdy odrzuciwszy pościel ułożyli się na samych prześcieradłach. — To był ostatni moment, gdyby nie istniały antybiotyki, penicylina, już by mu trzeba było obcinać nogę do kolana.

Jan bez nogi! Jan, na którego nogach spoczywało całe gospodarstwo, ogród i dom, chodzenie koło krowy i zwożenie mleka! Żeby to jeszcze jakiś zardzewiały gwóźdź, ale kolec, coś naturalnie czystego! Szukając grzybów, zbierając jeżyny byli wciąż jakimiś kolcami rozdzierani, szpikowani. Parę kropli krwi i samo się goiło, bez dezynfekowania.

— No, a co to za historia z mlekiem?

— Jak to z mlekiem? Będziemy je razem zwozili samochodem, póki co, każdego ranka. — Już się umówiliśmy i Jan nawet nie protestuje. Wstanę trochę wcześniej, obrócimy w pół godzinki. Dzisiaj zeszło dłużej, no bo i doktor i apteka. Nawet sobie nie zdawałem sprawy, jak ogromnie Janowi na tej dostawie mleka zależy, bardziej o to się martwił niż o swoją nogę.

— No właśnie. A te jakieś zazdrości, intrygi?

Okazało się, że Jan nie wspominał o tym ani słowa, choć całe przedpołudnie spędzili razem, w aucie czy w poczekalni

u doktora. Dziwna sprawa. Pierwszy raz dowiadywali się czegoś najpierw od Marii.

— A dom pod cedrami?

Także i o tym nie było mowy. Ani o domu pod cedrami, ani o żadnej innej „okazji”. Jan musiał po prostu źle się czuć, miał zresztą rano gorączkę. Niech to minie, niech się przesili. Lekarz zapewnił, że za dwa, trzy dni infekcja się cofnie i będzie mógł tańczyć jak co roku na czternastego lipca.

Zależnie od układów urlopowych, święto wypadało tuż po ich przyjeździe, albo mniej więcej w połowie pobytu. W każdej wiosce je obchodzono, ale oni tradycyjnie wybierali się spodem do Saint-Jean-du-Gard. Tam był nastrój wielkiego odpustu, o renomie na całą okolicę, sama prowincjonalna radość, muzyka, swoboda. Duży plac obrzeżony platanami, stoły i ławy w ich cieniu, chłodne wino, gorące, posypane cukrem ni to faworki ni racuchy, święto, wspólne święto, koronacja lata. O żadnej Bastylli nikt nie pamiętał, była pretekstem, jak przedtem i święty Jan, patron miasteczka.

Po wcześniejszej niż zwykle, ale i smakowitszej od powszednich, niedzielnej kolacji zabierali do swego samochodu Marię, ubraną z surową, w jej stylu elegancją, oraz Picassa z Nîmes i jego grzybiasty kapelusz. Jan otwierał orszak na swym motorku, zwawszym, bo uwolnionym od przyczepy. Na końcu sunęło z emerytalną niedołężnością auto pary z Montpellier.

Jechało się wolno, nie tylko ze względu na czternasto-lipcowy ruch, na krętą drogę, ale by nie wymijać broń Boże Jana, który by tego nie lubił i szaleńczo dodawałby gaz, a także by nie zgubić emerytów, gdyż tym łatwo mogło coś się przytrafić. Ich samochód, stary jak oni, jechał tak jak oni chadzali, środkiem drogi albo i całkiem po lewej stronie, niezdolny do szybkich reflexów. Raz trzeba ich było nawet wyciągać wspólnymi siłami z rowu, w którym ugrzęźli, zahaczywszy kołem o skałę. Po lewej stronie! Ta skała ocaliła ich zresztą, oraz nieprzepisowa lewostronność, gdyż po prawej stronie drogi przepaść spadała tak ostro, że poruszony kamień, podskakując jak kaczka na wodzie, staczał się bez ratunku aż po suche na dnie łoże gardonu.

To miasteczko miało już bardziej południowo zarysowany charakter i leżało nad prawdziwym, dużym Gardonem. Nawet gdy wszędzie poziom wód był niski, albo żaden, tutaj prąd nie tracił nigdy rozpędu i widać było, jak się niecierpliwi, tymczasowo okiełzany suszą. Z dnia na dzień mógł się przeobrazić w Ren albo w Dunajec. To była rzeka brutalnych powodzi, rzeka o temperamentem narowistego rumaka. Garbaty most wiele

już razy spadał z jej grzbietu. Ale dzięki niej dolina żyźnie się zieleniła sadami brzoskwiń i morw, a nawet jednej z przędzalni jedwabiu udało się tutaj przeżyć nylonową zarazę.

O kataklizmach, powodziach, zarazach nie pamiętało się na świętego Jana czy czternastego lipca. Zresztą o tej porze roku, w pełni lata, główny Gardon też kładł uszy po sobie, wyczerpany wiosennymi galopadami.

Wyjeżdżali na resztkę dnia. Było niebiesko, coraz mocniej, coraz ciemniej niebiesko. Gdy dojeżdżali do miasteczka, w ciasne jego uliczki, gdy mijali romańską wieżę z błyszczącą pełnią zegarowej tarczy, wszędzie była już noc, ale nie na placu. Jarzył się światłami lampionów, budek strzelniczych, kiermaszowych kramów i palenisk, na których smażono frytki i podgrzewano owe blino-faworki, pachnące, chrupiące, lepkie od słodyczy. Środek placu zajmował taneczny „parkiet”.

Sadowili się przy jednym ze stołów pod platanami rodzinnie, klanowo, popijali nieciężkie, nieszkodzące lokalne wino, orkiestra grała, czasem śpiewał chór, szkolny czy parafialny.

I na nich przychodziła pora do tańca, według ustalonego, istic dworskiego ceremoniału. On prosił najpierw Marię. Ją zapraszał Jan. Para emerytów także dźwigała się z ławy. Na stole pozostawały ich szklanki, butelka i słomiany grzyb Picassa, który pilnował miejsc i — aby uprzedzić wielce prawdopodobny brak amatora — głosił raz jeszcze wszem wobec, że nie tańczy.

W jego objęciach Maria, szczupła i trzymająca się zawsze prosto, zamieniała się nagle w młodą panienkę. Tańczyła lekko, jak motyl. Pachniała miło, trochę staroświecko *citronelle*. Cytrynowką?

Jan w niebieskiej jak zwykle koszuli, ale z tych lepszych, żadnych wód kolońskich nie używał, po co? Pachniał zdrowiem. Przecierał ręce i czoło kraciatą, świeżo wyprasowaną przez Marię chustką. Wino nie krzywdziło go, lecz przeciągało trochę bardziej na śródziemnomorski stok jego natury. Hasał, przytupywał, porywało go w gardonowe galopy. Zadyszana, rozbawiona wracała na ławę z karuzelą w głowie. Para emerytów już tam zwykle siedziała, ich motory zasapywały się po paru taktach.

Znowu łyk wina, nieciężkie, nie krzywdzi, pod blino-faworek, raz przez nich, raz przez Janów fundowany, parę uwag o tańczących, o migających w tłumie sąsiadach i znajomych. Ciągłe ktoś się do nich przysadywał. Jeszcze butelka! Pośród par kręcił się ów chłopiec-mongoł, chociaż głównie wystawał przy budce strzelniczej, trwoniąc kieszonkową fortunę na naboje.

Potem z dumą obnosił podziurawioną, tekturową tarczę. Trafił! Potrafił!

A gdzieś, gdzie kończyło się święto, na granicy platanowego mroku, zaciąła się sylwetka pasterza. Nigdy nie spróbował nikogo zaprosić, choć dziewcząt było, jak zawsze, więcej niż chłopców i niektóre, nie mogąc doczekać się kawalera, po dwie porywały się do tańca tak ochoczo, że najwyraźniej samo kręcenie się w kółko wystarczało im do szczęścia.

Co sobie myślał ów cień, odsunięty na bok dłonią losu, podglądający? Jakie w nim tkwiło tabu? Przecież tutaj nikt nikomu tańca nie odmawiał. Sama by z nim poszła, gdyby ją zaprosił.

Tak już w nim było zapisane, tak musiało być. Patrząc, podglądać, z boku, z daleka, z wysoka.

W ich miejskim mieszkaniu leżała na stoliku ceramikowa popielniczka, kiedyś tu nabyta „na pamiątkę”, z girlandą kwiatów i maksymą pośrodku: Świat stał się zły nie kłamiąc. Bez przecinka. Może wypadł przy wypalaniu? *Sans mentir le monde est devenu bien méchant*. A od tego przecinka wszystko zależało, całe znaczenie porzekadła. Bo to mogło być: prawdą jest, że świat stał się zły. Ale też: gdyby nie kłamać, gdyby pewnych spraw nie ukrywać, świat stałby się bardzo zły. Talmudyczny, świadomie dwuznaczny brak przecinka, materiał do rozważań? Na różne sposoby? Bo jak to, świat był kiedyś dobry i stał się zły? Odkąd? Czym został skażony, jak ongiś jajeczka jedwabników? Kłamstwem? I co z tego wynika, jaki morał? Że to zło trzeba tropić, niszczyć, a równocześnie je taić, by nie wychodziło na jaw, gdyż wtedy świat stałby się do reszty zły? Nie do życia.

Trzeba było w każdym razie móc od czasu do czasu to zło zapominać. Przytrząskiwać. Choćby kłamstwem.

Zapominali. Tutaj zapominali. Cóż chłopiec-mongoł? Cóż pasterz? Jak dotychczas nikogo nie skrzywdził, raz na jakiś czas ginęła para majtek jakiejś niewtajemniczonej letniczki, żaden dramat. I też na swój sposób brał udział w święcie. Miał na co patrzeć, z cienia, nie musiał używać lornetki.

Nagle oboje wstawali, by z kolei zatańczyć ze sobą. Jan i Maria za ich przykładem.

Pod muzykę podkładał się oddech czarnych platanów. Ich taniec, wspólny taniec, był świętojański. Byli razem, inaczej razem niż teraz, po południu, nadzy, w łóżku. Taniec, nowoczesny w rytmie, ale przecież trochę jakby pogański, sprawiał że szczęście, to jest dobro, wydawało się możliwe. Nie nadzieja,



ta była zabita. Ale jakaś chwilowa forma szczęścia, bezpośredniego, teraz, tu, parę tanecznych *pas* na żwirze placyku, w tłumie, w roju, pod niebem rozpiętym na platanach.

Gorzej było z drogą powrotną. Odmłodzony niekrzywdzącym winem Jan dosiadał swego motorka jakby to był wyścigowy motocykl. Nie mogli tak za nim gonić po nocy i Maria, sztywna z napięcia, śledziła na zakrętach światełko śmigające w dół korkociągiem, na łeb na szyję. Pilniej jeszcze niż w tamtą stronę holowali emerytów, chociaż reflektory ich samochodu odbijały się co i rusz w jego lusterku, oślepiając. Staruszkowie mieli więcej problemów przy zjazdach niż przy pięciu się w górę, ich hamulce były problematyczne i do samego domu nikt nie miał pewności czy gruchot nie zagapi się, nie dowidzi i nie weźmie jakiegoś skrótów prosto w przepaść, którą proponowała noc.

Zawsze jakoś dojeżdżali szczęśliwie i cało do portu za skałą, witani zewem muszli Jana, który zdążył tymczasem odstawić motorek pod obórkę, zaopatrzyć go w przyczepę na jutrzejsze zwożenie mleka i dobiec do werandy, by zwołać ich na jeszcze jeden łyk domowego wina. Jeszcze jedno Janowe opowiadanko, jeszcze trochę śmiechu. Razem.

Lekarz więc zapewnił Jana, że do czternastego lipca rana się zagoi, że sobie potańczy, jak co roku. Czy ucieszył się chociaż z tej obietnicy? Niespecjalnie. Coś nawet odburknął, całkiem nie po swojemu, że mu żadne tańce teraz nie w głowie.

Co się tutaj dzieje? Co się tutaj stało?

Leżeli, milczeli, myśląc o tym wszystkim równolegle, przylutni do siebie choć upał sklejał ich wilgotne od potu skóry w jedno ciało. Tak było jakoś bezpieczniej. W kuchni brzęczało zmywanie. Zegar tykał. Wrzeszczał pijany świerszcz.

Bardziej niż zwykle skrępowani w tym domu, jego mającymi jednak uszy ścianami, tłumili oddechy, bo przecież nie słowa, nie krzyk. I wspólnie zapadli w sen.

Zbudził ich lekki chłód. Naciągnęli prześcieradło by jeszcze chwilę poleżeć razem, pomyśleć, wytrzeźwieć. Ależ zaspali! Bo gdy otworzył okiennice, oko słońca wycelowane w okno było już trochę zaczerwienione zachodem.

## XI

— Herbaty? — zwykła pytać Maria po sjeście, gdy wychodzili z pokoju. — A może soku?

Woleli soki domowej roboty rozcieńczone źródlaną wodą. Wieczorem też wybierali ziółka parzone na liściach mięty czy kwieciciu lipy, tu zrywane i tu na słońcu suszone, nie żadne tam kupowane w torebkach siano. Herbata stanowiłaby u Janów anachronizm i zbyt szczodry dodatek do pensjonatowego wikt.

Dzisiaj czujnej Marii nie było w kuchni. Ani Jana w ogrodzie. Żywej duszy w domu za skałą. Coś pichciło się już, samo, na kolację, wydzielając jarzynowe zapachy. Muszla białała na murku, szumiąc w sobie.

W nich też szumiąco i tętniło przespane popołudnie. Zwykle czuli się ukojeni. Tym razem motyli, godowy lot pozostawił w nich niepokój. Jakby poczucie winy. Poczucie upadku.

Bez soku więc, bez podwieczorku, na który i tak było już zresztą późnawo, wyszli na drogę, ale nie w stronę przełęczy Merkurego, tylko zaraz w bok, poniżej Janowego ogródka, przez mostek na mini-gardonie, w stronę wieży Cezara. Krótszy spacer. Spokojnie zawrócą na zew kolacyjnej muszli.

Jeżyny zaczynały czernieć. Było ich przy tej dróżce w bród. Zerwali parę, jeszcze kwaśnych i jeszcze gorących, choć już w cieniu. Dziwne dla smaku, ciepło i kwas. Ciepło poprzez kwaśność orzeźwiający. Przsiedli pod wieżę. Stąd było widać całą połąć lasów i wzgórz, wypukłe niebo coraz bardziej czerwieniejące w wysiłku zachodzenia.

— A gdyby tak podnając mu ten pokój? Wnukowi Durand? — powiedziała nagle. — On jest w wieku, gdy młodzi pragną się usamodzielnąć, odejść od rodziny. Czuję, że tam są jakieś konflikty. No, a z naszym mieszkaniem łączą go dobre wspomnienia dzieciństwa.

— No tak... — przemyśleli dalej wspólnie. Pokój małego przestałby straszyć pustką. Dawno powinni byli komuś go użyć nawet bez wynajmowania. Nie wystarczyło przemeblowanie. Ale... Ale wtedy, nawet przy zamkniętych drzwiach, nigdy nie czuliby się u siebie, sami, zawsze musieliby się liczyć z czyjąś obecnością, w dzień czy nocą. Skończyłyby się wolne niedziele w szlafrokach, w pantoflach. Chyba żeby to był ktoś taki, kto by mógł stać się swój.

Dawniej zastanawiali się, sygnalizując sobie od czasu do czasu wspólne zamiary jednym słowem, czy by nie zaadoptować jakiegoś dziecka? Własnego bali się mieć. Stracili ufność do tego, co razem mogą spłodzić, odmówili naturze zbyt ryzykownego owocowania. Ludzie mogą jej tego odmawiać, gdy na przykład takie jabłonie nie przestają kwitnąć każdej wiosny, nawet gdy każdej jesieni spadają z nich same robaczywe jabłka. Chociażby

któreś z bezpańskich dzieci od madame Konik? Nawet takie niezbyt udane? Mały miałby potem tutaj towarzystwo. Jedno czy dwoje nieudańców w domu, jeden kłopot. Nie uszło ich uwagi, z jaką naturalnością reszta podopiecznych Konikowej odnosi się do ich syna. Bawiły się nim, choć on nie mógł brać udziału w tej zabawie. Jak dużą lalką. Przywykł jednak do ich obecności. Zaś dla niego zbyt gwałtowne, radykalne zmiany, to klęska. Sama przeprowadzka, inny dom, nawet inny klimat. Rozstanie z Konikową. Inne, dotykające go ręce. Gorsze. Ręce rodziców, które całkiem przestał poznawać przez ten czas, których dotyk — tak im się wydawało — szczególnie był dla niego niekorzystny, nieumiejętny. Zbyt zaangażowane uczuciowo ręce. W każdym razie cała seria wstrząsów. Więc?

Ale czy umieliby sprostać problemom aż dwojga odmieńców?

Marzyła im się — głównie jej — raczej dziewczynka. I raczej normalna. W rodzaju małej Jugosłowianki. Tak, jeżeli już, to lepiej dziewczynka. Dziewczynki są macierzyńskie z natury. Pokochałyby dziwnego, przybranego brata, bawiłaby się nim. No i byłaby od niego młodsza. Więc potem, potem może zastąpiłaby mu matkę.

To jest Konikową.

Nie, nie mieli do tego prawa! Świadomie narzucać komuś taki dożywotni garb! Ani odpowiednikowi małej stróżów, ani — tym bardziej — któremuś z i tak upośledzonych przez los dzieci Konikowej. Mały co innego. On był częścią ich samych, byli w nim, po połowie, w nim na zawsze przemieszani i połączeni. Mogli więc za niego, o nim, gdy kiedyś przyjdzie pora, zdecydować, jak o sobie, choćby nie wiem co kodeksy ludzkich praw miały na ten temat do powiedzenia. Ale cudze, nawet zaadoptowane (czy kodeksy przewidują adoptowanie nie całkiem normalnych dzieci?), nawet niczyje, choć odchowane przez siebie dziecko?

Ręka by im odmówiła posłuszeństwa. I dwoje by zostawili, niezdolnych do samodzielnego życia.

Trudno. Parę cukierków od czasu do czasu dla dziewczynki z podwórka, parę z nią rozmówek francuskich, jak się co nazywa. Muśnięcie czarnego, kędzierzawego łebka, roześmianej buzi. I powrót do domu, do lektury, do telewizji, przy starannie zamkniętych drzwiach do tamtego pokoju, którego nie odmieniło nowe biurko, nowy tapczan, w którym nie zdobyli się nigdy ani pospać, nawet gdy jedno z nich chorowało, ani popracować, gdy obydwójce mieli jakąś pilną pisaninę. No i jednak te rysunki na ścianach, domy o parze czuwających słońc, przed których

usunięciem jakoś zawahały się ich ręce zaraz na początku, a potem zrobiło się za późno. Może w tym tkwił błąd?

Na dziewiczym tapczanie pierwszy przespał noc wnuk Durand. I jakoś nic. Mógłby tak spać co nocy, przez pewien czas, mógłby porozkładać swoje książki i bruliony, jeżeli coś studiuje, palić światło, wkuwać choćby do rana. Mógłby sobie nastawiać jakie by chciał płyty, hałasować, sprowadzać kolegów, dziewczyny. Na dobrą sprawę to oni jeszcze mu powinni za tę terapię dopłacać.

Ale ta dziewczyna? Do niej wcale nie czuli sympatii.

— No, dobrze, ale jeśli oni się pobiorą? Albo zechcą żyć razem? Zwłaszcza, że według ciebie ona jest w ciąży? W naszym małym mieszkanku nagle dwie pary, dwie gospodynie w kuchni? Kazać im się wynosić, bo będą, bo muszą być konflikty, co za głupia sytuacja.

Prawda. Nie stać ich na komplikowanie sobie i tak skomplikowanego życia. Równowaga, której dopracowali się wspólnymi siłami, zbyt była cenna, zbyt niezbędna. Nie mieli prawa narażać się na dodatkowe wstrząsy. Właśnie ze względu na małego, wobec którego ich obowiązek był pierwszy i zasadniczy. Dożywotni. Przecież nie odchowają go, tak jak się odchowuje dzieci i potem nawet się cierpi, że idą w świat. Przecież on nigdy ich nie opuści, nie zwolni.

Poznali sporo analogicznych par, chociaż w pierwszym okresie wydawało im się, że dotknęło ich coś wyjątkowego. Inni przegrani rodzice, choćby jak najlepiej przedtem dobrani i zróżnicowani, rozłamywali się, jak syjamskie drzewo rażone piorunem. Więc piekła domowe, więc separacje, więc rozwody, próby nowego życia z innym partnerem, każde na własną rękę, w dżumowej panice. Uciec od siebie, rozbiec się, ratować, zrzucić ciężar winy na to drugie. Odżegnać się od wspólnie poronionego stwora, zagarażować go w jakimś wyspecjalizowanym zakładzie, utaić w jakiejś skrytce, pamiętać tylko o regulowaniu rachunku.

Zwiedzili mnóstwo takich skrytek, póki nie natrafili na madame Konik. Wyższe szkoły niższych pokładów życia.

Gdzie się zaczyna człowieczeństwo, a gdzie się kończy? To, co śliniąc się i czułgając roi się we wspólnej celi jeszcze jest czy już nie jest, było czy nigdy nie było człowiekiem? Trzeba to, czy nie trzeba tego utrzymywać na zwierzęcym lub wegetatywnym dożywociu? Co jest gorsze, zwierzęcość czy wegetatywność? Niektóre z tych istot wydawały się płodem mitologicznych aberracji, owocem spółkowania z kozą, z psem czy z demonem.

Kto odrutował te obozy? Jak bronić się przed bluźnierczą myślą? A także myślą heretycką. Bo jeśli nie Bóg, to kto? Tego nie mógł chyba chcieć. Jeśli chciał, On, który wszystko może, to kim, to jaki jest? A jeśli nie chciał, i to się jednak działo, kto się w to wmieszał, kto miał moc to sprawić? Rywal Dobra? Więc Zło ma aż taką przewagę? Na zawsze? Od zawsze, czy chwilowo, przez moment Bożego snu, roztargnienia czy zniechęcenia?

Obozy i więzienia były przedsiębiorstwami społeczno-dochodowymi. Dozorcy byli płatni, musieli być płatni, by taką pracę wykonywać, a cóż dopiero dyrektorowie, komendanci. I musiał być rygor. Bez rygoru któżby sobie z tym dał radę? Rodzice-interesanci przyjmowani po psychologicznym kwadransie w mniej lub więcej luksusowej, normalnej poczekalni, mieli do czynienia z uosobieniami kompetencji, fachowości, nawet powołania. Wszelkie gwarancje.

— Państwo będą mogli być zupełnie spokojni. Mamy odpowiednio wyspecjalizowanych lekarzy. Pielęgniarzy. Ubezpieczenie społeczne pokrywa dużą część kosztów. Nasz zakład jest uznany, ba, znany. Odpowiedzialny.

Właściwe słowo, decydujący argument. O cóż innego chodziło niż o przelew odpowiedzialności?

Nie, jeśli mieliby pokrywać taką deportację małego, to już lepiej chyba byłoby nie czekać aż się dorobią domu w Sewenach, aż dojdą do emerytury, tylko zrobić to zaraz, na miejscu, w miejskim mieszkaniu. Każdy wywiad tego rodzaju, każda wizja lokalna odnawiała w nich pokusę. Aż natrafili na Konikową, cudem, przypadkiem. Długie życie, dobre zdrowie dla madame Konik!

Właściwie to najpierw natrafili na Konika.

Konik był rodzajem świętego Józefa. Jak z drewna wyciosany, po słowiańsku grubokościsty świętek. Także trochę cieśla. W wolnych chwilach zawsze coś strugał, klecił, jakieś płoty, dodatkowe kurniki, trzonki do wideł czy grabi, których w gospodarstwie nigdy nie dosyć, a nawet meble! Jak ów wspaniałe brzydki, monumentalny, rzeźbiony bufet w kuchni, majstersztyk ciesielski. Miał swój kąt do tego, prawdziwy warsztat stolarski z imadłem, heblem, kamieniem do ostrzenia narzędzi obracającym się na rzemiennym pasie. Pachniało tam trocinami i kłajstrem, który pichcił według własnej recepty.

Zawsze koło Konika kręciły się podwórzowe psy. Właśnie, psy! A może by tak zaadoptować przynajmniej szczeniaka?

Któremu żadne z nich niczego złego, żadnej skazy przekazać nie może? No i psy żyją krócej...

Ich znajomi w analogicznej sytuacji przerzucili się na jamnika. Gdy się dzwoniło do ich drzwi, ujadanie wybuchało z histeryczną agresywnością, coś jak u stróżki z przeciwka. To było gorsze, nie pies-stróż, tylko pies-substytut. Nie odmieniec, zamieniec. Na gości rzucał się rozpuszczony, zepsuty jedynak.

— Leżeć, leżeć! — karcili go pobłaźliwie przybrani rodzice. Pochlebiało im, że taki czujny, tak ich kocha i broni. Demonstracje wrogości ustępowały demonstracjom czułości. Pies obsłaniał ich, wskakiwał nieproszony na kolana, nie dawał dojść do słowa, nie pozwalał o sobie ani chwili zapomnieć, zazdrościł pilnując swojej uprzywilejowanej pozycji w rodzinie. Normalne dziecko dawno poszłoby za karę do kąta.

Po każdej takiej wizycie śwędziły ich podstępne, wędrujące po bieliźnie kłaki. Ale trzeba było zachwycać się rasą, uszami, ogonem, inteligencją, przywiązaniem. Podziwiać dziecko bez feleru.

Wychodzili stamtąd chorzy z obrzydzenia, z obrzydliwej litości. Nad psem także. A jednak trochę tym ludziom zazdrościli. Między innymi furtkami ratunku była jednak i ta, psia. Czemu nie kocia czy kanarkowa?

Nie, to nie dla nich. Po pierwsze dlatego, że jak wiadomo psy żyją krócej, co samo w sobie byłoby zaletą, gdyby nie pociągało za sobą faktu, że się szybciej starzeją. Po okresie szczenięcej swawoli, kłopotliwych, zbyt częstotliwych godów przychodzi otyłość, osowiałość, łysienie plackami. Bielmo na oczach. Przybrane psy umierają przed swymi rodzicami, dobrze, ale też najczęściej i przed dziećmi, które niby miały zastępować, a które gdzieś tam, w miejscu odosobnienia, według ludzkiego rytmu, dopiero dojrzewają. No więc żałoba, no więc nowy szczeniak, da capo.

To było z krzywdą dla psów. I z krzywdą dla ich samozwańcych, nienormalnych rodziców. Pies to jest pies. Wymaga szacunku. Trzeba go traktować jak psa, normalnie.

Konik tak właśnie traktował swoje kundle, które po psiemu były do niego przywiązane i słuchały go, gdy Konikowej, choć przecież to ona je karmiła, unikały. Zawsze któryś warował przy jego warsztacie, iskając się, poziewując, merdając ogonem. Nad rzeką towarzyszyły mu inteligentnie, nie szczekając, nie płosząc ryby, u jego stóp, pod jego ręką, rade gdy je czasem pogłaskał, ale nie natarczywie. Na swoim miejscu. To były psy-psy, szczęśliwe.

Z miejsca polubili Konika. Przez niego nabrali przekonania i do niej. Ona zajmowała się hodowlą dzieci, ale on był i samą swoją obecnością tę hodowlę uczłowiczął.

Psy, koty, kanarki, czemu nie kwiaty doniczkowe? Nie, jakoś na żadne surogaty zdobyć się nie mogli. Nic na nich w domu nie czekało żywego, wymagającego karmienia, opieki, uwagi, choćby podlewania. Jeżeli kwiaty, to cięte. Lubiła, gdy wracał do domu z bukietem w ręku, jak starający się, jak gość. Dbała o nie, przycinała różom łodygi pod bieżącą wodą, jak należy. Zmieniana woda, rozpuszczony w niej proszek aspiryny, przedłużały im urodę, nie życie. Przy pierwszych objawach wędnięcia, opadłym płatkami, zwiotczalnej łodydze, wyrzucała bez żalu. Te kwiaty już były ścięte, ale nie oni je ścinali. Żadnej odpowiedzialności. Stanowiły ozdobę. I tak nie zawiążą się w owoce, nie dojrzeją w nasiona, nie puszcza korzeni, liści, nie podadzą dalej sztafety istnienia.

Za pierwszym razem Konik powitał ich u furtki spokojnie, nic nie mówiąc, patrząc na nich, a nie gapiąc się jak inni na małego. Nie z lilią, z widłami w ręku, ale jakiś czysty, rozumiejący bez słów. Opiekun. I choć potem całą pertraktację przeprowadzili z Konikową, wygadana, gospodarna, obfita w biuście, choć ona także zrobiła na nich korzystne wrażenie z tą trzódką dzieci wkoło siebie, po rodzinnemu a nie po kazionnemu trzymany w ryzach, niema przy tym obecność świętego Józefa zdecydowała, że z miejsca zostawili tam małego. Nie było sensu narażać jego i siebie na podróż tam i z powrotem. Tego samego dnia pod wieczór dowiedzieli mu konieczną garderobę i — najkonieczniejsze — krzeselko.

Konikowie własnych dzieci nie mieli, córka była tylko jej, z poprzedniego małżeństwa, nie jego. Może więc te przybierane na odchowanie były także surogatem, nie tylko dodatkowym źródłem dochodu?

Nigdy nie doszli, jaki był właściwie układ w tym małżeństwie. Madame Konik dominowała, to się rzucało w oczy. Na zewnątrz, na głośno, na zamasyście, ona była głową domu. Ale on był kręgosłupem. Musztrowała go, zrób to, zrób tamto, ale musiała się z nim liczyć, musiała przecież jakoś doceniać jego solidność, uczciwość. Dobroć.

Dzieci przepadały za nim tak jak psy. Nie odganiał ich, gdy obstępowały go, śledząc jego stolarkę. Te, które było na to stać, zabierał z sobą w pole, przydzielał im drobne zadania, na miarę, żadnego wykorzystywania ich siły roboczej z pewnością nie mając na oku. Wychowywał, gdy ona karmiła i myła.

A już specjalne względy okazywał — to wyczuwali — ich małemu. I, póki żył, często zastawali krzeselko w pobliżu warsztatu i syna, siedzącego nieobecnie lecz spokojnie, jak zahipnotyzowanego, jakby jednak czymś notującego miarowy ruch hebla, połysk piły, zapach kłajstru. Jakby nawzajem lubiącego Konika.

Które w tej parze nie mogło mieć dzieci? Albo które nie chciało? Trudne pytanie. Pewno on, gdyż ona dowiodła już z kim innym swojej płodności. Trudno pytać o takie rzeczy, odgadywać co kryje zatroskane milczenie Konika. Przecież w gospodarstwie dzieci zawsze są pożądane, do wyręki i do dziedziczenia.

Konik zmarł więc bezpotomnie po iluś latach małżeństwa. Po cichu. Był starszy od żony, był sterany, po jakichś wojennych przejściach, po obozach. Ich małe gospodarstwo, póki je prowadził, prosperowało. Dochód z dzieci, oczywiście, pomagał. Ale byli pewni, że Konik w razie potrzeby trzymałby te biedactwa i bez żadnego płacenia.

Madame raczej nie. Gdy w kuchni następowało wyciąganie rachunków za najdrobniejszy „dodatek”, on wychodził, skrupowany i nieszczęśliwy.

Świadomość że Konik tam jest wzmagająca ich poczucie bezpieczeństwa, zmniejszała poczucie winy. Uważali nawet, że z Konikową uzupełniają się w sposób idealny dla dzieci. A potem któregoś dnia przestał być. I tak, jakby go nigdy nie było. Natychmiast pojawił się na jego miejsce młody, młodszy od Konikowej sąsiad. Z żałobnej wdowy wykluła się bez przejścia kobieta do wzięcia, z tych o których mówi się, że są „grzechu warte”.

Do wzięcia? Dawno wzięta, byli o tym święcie przekonani. Poza gorącą małego dręczyła ich także myśl, że ów sąsiad jest tam jak u siebie, że to on rządzi teraz i Konikową i dziećmi. Że gospodarka potrzebuje jednak męskiej ręki, egoistycznie myśleli na samym końcu.

To była strata. Osobista strata. Pojechali na pogrzeb, zwalniając się każde ze swej pracy pod tylko pozornie kłamliwym pretekstem, że zmarł im ktoś z rodziny.

Akurat zaczął się sezon łowienia ryb i pogoda była na to idealna. Mżył lekki, ciepły deszcz, marszczył wodę. Ależ by ryba brała! Postali chwilkę nad rzeką, tam gdzie Konik zwykle przesiadywał, pomilczeli jak z nim, ale już bez niego. O nim. Mieli trochę czasu przed godziną wyznaczoną na ceremonię.

I zaraz na tym pogrzebie coś ich tknęło. Niby nic. Konikowa lamentowała, po babsku, po wiejsku, jak przystało wdowie.



Parę dzieci dostało uczestnictwa w obrzędzie, zapłakanych, niczym autentyczne sieroty. Ale gdy zaszli z cmentarza na stypę, ograniczoną zresztą do jabłecznika, Konikowa zrzuciła palto i welon i objawiła się w czarnej sukni z dekoltem, jak ktoś wracający z teatru, nie z pogrzebu. Mały ich i reszta dzieci została na ten czas pod opieką sąsiada.

Wtedy go poznali. Wdowa Konik przedstawiła go im jako rodzaj opatrnościowego anioła. Kruczowłosey, o sinej od upartego zarostu brodzie, był — jak i nieboszczyk — milczkiem. Coś tam bąknął, łyknął nie jabłecznika, tylko calvadosu i poszedł sobie bez ceremonii, choć go przymilnie i jakoś pokornie zatrzymywała.

Ich mały siedział zamknięty w krzeselku i spał. Musiała mu Konikowa dać sporą dozę. Zrozumiałe, sąsiad by sobie z nim w razie czego nie umiał poradzić. Ale jednak, gdy małemu zdarzyło się tak zasnąć, Konik wyjmował go z krzeselka i zanosił do łóżka. No, trudno było aż tyle wymagać od kogoś nieprzyzwyczajonego.

Tak się to zaczęło. Coraz częściej natykali się na tego człowieka, a zawsze na ślady jego obecności. Niby nic, dwa kieliszki na Konikowym bufecie, butelka calvadosu. I zawsze była o nim w każdym razie mowa, jak to wreszcie zgodził się zająć polem, albo że naprawił płot. Cóż by biedna, sama kobieta poczęła bez tak uczynnego sąsiada?

Zaś dzieci robiły się coraz grzeczniejsze. Lepiej wytresowane.

Wszystko to razem nurtowało ich. No cóż, i tak sytuacja rozwiązana była tymczasowo. Mały nie mógł pozostać tam na stałe, nawet gdyby Konik żył. Ale czemu nie dożył przynajmniej chwili, kiedy oni tutaj znajdą dom, urzędzą go i przeniosą się z małym na resztę życia? Te parę lat...

Na zachodzie czerwień nieba ostygła, sfioretowała. Pierwsza gwiazda, podana na obłoku jak kropla rosy na liściu nasturcji, drżała perłowo. Gdy zejda w dół, zobaczą ją na zwykłym jej miejscu, w szczerbatej koronie wieży Cezara, pod którą tymczasem jeszcze sobie siedzieli, trzymając się za ręce poplamione jeżynami i nasłuchując kiedy rozlegnie się zew wieczornej muszli Jana. Był już na to czas.

## XII

Każdy ma swoje problemy, klapki na oczach, na uszach, które przytępiąją mu wzrok i słuch, a w każdym razie znieczulają

wyobrażnię. Zamiast wysiadywać pod wieżą Cezara, mogli przecież byli pójść z dzbankiem do źródła, przynieść wody przed kolacją. Niejeden raz to robili, tak sobie, dla przyjemności. Dzisiaj, dla Marii, byłaby to przysługa. Karafka znowu stała martwa na stole, bez mgiełki krynicznego chłodu. Wyrzut sumienia.

Jan w muszlę nie dał, bo w ogóle nie zjawił się na kolację. Został na swoim letnim wyrku, w komórce przy strychu. Maria przyhamowała ich gotowość, by tam do niego wpaść. Może śpi? Niech śpi. Sen to zdrowie, oświadczyli emeryci, którzy zjeżdżali tu głównie na spanie i na jedzenie. Picasso z Nîmes przytaknął. Nikt nie wydawał się przejmować, tak jak oni, pustym miejscem Jana, brakiem jego szklanki, jego serwetki wetkniętej w osobiste, srebrne kółko. Maria szybko podała, szybko zebrała ze stołu. Sami sobie dolewali niekrzywdzącego wina, nawet dość obficie, dla zalania tych różnych robaków. I wycofali się do pokoju, umówiwszy się z Marią że nazajutrz dowiozą bańki do mleczarni sami. Niechże Jan spokojnie się kuruje.

Maria przyjęła to z pełną godnej wdzięczności rezerwą i nastawiła im wielki jak dynia, starodawny budzik, ponieważ bali się zaspać. Ona i tak zastuka o właściwej porze do ich drzwi. Jej budzik niepotrzebny.

Tykał więc im teraz jak piekielny, zegarowy mechanizm mający sprowokować wybuch bomby i nie dawał ani zasnąć, ani o niczym przestać myśleć. Robaki nie były zalane. Mogliby jeszcze — jak bywało — wyjść na wieczorny spacer pod gwiazdy. Ale jakoś nie chcieli opuszczać tego domu.

Proszki? No, ale jeśli on ma prowadzić jutro o świcie samochód obciążony bańkami, po krętej drodze, jeszcze może tymi proszkami otumaniony? Albo zaśpi, niczym wnuk Durand?

Ustawili sobie krzeselka, bo tu nie było żadnych foteli, ani tym bardziej telewizji, przy otwartym oknie, a budzik tymczasem okutali w kołdrę. Zakneblowany, tykał dalej bełkotliwie, wulgarnie. Żadnego porównania z nobliwym, statecznym tykaniem dużego zegara zza ściany.

Marzyli o takim zegarze do swego jeszcze nie znalezionego domu. Żeby miał takie miedziane wahadło. Przy pierwszej okazji, pierwszej wycieczce, muszą nareszcie taki zegar gdzieś tu odkryć, u jakiegoś handlarza starocią. Po zapadłych miasteczkach, wśród stert bezwartościowych gratów, przy odrobinie szczęścia można było wygrzebać cuda.

To będzie ich pierwszy mebel. Symbol ich życia: miara czasu. Czas bardziej się dla nich liczył niż dla kogokolwiek.

Własnoręcznie nastawili sobie życie na pewną godzinę. I on im tę godzinę wiernie wybija, dobra, seweńska robota. Muszą znaleźć, tu przecież kolebka europejskich zegarmistrzów. Przegrały ich wojny religijne i tylko przez to nie Seweny lecz Alpy, nie Anduze tylko Genewa stała się zegarową stolicą.

Zjeżdżili tu wszystko, co dało się zjechać w promieniu jednego dnia, podkrywali i zwiedzili co się dało. I tylko jeśli ich gdzieś zapędziło zbyt daleko na południe i droga, nagle się prostując, wygładzając, celowała ku morzu, gdy im przebłysnęło pomiędzy szczybami ostatniej zapory wzgórz, poza którymi, wiedzieli, dolina, dawne jego dno, nieuchronnie spływa ku niemu, przystawali. Chwilę wahali się wspólnym wahaniem, we wspólnym milczeniu. Zaryzykować? Zniosą morze, czy jeszcze nie?

Zawsze, jak dotąd, rezygnowali z próby. On włączał wsteczny bieg, manewrował. I zawracali.

Morze nie dla nich, ani plaża. Było czymś podobnym do pokoju małego. Woleli nie otwierać tych drzwi.

Nad morze, na plażę, jeździli przez pierwsze lata z małym. Przedtem. Potem też, o jeden raz za dużo.

Przedtem znaczyło nie tylko przed jego chorobą. Przedtem, znaczy kiedy jeszcze go nie było. Czyli tak jak teraz, gdy znowu są sami, we swoje, bo on jest, ale tak jakby go nie było. Plaże nie były jeszcze wtedy tak zapchane, nawet dzieci było stosunkowo mało, więc zwracały uwagę, budziły czułość. Zdrowe, żywe, opalone. Pomyśleli, zapragnęli razem: mieć dziecko!

Chęć posiadania? Mieć dziecko, czyli mieć kogoś, oprócz siebie, do kochania. Do kochania, ale mieć. Więc i w tej rozstrzonej, narzuconej instynktem miłości kryje się egoizm? Zło?

Zapragnęli i mieli. Było parę, no wszystkiego dwa takie lipce, kiedy brunatne od słońca, dziecinne ciało było ich. Wspólną ich własnością. Nie spuszczała zeń wzroku. Wzroku posiadaczy? Mały był taki ładny, przy opaleniznie niebieskość jego oczu tak po śródziemnomorsku lazurowała, że gdyby dzieci wybierało się w sklepie, jak wybiera się szczenięta, bez wahania wybrałoby jego pomiędzy stu innymi.

Nie oni jedni. Wszyscy wydawali się jego woleć, przystawali przy nim, zagadywali do niego. Ich rodzicielskie szczęście, macierzyńsko-ojcowskie, gdyż nie tylko ona lecz i on jakby nie tylko począł go ale i urodził, rozpierała pycha. Tak samo pyszniła się nim chrestna matka. Miesiąc bez widzenia małego był dla niej zbyt długi, była gotowa tłuc się całą noc pociągami i następnej nocy wracać do Paryża, byleby móc popatrzeć jak on bawi się w piasku, brać udział w jego morskich chrtach.

Za to do madame Konik właściwie wcale już nie zagłada, choć to godzina drogi i także ma samochód.

Dwa takie lipce, a ten trzeci...

Nie, nigdy więcej nie skusi ich nad morze. Po co psuć sobie lato.

Tutaj, w domu Jana, w ich okolicy, pomiędzy nimi a morzem twardo stały góry. Zawsze była pora włączyć tylny bieg i zawrócić. Było dokąd zawracać. Ten kraj leżał pomiędzy morzami, o których nie musiało się pamiętać ani dobrze ani źle. Dość że o tym pamiętały gardony, każdy z góry wiedząc, do którego mu sążone wpaść, według rozdziału wód. Jeden do Śródziemnego, drugi, choćby tryskający z pobliskiego źródła, musiał przepychać się aż do Atlantyku.

To samo działo się z wiatrami, z chmurami. Przeznaczenie stało tu na krawędzi gór, na czubkach palców, chwiejąc się i wahając się: tu czy tam. To był kraj wcielonego Pomiedzy.

Coś dla nich. Tu muszą znaleźć dom. Na swoje stojące na czubkach palców, na grzbiecie czasu, na ostrzach wskazówek jeszcze nie kupionego zegara, jeszcze wahające się, choć już przesądzone Pomiedzy. Dopiero projekt, a już przeznaczenie. Byle nie przegapili, nie zaspali godziny, na którą już został dla nich troja nakreślony budzik.

Kiedy? Za ile lat? Nieważne. Byle tutaj i byle razem. Byle przebudzić się w porę. Nie darować sobie ani jednej godziny starzenia się za wiele. Bo niechący można tak nieodwracalnie postarzyć się, że już i na śmierć nie będzie głowy ani czasu. Ani siły. Przykład: emeryci. Jedzą i piją. Nudzą. Ale czy żyją?

Tymczasem do ich emerytalnego wieku było jeszcze sporo czasu. Tymczasem poznawali okolice. Jeździli, łazili, wzwyczajali się w ludzi, w pejzaże i w zabytki.

Tak samo długo łazili po Paryżu, poznawali osobne, składające się nań miasta, wciąż inne jakieś jego strony, chociaż mieszkanie państwa Durand było pewno od zawsze po ich stronie działu wód. Najlepszy dowód, że tak z miejsca, bez namysłu, zdecydowali się dobić targu, zaraz przy pierwszej wizycie.

Już sama dzielnica podobała im się, choć była w owym czasie bardzo zapuszczona. Dopiero od niedawna weszła w modę. Zaczęto nagle odkrobywać fasady do żywego kamienia, karczować nobliwe podwórce z powrastałych w nie składników, warsztatów, gnijących bud. Ceny z miejsca tak poszły w górę, że niechący zrobili doskonały interes. Gdyby panu Durand nie było tak pilno na wieś, gdyby nie znalazł w nich tak szybkich nabywców, może zdążyłby umrzeć w tym mieszkaniu, przed jego wyzbyciem

się, i wdowa po nim byłaby bogatą wdową, no a wnuk teraz jej bogatym spadkobiercą.

Może też i ów nagły snobizm dzielnicowy, urządzone tu festiwale, artykuły w prasie, telewizja, oprócz kalkulowania ile by to teraz było warte gdyby pozostało w rodzinie, spowodowały ową niedzielną wizytę młodego Duranda? Nie same sentymenty, wspomnienia z dziecińczych lat?

Po ich ulicy, z początku prowincjonalnej, zaaferowanej drobnymi warsztacikami i rzemieślnikami, przetaczały się od kilku lat stadka turystów z przewodnikami obkutymi w dużej i małej historii. Psy stróżki z przeciwka często miały pretekst do ujadania i wielojęzyczni bacowie chrypli, przekrzykując ich kapi-toliński jazgot, by napomknąć, że tu oto mieszkała taka a taka markiza, takiego a takiego króla morganatyczna potem małżonka. Zaś ta kamienna głowa nad bramą być może nosi rysy jeszcze innej markizy, o jeszcze bardziej ekscytującej reputacji?

Dla nich była to po prostu głowa Cerery. Bogini urodzaju, płodności w lecie, kiełkującej przez zimę, podziemnej śmierci. Bogini pomiędzy życiem a śmiercią. Bogini Pomiedzy.

Z ich podwórka także bardzo szybko znikł barczek, w którym dziadek Durand pół chałupniczą metodą fabrykował jakieś bodaj powrozy. Czy w ogóle istnieją jeszcze powróznicy? Ze starych lokatorów, zachwalanych im kiedyś dobrych sąsiadów, mało kto pozostał, powymierali albo ich wykupili nowi, innego pokroju. Miejsce powrózniczej fabryczki, której kupna na szczęście dziadek Durand im nie proponował, zajął rodzaj sarkofagu, zamykającego w sobie wiadra na śmieci, dawniej jawne i rozbabrane przez koty i szczury, zaś na jego płycie powstał trochę cmentarny ogródek złożony z roślin doniczkowych. Mieszkańcy kamienicy wynosili je tu na lato, na wyjazdy, by im je stróżka podlewała, a po powrocie z urlopu najczęściej zapominali. Zrobiło się więc całkiem ładnie, botanicznie, z różnorodnością pędów i liści wszelkiego kalibru, czasem zmartwychwstających kwiatami. To, co wzbraniało się zakwitnąć zimą w przegrzonym apartamencie, żółkło i marniało, tutaj odżywało mimo wieczystego cienia. Na ów mini ogródek spadały desanty wróbli i gołębi, płoszone przez dziewczynkę stróżów, która machając rękami wcale ich nie chciała odstraszać, tylko próbowała, czy ich śladem nie wyfrunie z podwórka.

Stało się z ich dzielnicą jak z suknią, wzgardzoną, zbrukaną, skloszardziałą, którą nagle pęd retro przeobraża w szczyt elegancji. Wyrzebuje się ją ze strychu, oddaje albo nie do pralni chemicznej, nakłada i zadaje się szyku. Trwa to póki trwa. Na

razie trwało. Zza każdego węgła sterczały dźwigi, buldożery drążyły grunt, czołgi wspinały się gąsienicami na stosy starych i nowych gruzów, wydłubywano zaplecza, zachowując na przyszłość i dla „standingu” szesnastowieczne fasady, dosztukowując do nich z tyłu, co żywo, liche, lecz z pełnym komfortem apartamenty dla nowego typu mieszkańców. Czasami z zabytkowej i niby pod ochroną fasady ostawała się tylko kamienna głowa, doklejona na cement imitujący kamień, i patrzyła znad bramy wszystkim wszechwładnymi i wszystko rozumiejącymi oczami. Bez spojrzenia.

Inni ludzie, inne sklepy. Starodawne, z mydłem i powidłem, plajtowały jedne po drugich, wypierane przez nowotwory z przetrzutami samoobsługowców, albo przez luksusowo udywanione galerie i antykwarjaty pełne podrabianych bibelotów. Wszędzie odarto drewniane, czasem malowane sufity, gdyż bez belek na wierzchu nie wypadało. Gdy okazywało się, że belek nie ma, dorabiało się nowe. Czym starzej, tym lepiej, cóż z tego że anachronicznie. Bez belek w Marais ani rusz, tak jak bez sztucznej szczęki. Ostatni bezzębni staruszkowie wymarli, albo wstydzą się otworzyć usta.

Żał im było jednak dawnej atmosfery tej dzielnicy, choć wcale tu się nie urodzili ani, jak wnuk Durand, nie spędzili tutaj dzieciństwa. Ledwo zdążyli jej zasmakować, ledwo mignęły im owe warsztatiki produkujące lustra, te prawie kramiki z guzikami i przędzą do cerowania — ale któż w dobie nylonu ceruje skarpety? Po głupi chleb trzeba było teraz robić całą wyprawę, gdy dawniej co krok pachniało tu świeżym pieczywem i dymem drzewnych palenisk. No i coraz trudniej było pogadać sobie po sąsiedzku, kupując befsztyk u rzeźnika znajomego osobiście gusta każdego klienta, a po drodze, z pełnym koszykiem, wymienić parę obowiązkowych zdań o pogodzie, strajkach czy wyborach ze znajomymi z widzenia, z codziennego spotkania się współmieszkańcami wioski. Wtedy była to wioska, jedna z wiosek, z których składał się i jeszcze miejscami składa się Paryż.

Teraz mijały ich bez witania, bez spojrzenia, fałszywe hipiski w łątanych dżinsach na wagę złota, przez maszyny dla nich sztucznie *a priori* zużytych i spranych, wysiedzianych, albo w hinduskich sari z toną naszyjników na szyi, prowadząc psy na smyczy i pozwalając im załatwiać się na trotuarze.

Szansa przeżycia dla ich dzielnicy, dla tych domów kruszących się po wiekach zaniedbania, czy przeciwnie, zagrożenie,

przeobrażenie jej siłą w rodzaj skansenu? Tymczasem w modzie, ale gdy jej wiatr gdzie indziej powieje i wywieje stąd bezbłędnie wyczulonych na jej kaprysy kolonizatorów? Zostawiając odrestaurowaną pustynię?

Trudno jednak martwić się na zapas i o wszystko. Przywiązali się do swego mieszkania i do dzielnicy, a i tak od lat zmuszeni byli pogodzić się z myślą, że przyjdzie im wynieść się stąd i przenieść w Seweny. Więc tym lepiej, że ceny poszły w górę.

Musiąo jednak ciążyć jakieś przekleństwo nad tym jednym z pierwszych serc Paryża. Może i nad ich domem? Krwawo przetoczyła się tędy Wielka Rewolucja. Tuż obok turlała się po bruku ścięta w doraźnym trybie głowa przyjaciółki Marii Antoniny. A jeszcze bliżej, w wieży Temple, nieistniejącej obecnie, siedział aż do wyroku nieszczęsny, ale urodzony do swego zawodu król. Nie było to aż takie straszne więzienie, jak na nasze wyspecjalizowane w kazionnictwie czasy, żaden Pawiak, żadna Łubianka. Gruby Ludwik miał cały apartament do swojej dyspozycji, służbę, dawał lekcje łaciny — i geografii! — małemu synowi, grywał w szachy, zaś popołudniami spacerowali całą rodziną po ogrodach. Tyle, że przy tych lekcjach, szachach, spacerach nie byli sami. Zawsze eskortowało ich poczwórne oko dwu republikańskich Cerberów. No, ale do asysty przyzwyczajeni byli i za czasów Wersalu czy Tuileries, stanowiła przedłużenie dworskiej etykiety.

Egzekucja także się odbyła z niestosowaną przy naszym dwudziestowiecznym postępie elegancją. Królowi pozwolono wypowiedzieć się, pożegnać z rodziną. I nawet mógł wypowiedzieć — gipsowanie ust nie było jeszcze wynalezione — swoje „ostatnie słowo”, skrzętnie zanotowane, bez fałszowania czy przemilczania: „Ludu, ginę niewinny temu, o co mnie oskarżają. Pragnę, by moja krew scementowała szczęście Francuzów”.

W końcu nie najgorsza śmierć. Spowodowana minięciem się z powołaniem. Gruby Ludwik urodził się na kolegę Konika, hebel i dłuto lepiej pasowałyby do niego niż berło. Z rozkoszą razem by sobie majstrowali meble. Skoro tak ciepło i tak prosto wypowiedział się pod gilotyną, musiał mieć naprawdę spokojne sumienie. Wtedy proszków czy zastrzyków uspokajających jeszcze skazańcom nie aplikowano.

No, a Komuna paryska? Wszystkie małe gawrosze, tymi tu właśnie biegające ulicami? A przedtem sąsiedzki Hôtel de Ville, magistrat Paryża, do którego udał się Robespierre i w ten sposób zagarnął władzę nad miastem, aby tamże, parę szybkich lat póź-

niej, leżeć jak załuczony pies, z byle czym obwiązaną, zgruchotaną szczęką?

Ten złożył głowę pod gilotyną nie po królewsku, lecz po trybuńsku. To nie było spokojne sumienie, to była pogarda. Dla tego samego ludu. Czyli — według trybuna rewolucyjnego, nie według króla — dla motłochu. I w każdym ostatnim słowie Robespierre nie wyraził życzenia, by jego krew scementowała szczęście Francuzów.

A ulica Różana, rue des Rosiers, jeszcze bliżej, której nazwa nawiązuje do pnących się kiedyś po jej murach róż? Pierwsze trupy Komuny pod tymi różami? I jakby zaraz potem, w szybkim przesunięciu się kalejdoskopu historii, tamże, groza łapanek, nagłe i radykalne wyludnienie z nie dość francuskich Francuzów? Odszczurzenie?

Dziwne, im więcej ludzi wybijać, tym bardziej się mnożą. Nigdzie tak nie podskakuje krzywa statystycznego wzrostu ludności, jak w stronach spustoszonych przez wojny, rewolucje, pogromy, czystki, trzęsienia ziemi. Może życie lubi zapuszczać korzenie w ledwo przestygłej lawie? Może naprawdę krew użyźnia glebę? Bo choćby taki szczyt cywilizacji, bomba atomowa, czy zniechęciła Japończyków? Jakże się nagle rozmnożyli na i tak przecież od wieków zagrożonych przez tektoniczne konwulsje wysepkach!

Nic Hiroszimy, nic Oświęcim! Na ulicy Róż tłum jak gdyby nigdy nic, liczny, bardziej niż kiedykolwiek koszerny, starozakorny. Zmartwychwstali? Obrodzili na gdzieś tam rozsypanych wokół krematoriów, wiatrem tu przyniesionych popiołach? Nadal inni, nadal podkreślający ową inność, choć ona ich kiedyś wyznaczyła na zagładę? Wszędzie wokoło dzielnica przeobrażała się, modniała, ale na ulicy Róż było ciągle jak w wilię Vel d'Hiver, paryskiej Łapanki.

Lubili chadzać tamtędy. Kupowali orientalne specjały, łączące w sobie smaki dwu tysięcy lat diaspory, Palestynę i Europę wschodnią, Wiedeń, Wilno i Odessę, Liban i Grenadę, więc chleb z kminkiem, serniki, chałwy, bakalie i macę. Tutaj można było potargować się jak na arabskim bazarze choćby o lichtarz srebrny, siedmioramienny. Podrabiany, czy autentyczny? Więc czyj, więc skąd? Kto na nim kiedyś zapalał szabasowe świece? Wzgardzone dziedzictwo? Chyba nie, gdy widziało się tłum wysypujący się w Sądnym Dniu z synagogi, jak po sumie, i pośród niedzielnie wystrojonych rodziców aż tyle młodzieży, tylu pięknych chłopców w tradycyjnych myckach, piuskach, choćby po studencku, modnie czy politycznie, a nie po gettowemu brodatych? Tylko



tu i może jeszcze gdzieś w Jerozolimie, w Izraelu, można było spotkać tylu błądzących talmudystów z pejsami.

Wyzwanie rzucone przekleństwu? Czyjemu? Czyżbyśmy wszyscy zostali kiedyś przez kogoś przekłęci? Za co? Za pierwsze, zerwane wbrew zakazowi jabłko? Za świadomość złego i dobrego?

A więc przekłęci przez Dobro? Wydani Złu? Kto, Co pozostało z nami, w nas, gdy pierwszych rodziców wysiedlono gwałtem poza granice Raju? Anioł z mieczem ognistym w dłoni, protoplasta strażników z karabinami maszynowymi? Jaką gwiazdę przyszyto nam do piersi? Do jakiej zaliczono nas wzgardzonej rasy? I co przekazujemy, przekazując życie, na które zostaliśmy skazani?

Może potrzeba nam nie tyle Mesjasza, którego jedni wciąż wyczekują, gdy dla drugich już się wcielił i nawet na swe boskoludzkie życzenie został ukrzyżowany po to, aby krew Jego scementowała szczęście pozagrobowe ludu, zbawienie? Może raczej potrzeba nam Pasteura? Który by wysłedził szkiełkiem i okiem co takiego — Co — kryje się w samym naszym zarodku, w znoszonych przez nas jajeczkach? I wynalazł na to szczepionkę?

Ale... Metoda wynaleziona przez świętego Pasteura polegała na rozróżnianiu i niszczeniu złych, skażonych motyli. Motyli nie dość dobrej rasy. Może bezpieczniej nie modlić się o podobnych zbawicieli?

Po co sięgać aż po Adama i Ewę, Abła i Kaina, pewien sporny co do daty Wielki Piątek na Górze Kalwarii. To miasto, ta ich dzielnica zostały dosłownie przekłete. Wiadomo ściśle kiedy, dzień, godzinę, za co, przez kogo i jakimi słowami.

Ich ulica nosiła imię kogoś, kto całkiem prozaicznie był magistrackim, wysokim urzędnikiem i wymyślił czy zatwierdził model mundurów gwardii republikańskiej. Ale oni woleli inną wersję pochodzenia nazwy rue Debelleye. W tej bardziej romantycznej wersji chodzi o kogoś zupełnie innego i o czasy, gdy były dwie stolice: Paryż królewski i Paryż Templariuszy.

Na zakręcie którejś z lektur wpadli na imię rycerza, mnicha i architekta w jednej osobie, wtajemniczonego we wszystkie sekrety zarówno Jehowy jak Izidy. Przydomkiem jego było: „Smok spadły z nieba”. Robert de Belleyme rysował plany twierdz i lochów, w których może do dziś ukryte są legendarne skarby, smok-Dedał, biegnący w labiryntach. Tak, woleli myśleć, że to on, a nie jakiś tam prefekt-modelista, pierwsze wcielenie Diora, figuruje na ich wizytówce. Snobizm? Ale i spore praw-

dopodobieństwo. Ulica ich zakreślała półkole, samym swoim zarysem zachowując formę nieistniejącej od wieków jednej z baszt Temple. Zapomniana, niewypruta fastryga. Śmiało więc można upierać się przy wersji, że imię jej pochodzi właśnie od Smoka spadłego z nieba, projektanta i Gisors i Temple, przyjaciela zwaśnionych synów angielsko-normandzkiego króla. Smok skończył jak w baśni, oślepiiony przez jednego z po kainowsku rywalizujących ze sobą synów Henryka i pięknej Alienor, zakuty w lochu angielskim, nie francuskim, co wtedy było — i mogłoby być do dziś być — wszystko jedno.

Po co mu było wypalać oczy, skoro i tak gnił w ciemnościach? Latami. Na co zdała mu się wiedza praktyczna, na co mistyczno-magiczne wtajemniczenia, alchemie, na co rycerska sprawność i umiejętność politycznych rozgrywań? I co on sobie przez lata niepotrzebnej ślepoty myślał? Chyba że chleb i woda, bezruch i wilgoć kazamatów przyspieszyły sklerozę, czyli bielmo mózgu. Ale serce? Ten mechanizm funkcjonował u niego dłużej niż by sobie ktokolwiek mógł życzyć w jego sytuacji, bez wyjścia. Czego i komu życzył, umierając na raty? Kogo przeklinał?

Żałosny koniec Smoka spadłego z nieba dokonał się za czasów świetności rycerskiego zakonu Templariuszy. Zwyczajna wpadka polityczna. Wsadzenie palca między wciąż inaczej trzaskające, dynastyczne drzwi. Ale potem?

Z dnia na dzień, za jednym szachowym posunięciem z dwu Paryżów zrobił się jeden. Paryż autokratyczny, królewski pożarł Paryż mistyczny, Pałac zawładnął Świątynią i okupował jej dzielnicę. Nie pierwsze w dziejach, ale całkiem bliskie nam już w czasie pokazowe procesy, publiczne przyznawanie się do popełnionych czy nie popełnionych win, zbrodni, pod torturą albo przy pomocy dialektyki. Jeszcze nie materialistycznej, ale one w końcu, wraz z mistyczną, są jak syjamskie figi w ogrodzie Jana, nie wiadomo z której zrywa się właśnie owoce. I też z chwilowymi, u niektórych, nawrotami odwagi, samobójcza potrzeba odzyskania szacunku dla samego siebie, świadczenie prawdy wobec ślepej Temidy w imię kto wie jaki wzrok mającej Historii, jakie i jak często zmieniającej okulary? Kto to, kiedy, wczoraj czy parę setek lat temu powiedział:

— Tak, przyznałem się do tych zbrodni, ale to było na skutek tortur. Widziałem wczoraj karetkę, wiozącą mych Braci na spalenie żywcem, gdyż odmówili przyznania się do winy. Ach, ja, gdybym miał zostać spalony, nie zniósłbym tego! Ja bym uległ... Ja bym wyznał pod przysięgą, przed wami, przed wszystko jedno kim, wszystkie zbrodnie, o które oskarżony jest Zakon.

Przyznałbym się do zamordowania samego Boga, jeśliby tego ode mnie zażądano...”

Przyznawali się więc, odwoływali zeznania gdy ich odwiązywano z koła łamiącego kości, gdy odsuwano od oczu ścinającą biało pochodnię, a i tak ich popalono. Nie pierwsze całopalenie. Nie ostatnie. Za zgodą, a nawet przy aplauzie świata. Po niewczesnych potem, jak zwykle, tego świata żalach, kompleksach winy, przerzucaniach się winą, umywaniu rąk.

Czy Bóg „rozpoznał swoich”, jak na to beztrzesko liczył Simon de Montfort, każąc palić żywcem kościoł w Beziers, choć to nie była żadna synagoga?

Przecież i Mojżesz, według Pisma, zgładził tylko dwadzieścia dwa tysiące bałwochwalców, nie pytając o zdanie Aarona, mimo że ten wyznaczony został przez samego Jehowę na Wielkiego Kapłana. Ale Mojżesz miał bezpośrednie i uprzywilejowane połączenie z Bogiem. Czerwony telefon. Więc...

Więc zaraz po słowie: „Stań się!” padło — musiało paść — słowo: „Giń!”. Czemu więc przejmować się przekleństwem Wielkiego Mistrza Templariuszy, zamienionego w żywą pochodnię na wysepce już wówczas zwanej Żydowską? Ten sam tłum asystował przy widowisku, od wieków ten sam tłum, urobiony propagandą raz lewą, raz prawą, podniecający się Golgotami, pochodniami Nerona, głowami spadającymi do koszów. Wyzywający się w linczowaniu Murzynów. Defilujący przed Kremlem, na Unter den Linden i na wszystkich Alejach wszystkich efemerycznych Niepodległości? Zawsze i wszędzie ten sam.

Ich dzielnica była uprzywilejowanym teatrem tych spraw, tak jak są miejsca czy kraje predestynowane do krwawych wylewów Nilu czy trzęsień ziemi. Nie myśleli jednak wcale o tych turystycznych już tylko na razie ciekawostkach, poszukując właśnie tutaj mieszkania. Po prostu wtedy było tutaj taniej niż w innych Paryżach. Stanowili parę motyli, już po godowym locie, rozglądających się za najlepszym liściem morwy by złożyć swoje jajeczko. Nie wiedzieli, że jest skażone. Żaden motyl o tym nie wie. Nawet jeśli w rysach kamiennej głowy nad bramą jakiś mól muzealno-biblioteczny rozpoznałby markizę, dla której ten dom został zbudowany, zadecydowała suma wymieniona przez pana Durand. Dopiero potem mogli sobie wyobrazić pierwszą mieszkankę domu, jak zajeżdża kareta na podwórko, syta plotek, z przyjęcia u swej sąsiadki, też markizy, o której nie pozwolą zapomnieć jej listy pisywane do córki, dokument bezwzajemnej, zaślepionej, macierzyńskiej miłości. Jedno w tych listach, bez-

pośrednio ich dotyczące zdanie: „Boli mnie w twoich płucach...”.

Oni nawet nie mogli powiedzieć, a cóż dopiero napisać do syna: boli nas w twoim mózgu.

### XIII

Przed świtem niebo zbliża się do ziemi jak wolno spuszczone baldachim, gwiazdy robią się wielkie i mokre. A potem zaczyna dzień. Powoli rozchylają się śluzy tamy nocnej. Światło od wschodu sięga coraz wyżej, zatapia gwiazdy, krzepnie na nich coraz grubsza warstwa glazury i, nim słońce wstanie, niebo jest gotowe, czyste i dzieńne. Mija pora gwiazd. Jedna jedyna upiera się, protegowana księżycą, który także, dysk czy sierp, nie daje się tak szybko utopić. Ta gwiazda długo błyszczy, na antypodach słońca. Znowu Ona, Wenus. Miłość. Nocą i dniem.

Wenus jeszcze świeciła, słońce jeszcze nie było zdecydowane czy wstać, przejąć niebo w swoje ręce, czy też zostawić je mgłom i chmurom, kiedy budzik zaterkotał na alarm i równocześnie Maria zapukała do drzwi. I tak już nie spali.

— Wstajesz jednak? — zdziwił się niepotrzebnie. Było jasne, że z nim pojedzie. Całą noc byli umówieni bez słów. Jak to mężczyzna, rad że z nim pojedzie, ale równocześnie rad, gdyby sobie dłużej pospała, czy choć poleżała.

Nie golił się, ona nie przypudrowała nosa, po co? Jan także przystępował do porannej toalety dopiero wróciwszy z pustymi bankami. W minutę byli gotowi. W kuchni, a nie na werandzie, co stanowiło niejaki przyjęcie ich do rodziny, stały trzy bolki i Maria już im nalewała kawę, po tutejszemu przemieszaną z cykorią. Wypili duszkiem, nawet nie siadając. Z pewnością tak wypijał kawę Jan, parząc sobie podniebienie, w obliczu niecierpiącej minuty zwłoki mlecznej misji.

— Jak Jan?

— Dobrze. Lepiej.

To wszystko, czego mogli się od Marii spodziewać. Oszczędność słów. I już im wręczała przygotowaną — kiedy? wczoraj wieczorem? dziś przed świtem? — karteczkę ze spisem koniecznych zakupów. Opatrunki na zmianę, lekarstwo, bo tylko część przepisanej dawki znalazła się wczoraj w aptece.

Pod skałą, tuż koło ich samochodu, stały już rzędem banki,

nie wiadomo przez jakich pasterzy, skąd i kiedy zniesione. Zazwyczaj ustawiano je przy Janowej obórcie, gdzie zwykł nocować jego motorek z przyczepką. A więc wszyscy wiedzieli, że dziś rano zastępują Jana? Skąd? Jak to się przez noc rozeszło? Przecież nie poczta ani telefonem.

Bańki były ciężkie, pełne, ciepłe. Metalowe wymiona. A Maria, czy już wydoiła krowę? To zwykł robić Jan, nie ona. Oczywiście. Mogą jechać. Zaraz wstanie upał i mleko gotowe się skwasić.

Przecież nie spali. Przecież leżeli z otwartymi oczami, trzeźwi, a niczego nie słyszeli, zamykania i otwierania drzwi, jej niewątpliwych rozmów, choćby najbardziej ściszonych i lakonicznych z tymi, którzy te bańki tu przydźwigali i ustawili pod skałą. Tacy byli pewni, że oprócz budzika wszystko w domu śpi. Oprócz paru ptaków za oknem.

Tak, nic się tutaj niby nie działo, a wszystko było zrobione. Nikogo nie dostrzegało się z bliska ni z daleka w czasie wędrówek, a każdy ich krok mógł być śledzony. Może nigdy nie udało im się wymknąć poza pole widzenia czyjegoś oka, czyjejs lornetki? Pod żadnym drzewem, na żadnej obrośniętej kolczastym dębem polance?

Ledwo pomieścił bańki w bagażniku, który nie chciał się domknąć i kłapa trzaskała jak cały skład żelastwa, objijając się o nie. Przez te parę kilometrów do miasteczka pobudzili chyba do reszty cokolwiek jeszcze spało, nawet psy i koguty.

Wczorajsza dostawa odbyła się później, już za białego dnia. Dzisiaj po raz pierwszy zastali miasteczko w porze, gdy ono dopiero zaczyna działać. Miał być targ. Nad budami, już skleconymi, rozciągano płachty w słusznym przewidywaniu upału. Rozładowywano skrzynie i pudła z butami, ubraniami, wystawiano wiadra z miodem, twarde krążki-monety koziego sera na słomie czy na liściach, rozwieszano girlandy suchych kiełbas, czosnku, pęki ziół. A także, na intencję letników i turystów, jakieś suweniry, szkaradziejstwa folklorystycznie fałszywe, popielniczki w kształcie prowansalskich — choć gdzie tu Prowansja? — cykad z napisem: słońce każe mi śpiewać. No i z porzekadłami, ludowymi czy nie ludowymi mądrościami, jak ta, która ich tu kiedyś skusiła, w swojej girlandzie kwiatów: świat nie kłamiąc stał się zły. Bez przecinka.

Aptekę otwierano później, o nieco bardziej burżuazyjnej godzinie. Mieli czas, nie było aż takiego alarmu, żeby zachodzić tam od kuchni, wyrwać kogoś z łóżka. Po krótkiej formalności dostawienia mleka, przypilnowania — jak im to szeptem naka-

zała Maria — aby dzisiejszą ilość litrów odnotowano w Janowej, sfatygowanej księżeczce, załadowali puste bańki do bagażnika, ustawili samochód pod platanami, które już rzucały ostry, długi cień i wstąpili na kawę i rogaliki. U Janów nie jadało się świeżych rogalików. W domu, w mieście, też nikomu nie chciało się rano po nie biegać. Więc okazja.

Mała, starodawna kafejka pachniała miło kawą i cykorią, jak w kuchni Marii. Żadnych tu jeszcze na razie espresso. Za to rogaliki prosto z pieca. Było prawie pusto. W kącie siedziała matka z noworodkiem. Spało, opatulone tak, że widać było tylko puchatą główkę wtuloną w rowek między jej piersiami, akurat w miejscu gdzie prababki tej kobiety nosiły woreczki z jajczkami jedwabniczych motyli. A przy sąsiednim stoliku czworo młodych. Nietutejszych. Dwie dziewczyny, dwu chłopców. Tylko brody różnicowały ich płciowo, gdyż cała czwórka ubrana była w identyczne dżinsy i luźne swetry, oraz identycznie była rozczochrana.

Turyści. Cudzoziemcy. Chyba Niemcy?

Uwagę ich zwróciła zresztą nie tyle dwujęzycznie niezgrabna rozmowa, co od czasu do czasu wcale nie tłumione cichoty, w których było coś już całkiem nietutejszego. Dysonans. Zimny śmiech, nie młody, nie naturalny, podniecony, ale jakoś sztucznie, jakoś po parysku osiemnastowiecznie, pod markiza de Sade, jakby czwórka zblazowanych impotentów usiłowała nawzajem tym śmiechem się podniecać, ponieważ nie wiadomo, jak im wypadnie „robienie miłości”.

— Tej nocy... — mówili. — *Diese Nacht...* To się zwija. Tak jak starzy zwijali papierosy. Ale jeszcze lepsze, jeśli...

Tutaj oboje nadstawili uszu, chwytając francusko-niemieckie strzępki zdań.

— Tej nocy, *diese Nacht...* Wielki bum! Ile? *Wieviel?*

Coś sobie na palcach pokazywali. Cyfry. Nie było najlepiej z francusko-niemieckim porozumieniem językowym.

— O, to drogo! Taniej w Andorze. Nie, żadne tam Valium. Tylko... To się pije. *In einer Flasche.* Albo... Przesada, z tym dezynfekowaniem.

Więc narkotyki. Więc narkomani? Tacy młodzi! Tacy jeszcze zdrowi, tacy udani! Kim są, gdzie ich rodzice? Najwyraźniej ta czwórka gdzieś tu się po drodze właśnie spiknęła i teraz wymieniają sposoby, ceny, adresy dostawców. Projektując wspólną, wystrzałową noc. Wielki bum, gdzieś tutaj, *diese Nacht.*

Więc jeszcze i to, jeszcze i tak można być zdradzonym, taką

ponieść klęskę. Ich mały... Niby jeszcze mały, ale czyta się w gazetach o młodszych od niego, już zatrutych.

Zresztą umówmy się, ich mały już jest narkomanem, nawykowcem. Ładnie by wyglądali, ładnie by wyglądała Konikowa, gdyby tak raz zabrakło pigułek dla niego!

Dziewczęta były śliczne, długowłose, chłopcy też. Dzieci. Nie chcieli tego słuchać, nie chcieli ulec pokusie interwencji w imię: rodzice wszystkich krajów łącznie się! Jakim prawem i co by to pomogło? Nie chcieli rozumieć ani po francusku ani po niemiecku dalszego ciągu rozmowy, szczegółów. Więc gdy zaczęła szukać drobnych w kieszeni, zrozumiała co chce zrobić i przytaknęła, bez słowa.

Postęp dotarł jednak i tutaj, do bezpretensjonalnej, przytar-gowej kawiarenki i jego forpocztę stanowiła przytwardzona akur-at koło ich stolika mała grajszafa. Wrzucił monetę, nacisnął na chybił trafił klawisze, zabłyśło czerwone oko. Zachrypiało, zarzęziło coś w tej puszcze Pandory i nagle podrzuciło ich na krzesłach. Tuż przy nich rozwrzeszczała się bez żadnych wstę-pów cała orkiestra, pięścią w ucho. Gdyby to było radio lub telewizja, można by wyłączyć. Ale nie. Za własne pieniądze będą musieli znieść tę akustyczną agresję do końca płyty.

Czy to lepsze od tamtych szeptów i chichotów? Może. Pękały bębunki, ale nie serce. Zresztą grajszafy oszukiwały i za wrzuconą do ich puszek monetę można było wyjednać sobie bynajmniej nie całą płytę, lecz drobny jej fragmencik. Cierpliwie dojadali rogaliki.

Ale gdy pudło ucichło okazało się, że wrzeszczy niemowlę. Zrobiło im się strasznie głupio. Obudzili je. Właśnie oni! Może chore? Może matka przywiozła je do miasteczkowego lekarza i wyczekiwała w kawiarni na godzinę przyjęć, tak jak oni na otwarcie apteki? Co mu było? Gorączka? Jaka? Co odkryje, co orzeknie doktor?

Mała główka trzęsała się teraz pomiędzy piersiami matki, sina, nabrzmiała, jakby w niej też się obudziły całe roje robaków.

Za tę samą ofiarę mieli prawo do dalszych dwu kawałków, jak świadczyło wciąż zapalone światełko, jeszcze mogli nacisnąć dwa guziki, bardziej świadomie, wybierając łagodniejszą dawkę. Ale płacz dziecka stanowił wystarczające zagłuszenie rozmowy młodych spiskowców i nie musieli wbrew woli być niedyskretni i wyrzucać sobie, że nie stać ich na interwencję, na skok do wody dla ratowania dobrowolnie tonących.

A najbardziej bali się ośmieszyć.

Zapłacili za kawę, za rogaliki i chyłkiem, jak para winowaj-

ców, opuścili ciemną kafejkę. Tuż za progiem zaświecił im w oczy nastawiony nisko śledczy reflektor słońca. W otwartej aptece zaraz dostali co trzeba. Wnętrze samochodu było już nagrzone, skrócił się cień platanów. W bańkach z pewnością zaczęły się już kwasić resztki mleka. Więc czym prędzej pod obórkę, ubiec Marię, samodzielnie je wymyć.

— Pamiętasz świętą Wilgefortę?

Kiwnął głową znad kierownicy, starając się prowadzić tak, żeby kłapa od bagażnika jak najmniej bębniła po bańkach. Od tego też pękała głowa.

Święta Wilgeforta nasunęła im się na myśl z dwu powodów: germańskie jej imię, wyłonione z podświadomości rozmową kawiarnianej czwórki oraz brodatość chłopców w odróżnieniu od niebrodatości dziewcząt. Po którejś z inspekcji u madame Konik zabawili się w turystów.

Zaczęli od katedry, słynnej z wysokości. Dramat pychy, dramat gotyckiej rekordomanii. Sam chór Beauvais miał pobić Notre Dame, a cóż dopiero jej wieże!

Do wież nigdy nie doszło i w ogóle skończyło się jak z wieżą Babel. Chór parokrotnie się walił, coś nie zgadzało się w proporcjach, w obliczeniach, żaden Smok nie spadał z nieba, by je skorygować. Mijały wieki, wojny stuletnie, gotyk mijał, a ta katedra zamarła w pierwszej fazie rozwoju, monstrualny niewypał. Też jakieś przekleństwo nad nią musiało ciążyć. Jeśli pielgrzymka, procesja, to załamują się filary, niewidzialny Samson je rozpycha i grzebie pod gruzami wierny tłum. Jeśli już, już dochodzi do wieży, krzyż który ma ją zwieńczyć, pobijając rekord krzyżów chrześcijańskiego świata, przerasta jej wytrzymałość, pod krzyżem wieża się ugina. Pozostał kamienny kadłub w wieczystym niedokończeniu.

Do tej zaniechanej w połowie świątyni wchodziło się jak do dziwnego hangaru, bez centrum, bez serca, bez głowy. Pustej. Trochę ciekawostek, zegar astronomiczny, który co południa pokazywał Sąd Ostateczny. Święty Antoni, święta Teresa czekali na daninę świeczek. Świeczki żyły, póki im starczało stearyny. Zapalili po jednej, odbyli kukiełkowy Sąd Ostateczny i nie mieli tu więcej nic do roboty. Więc wyszli polazić po mieście.

Święta Wilgeforta czekała na nich w sąsiednim, skromniejszym kościele. Idąc sobie turystycznym krokiem normalnymi nawami, popatrując na boki, zobaczyli Ukrzyżowanego. A to była Ukrzyżowana. Z brodą, jak Chrystus, ale z biustem Marii Magdaleny.



Wizygocka dziewczica wymodliła sobie dyskwalifikującą ją erotycznie brodę po pas, by zniechęcić poganina, za którego zaplanował sobie wydać ją król-ojciec. Czyli wymodlone zaburzenia hormonalne. Bóg wysłuchał jej, broda wybujała nim doszło do czegośkolwiek. Zdegustowany pretendent wycofał matrymonialną propozycję, zaś król i ojciec w jednej osobie wyrodną córkę po prostu ukrzyżował, nagą i brodatą, za pokrzyżowanie mu politycznych planów.

Zdradziła go, jako ojca i jako króla, z Bogiem. Więc ją zgładził.

Dzieci zawsze jakoś zdradzają rodziców, choć niekoniecznie z Bogiem. Zaś rodzice niekoniecznie i coraz rzadziej bywają królami. Nie narzucają małżeństw, chociażby te miały zapobiec wojnom. Choćby chcieli, choćby widzieli co jest i co będzie, nie mają władzy karać, a co dopiero krzyżować. Nie mają nawet śmiałości interweniować. A przede wszystkim nie mają władzy ratować. Żadnej w ogóle władzy nie mają, żadnego tronu, nawet tego, który opiera się na miłości. Żadnego wpływu.

Zdradzani i bezradni, więc winni? Zaś dzieci wolne, więc szczęśliwe?

Najszcześliwsze sieroty. Te mają z punktu rodziców według życzenia, na swój obraz i podobieństwo, takich jakich akurat im brak, więc takich jakich im akurat potrzeba. Ale nie wszyscy rodzice potrafią swoje dzieci odumrzeć w porę. Nie każdy może być sierotą. I nie każdy na sierotę się nadaje. Chociażby ich mały... Przeciwnie do tej czwórki młodych. Gdyby byli sierotami, nie szafowaliby może tak beztrosko zdrowiem swoich ciał i swoich serc. Nie gardziliby życiem, ponieważ musieliby o nie walczyć. Nie odpychaliby nieznośnie opiekuńczych, rodzicielskich ramion, ponieważ te, niewidzialne, nieżywe, nie opasywałyby ich nigdy dość mocno.

Z rodzicami jak z ojczyzną. Jak ze zdrowiem. Wilgeforta nie wymodlałaby sobie brody, gdyby żyła pod okupacją i gdyby dla odzyskania wolności ojca-ojczyzny wystarczyłoby jej wyjść za mąż. Za przystojnego, kto wie, poganina. Dziewictwo wydało jej się ważniejsze niż pokój w kraju. Może i było, skoro cudem wyrosła jej broda? Nieważne. I tak historia zmienia bieg. Historia jak gardony, zmieniają łożyska, przycichają, wojny budzą je nagłym galopem, zależnie lub niezależnie od Wilgefort i od Wand.

Nie trzeba było nastawiać tej idiotycznej grajszafy, dla uniku, egoistycznie. Już nie brutalna muzyka, tylko płacz dziecka przeskadzał im teraz, przypominając krzyk małego. Wszystko im

przeszkadzało, dokuczało, brzmiało w uszach, chichoty i namowy młodej czwórki, dogadującej się w babelskim przemieszaniu języków, wrzask niemowlęcia, protestujący, zbuntowany, i konwulsje perkusji z puszki. A teraz jeszcze blaszane bębnienie baniek.

Upał już królował na niebie i ziemi. Zbocza przy drodze aż trzeszczały suchością, przygotowana przez słońce podpałka. Ci młodzi, których wyładowane plecaki leżały koło ich stolika, nocują pewno po lasach, po górach, wedle etapów. Mieli do plecaków przytroczone śpiwory. Więc tej nocy, *diese Nacht*, zorganizują sobie wspólny „bum”, wspólną „podróż”. Gdzieś tutaj. Chyba że uda im się zaraz złapać jakiś długofalowy autostop. W Andorze taniej, do Andorry nie tak daleko. Ale to wątpliwe. Któż tędy jedzie aż do Andorry, któż zresztą ich zabierze, brudnych i kudłatych, z takimi plecakami? Chyba jakaś nudząca się ciężarówka, a tędy wiele ich nie kursuje.

A więc tutaj, na jakiejś polance, na pościółce zeszlórocznych liści kasztanowców, łykną tego czegoś „aus einer Flasche”, zrobią skręta „jak starzy”, ale bynajmniej nie machorkowego. Popiją, popalą. I nastąpi wielki, wspólny wybuch. Bum.

— Myślisz, że oni to zażywają, żeby... No wiesz, że to podnieca?

— Nie. Biorą to, żeby im się zdawało. Że są razem. I że są gdzie indziej.

— Bo w praktyce — dodał po namyśle — czasem to podnieca, a czasem wyklucza. Zależy co. I kto. I ile.

Sami z siebie nie potrafią więc wybuchnąć? W tym wieku? Oni, wolni dzisiaj od przesądów Wilgefirt i Wand, od kontrolującego oka rodzicielskich, królewskich bogów? Brak podpałki? Coś zamokło w nich, zgniło? Albo czegoś w nich brak? Coś zapomniało, że pora zakwitnąć? Pokolenie motyli, które nie potrafią bez sztucznej podniety wzbić się do godowego lotu? I nawet nie godów pragną, tylko pozoru, zaś lot marzy im się nie godowy, ludzki i zwierzęcy, lecz kosmiczny? W zimną pustkę pomiędzy gwiazdami, w ułudne, poza-zmysłowe nic, w pozażycie, w genetyczny — od Genezy, sprzed słowa „Stań się!” — upadek?

Pozorne i zimne były więc te pożary, do niczego nie prowadzące spotkania, zbijania się w czworonożne kłęby. Wcale nie pragną jedno drugiego, z wyboru, nie chcą być razem, chcą żeby im się wydawało. Nie żyć, tylko śnić, sztucznie, chemicznie. No, niby życie też chemia, plus fizyka. Mini kosmogonia. Nagły ongiś bum czwartego dnia Genezy, po rozdziale wód, po ułożeniu harmonii światła. I wreszcie, po rannym „Stań się!” dla

zwierząt, wieczorową porą, na granicy szóstego i siódmego dnia, z gliny — jeszcze wtedy nieśmiertelnej — ulepiony Adam. Po niby demokratycznej dyspucie z Aniołami.

— Stwórzmy człowieka! — rzucił myśl Pan i Aniołowie, szczęśliwi do tej pory, gdyż świat stworzony był harmonią i wszystko, co powstało z niczego, okazywało się dobre, zaczęli spierać się parlamentarnie. Było ich czterech: Anioł Miłości, Anioł Prawdy, Anioł Sprawiedliwości i Anioł Pokoju. Pokój i Prawda nie chciały Adama. Wiedziały: on pokój zamąci, zburzy harmonię, będzie gwałcił i ukrywał prawdę. Ale czyż powodzenie Bożego twórczego projektu miało polegać tylko na szanowaniu prawdy i pokoju? To nudne. Bóg lubił ryzyko. Anioły Miłości i Sprawiedliwości głosowały za Adamem. Bez człowieka, któżby je zrealizował?

Były więc dwa głosy za, dwa głosy przeciw Adamowi. I wtedy Bóg przemówił: cóż tak się spieracie? Adam jest!

I Adam już był. Wbrew i dzięki Aniołom.

Ale sam. I Bóg był sam. Aniołowie, to może Jego wahania, Jego sprzeczne myśli i chęci, jeżeli może — mogła być — Sprzeczność w samym Bogu. Anioły-posłańcy, ale i anioły-wiatry, którym On rozkazuje, jak i wodom, przydziela im kierunki i podziały, skąd mają tryskać i którędy biec, gdy one nagle się buntują, wpadają w szal galopad, w wiosenne i jesienne „bum”, strącając z grzbietów mosty i wyrywając drzewa z korzeniami. Ich buntury są zresztą pewno przez Niego przewidziane. Zaplanowane. Bo któż, cóż ujdzie Jego woli, Jego oku?

On jest Wolą, dla Żydów. I jest Miłością, dla chrześcijan. Dla jednych i dla drugich jest rozdzielającym i łączącym Słowem. Stań się!

Gdy echo odpowiada: giń!

W każdym razie podobny „bum” spowodował u ich syna wybuch atomowy w słonecznym układzie którejś z mózgowych komórek, koniec świata, zanik i tak efemerycznego, na jedno wcale nie wieczne życie wypracowanego na tych samych co układ wszystkich planet grawitacyjnego prawa. Prawa do myśli, do słowa. Więc do człowieczeństwa. Był Adam. I przestał być. Została śmiertelna glina. Nieodwracalnie.

To było także sztucznie sprowokowane. Nie wpływ narkotyków, lecz gorączka. Więc chemia. Ale ilu młodych, udanych Adamów, bez szczepień, bez uczulenia na nie, kończy podobnie jak ich syn, albo i gorzej. Kto wie, gdyby mały nie padł ofiarą szczepionkowej Hiroszimy, teraz, za ogólną modą, wyzywałby

los i zażywał czegoś *aus einer Flasche*, pociągając przy tym dymek z jakiegoś skręta z Andorry czy z Marsylii? I co? Zapobiegliby temu? Alboż są królami? Bogami także nie są.

Ale będą. Dali mu życie, z miłości. Odbiorą mu je kiedyś, gdzieś tutaj, w jakimś domu, za skałą czy nie, także aktem miłości i woli. Stań się! Giń! Według Tory. Według Testamentu.

Cztery Anioły w nich dyskutowały dzień i noc. Zaskoczą je i powiedzą: cóż tak głosujecie? Adam był. Nie ma Adama.

Byle tylko ta czwórka, tej nocy, *diese Nacht*, nie podpaliła niechący, sztucznie wybuchając, całego lasu. Od niedoduszonego skręta, od jednej iskry pełgającej po liściu kasztanowca? Każdy z nich połyskiwał jak szklana soczewka i wydawało się, że jeszcze jeden skaptowany przezeń promień słońca, a płomień buchnie sam z siebie i jednym jęzorem wszystko zagarnie.

Pożary lasów były tutaj jednym ze stale wiszących nad głową biczów Bożych. Tak mało było potrzeba, źle uregulowana rura wydechowa, niedopałek beztrosko wyrzucony przez okno samochodu. Oni, choć palacze, na spacerach rzadko wyciągali z kieszeni papierosy. Strach. Zresztą tutaj nacisk nerwów i nałogu lżał. Powietrze, gęsto naparzony wywar ziół, i tak upajało, nie gorzej od nikotyny. Dopiero gdy gdzieś po drodze natrafiali na wioseczkę, na nieuchronną w niej kafejkę, wstępowali nie tylko by się czegoś napić, by ulżyć nogom, pogapić się na potencjalnych sąsiadów, ale by i nareszcie zaciągnąć się nawykowym dymkiem.

Więc czym się tak bardzo od tamtej czwórki różnili? Także mieli okoliczności łagodzące. O ileż trudniej byłoby im znosić bez papierosów owe co miesiąc Konikowe niedziele i „to wszystko” pomiędzy niedzielami? Bez tego gestu, kojącego automatycznie, jak ssanie palca, byłiby bardziej jeszcze zgubieni. A że szkodzi zdrowiu? Lekarstwa też szkodzą na jedno, na drugie pomagając. Szczepionki szkodzą, ratując. Czas szkodzi. Spala życie. Papieros pomaga, szkodząc. Pomaga spalać czas. Pomieędzy. Pomaga zapomnieć. Zajmuje bezradne ręce.

O czym musieli zapominać ci młodzi, co im zastępował, a przed czym ratował dymek ze skręta, łyk *aus einer Flasche*, pigułka czy ampułka? Ucieczka od rodziców? Którzy mają tę wadę co psy, że szybciej się starzeją, ale — co gorsza — żyją dłużej? Z którymi na dodatek nigdy się nie ma na czas wspólnego języka i zawsze na ten wspólny język jest albo za wcześnie, albo za późno? Być sierotą — ideał, choć też nie reguła i nie dla każdego.

Cóż, każdy ma swój krzyż, osobisty czy pokoleniowy i każdy,

jak Wilgeforta, wymodla sobie czy doprawia wyzwalającą brodę lub skacze do Wisły.

Mówili sobie wtedy, czy myśleli, pod ukrzyżowaną Wilgefortą, że może ów poganin zagrażający jej dziewictwu, więc — jak wierzyła — duszy, okazałby się idealnym mężem? Czasem ojcowie wiedzą co robią i ratując kraj upatrują także i dla córek za jednym zamachem dobrego męża, gdyż i o wnuki, dynastycznie, burżuazyjnie, rodzicielsko im chodzi. Więc, poświęcając dziewictwo, Wilgeforta uratowałaby nie tylko ojcowską koronę i ojczyznę od głodu, ognia i wojny, ale i własne, kobiece swoje przeznaczenie? Zbawiłaby ciało, bez brody. A więc zbawiłaby też i swoją duszę?

Mimo woli rozglądali się, jadąc i bębniąc pustymi bańkami, czy aby gdzieś, pomiędzy szarą i połyskliwą zielenią dębów, zza kasztanowców nie wywija się smuga dymu. Wszyscy tutejsi tak wciąż po górach latem popatrywali, z pasterzem i jego uprzywilejowanym lornetką okiem na czele.

Kiedyś byli świadkami leśnego pożaru. Czarny słup przepleciony warkoczami ognia widoczny był z daleka, jak gdyby płonąła Sodom i Gomora. A to płonąła góra. Cała góra. Jeden wielki wytrysk ognia zrobił z niej dyszący wulkan.

Gdy się przybliżyli, góra krzyczała, wiła się jak heretyk na stosie, z trzaskiem i chrzęstem kości, śwędem palonego ciała. I wonią ofiarnego, żywicznego drzewa. Koło nich przemykały oszalałe ze strachu, więc już nie bojące się człowieka zające, sarny, myszy, węże. Ptaki kołowały na zadymionym niebie, instynkt nie pozwalał im bać się o własne pióra, bo tam płonęły gniazda, a w gniazdach pisklęta. Góra strzelała nagle, jak podpalony arsenał, sypała iskrami, wiatr porywał je w locie korzystając z okazji i coraz to inne drzewa ulegały ognistej zarazie, poddawały się euforii wielkiego „bum”. Drzewa podawały ogień drzewom, tak jak dawniej podawało się wici. Tymczasem małe, podstępne płomyczki pełgały pomiędzy wysuszonymi paprociami, zwijały zeszłoroczne liście w trąbki, robiły sobie z nich skręty, migwały coraz bardziej podnieconym solo i wreszcie przekraczały próg, włączały się wielkim głosem w fortissime pożarowej orkiestry.

U podnóża wulkanu, przy drodze, stał sobie strażacki beczkownik, sikawki bezradnie zwinięte, bo skąd tu teraz woda? Malutkiemu gardonowi dawno wyszło w gardle. Okoliczni ludzie rozsypali się tyralierą w odległości pełnej atawistycznego respektu, z łopatami, siekierami, z czym kto miał, wyrabując przesieki, drążąc okopy, stosując *in extremis* gorączkową politykę pustej ziemi. Przydeptywali w tańcu świętego Wita pełgające przerzuty

płomyków, walili po łbach zarażonych paproci, prawie że łapali iskry w locie.

Na szczęście nie było akurat dużego wiatru. Mistral i tak tutaj nie sięgał, w inne strony przypadają przeznaczony na jego ataki furii podział górskich grzbietów. Zaś ta zarażona góra paliła się i paliła, aż wypaliła się do cna, do kości. Długo potem stał w powietrzu i dawał się odczuć na kilometry żywiczny, a jednak trupi swąd *autodafé*. Kikuty kasztanowców zamieniły ją na całe lata w muzeum Oświęcimia, w ciekawostkę dla turystów, w bezludzie, w bezdrzewie, w bezżycie, omijane nawet przez ptaki. W przestroę.

#### XIV

Znowu nie było wiadomo, czy ten nietypowo zaczęty dzień potraktować jak normalny dzień wakacji — pójść w stronę przełęczy Merkurego i nareszcie odfajkować sobie spacer inauguracyjny, czy rozłożyć się w cieniu syjamskich fig, między grobami, albo zejść ku gardonowi, który jednak chłodził i gdzie, jaszczurkując na wygładzonej wodą i czasem skałce, można było spryskiwać płynnym lodem spoconą skórę. A może poczekać pod winoroślą na motocykl listonosza, bo a nuż coś do nich będzie? Przynajmniej gazeta. A potem pójść z butelką do źródła. Tam był gęsty cień.

Postanowili przede wszystkim wypłukać bańki po mleku i zajechali, bębniąc na całą dolinę, wprost pod obórkę. Jak pomoc, to pomoc. Ale zaraz Maria tam do nich dobiegła, cicha i lekka, nawet jej nie zauważyli oddani robocie, która niezbyt zgrabnie im szła, nienawykłym mieszczuchom. Przejęła ster działania, każdy jej gest był bez błędu, wiadro wyciągnięte przez nią ze studni pełne po brzegi, ale bez marnowania, bez rozchlapywania cennej wody i w minutę bańki były czyste jak należy, gotowe do następnego udoju. Wystawiła je rzędem ku słońcu. Susząc, dezynfekowało. To znaczy zabijało.

— Śniadanie czeka — powiedziała, dziękując im skinieniem głowy.

To była wielka dama, cóż że o popękanych, spracowanych dłoniach. Poszli za nią.

Jan siedział w cieniu winorośli, ułożywszy obandażowaną

stopę na dostawionym stołku. Ucieszyli się, że wylazł z komórki przy strychu. Znak polepszenia. Program sam się więc układa. Posiedzą z nim, pogadają nareszcie. A tymczasem nadejdzie poczta.

— Jak tam z nogą? Lepiej? No, to sobie naprawdę potańczymy w Saint-Jean!

Tak się zagaja rozmowę z chorym. Wpadli w styl chrześnej matki i zaraz im się obydwójgu niejasno w myślach pokazała.

Z nogą było wyraźnie lepiej, gorączka spadła. Najgorsze minęło. Tylko dobry humor jakoś Janowi nie wracał. Nie przygadywał parze emerytów, maczających w kawie kawały chleba grubo smarowane topniejącym w oczach masłem. Nie wypytywał Picasa z Nîmes, co jej się śniło — ona miewała sny burzliwe, podświadomie kompensujące jej staropanieństwo, z których zawsze była ogólna uciecha. Nie ostrzegał jej, że jak jeszcze raz „schrupie” wieżę Cezara, on napisze do Zabytków Historycznych, bo nic z tych biednych ruin nie zostanie. Za to z miejsca i jakoś nieswoim, srogim głosem zapytał ich, ile litrów wpisano dziś do książeczki w mleczarni.

Oddali mu tę książeczkę, pobazgraną, wymiętą, przepoconą. Nałożył okulary — pierwszy raz zobaczyli Jana w okularach na nosie, czytającego — i długo studiował cyfry i daty.

— Jutro pojedę sam — oświadczył, wręczając książeczkę czujnej jak sekretarka Marii.

— Ależ skąd! Ale po co? Czyżbyśmy coś źle załatwili? Jeżeli już, to pojedziemy razem, samochodem. Dla nas to nawet przyjemność. Rozrywka. A samemu tłuc się na motorku, na to z pewnością nie pozwolimy! Pojutrze, no to się zobaczy...

Maria potwierdziła wzrokiem, więc Jan nic już nie miał do gadania. Zawsze tak było. On mówił, ona milczała. Decydowała zawartość jej milczenia.

Emeryci, szurając kapciami, zgarniając poły szlafroków, wrócili do swego pokoju na trawienie. Picasso z Nîmes nałożył słomiany kapelusz na głowę, zebrał przybory malarskie. Po chwili zobaczyli grzyba, wolno sunącego zakosami ku wieży Cezara. Jednak! Muszla na murku pozornie milczała. Szalało wciąż chyba to samo, gdzieś tu zadomowione cykadło. Cykał dostojnie zegar z zaciemnionej po wojennemu w obronie przed słońcem jadalni. Maria zmywała i pewno już szykowała obiad.

Jan zwiesił siwą głowę i nie odzywał się. Jan, któremu brak słów, brak ochoty do mówienia? Co to znaczy? Co się pod tym kryje?

— A jak z domem? Tym pod cedrami? — zagaili.

Odchrząknął, przełknął coś, nim odpowiedział. Musiało być gorzkie.

— Sprzedany. Nikt mnie nie uprzedził. Dowiedziałem się, gdy było po wszystkim.

— Nie dopilnowałem... — dodał. — Ale to naprawdę nie moja wina.

— Ale komu? Kto to kupił?

Wzruszył ramionami. Też nie wiedział. Komuś obcemu. Miastowemu.

— Mają tam wszystko poprzerabiać. Jacyś bogacze. Zrobią basen, no, pływalnię. Podprowadzą drogę pod sam dom, wysadzą skały. Wycinają pod tę drogę drzewa.

— Przecież nie cedry?

— No, cedrów chyba nie. Nie stoją na drodze. Zresztą, kto ich tam wie?

Cedry zagrożone? A przecież powiedziano nie tylko: nie zabijaj, ale i nie niszcz bez potrzeby, nie gwałć natury. Cedry są żywe. To byłoby zabójstwo. Gdyby Mesjasz objawił się w momencie, gdy ktoś sadił te drzewa, Mesjasz musiałby poczekać. Ważna rzecz, sadić drzewo, czy grzebać zmarłego. W takich wypadkach Mesjasze czekają aż człowiek skończy co zaczął i Syn Boży ani od grabarza, ani od ogrodnika nie wymaga odłożenia na bok łopaty. A tu je ścinają! Więc ktoś ich ubiegł, ubiegły ich czyjeś pieniądze. Grubsze niż ich, pożal się Boże, oszczędności, niż modą wybujała wartość mieszkania w Marais. W głębi ducha nigdy nie dowierzali, że trzy cedry, odrostki gdzieś może kiedyś z jakiegoś Libanu, z którejś wyprawy krzyżowej przemyconych w skrzyni protoplastów, że ten dom może naprawdę stać się ich. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Ale żeby taki Jan o niczym nie wiedział, żeby taka transakcja mogła odbyć się zupełnie poza jego plecami? Przecież w to musiał być wtajemniczony i notariusz miejscowy, przede wszystkim, i mer, i pastor, wszystko niedzielni goście! Przecież ktoś musiał tu przedtem przyjechać na oględziny, jeśli nie ów jakiś milioner to jego sekretarz, plenipotent, choć raz rzuca się choćby wynajętym okiem na to, w co się wkłada pieniądze! Przecież tutaj wszyscy wszystko wiedzieli o wszystkich! Lada koza, lada krowa, przechodząc z rąk do rąk, stanowiła przedmiot rozważań, tutaj pod winoroślą, czy w kafejce, albo pod platanami, na placyku przed niedalekim zbozem. Między grobami.

I nagle Jan nic nie wie! Nie wiedział nic! Nikt mu niczego



nie zasygnalizował? Dlaczego? Wszyscy tu wiedzieli, że oni na ten dom ewentualnie reflektują! Czyżby łączyło się to jakoś z owymi mlecznymi intrygami, o których napomknęła Maria? Zazdrością złych — którzy są źli? — sąsiadów? A może tacy bogacze kupują zdalnie, na niewidziane, inwestują, jedna posiadłość więcej, jedna mniej, cóż to dla nich znaczy? I wszystko odbyło się na odległość, w stolicy, przez korespondencję albo i przez telefon?

To jednak nie jest możliwe. Chyba nie jest tak, żeby ktoś nie wiem jak bogaty nie musiał podpisać aktu kupna u notariusza. W każdym razie notariusz musiał wiedzieć. Więc?

Jan milczał. Coś w nim burzyło się, coś szumiało mu w głowie, jak w muszli. I najwyraźniej ich problem, znalezienie tutaj domu, problem którego ważność i pilność rok temu tak sercem doceniał i jeszcze ich do pośpiechu nakłaniał, bo co rok to drożej, co więcej, zeszłoroczna obietnica, dane własnowolnie słowo, to wszystko zeszło na dalszy plan. Miał większe kłopoty.

Poczuli się odsunięci. Oni jednak uczestniczyli w jego kłopotach z nogą, z dostawą mleka, przypilnowali książeczki, chcieli umyć bańki.

Co się tutaj stało? Co się dzieje? Co Jan i Maria przed nimi skrywają? Jakie ich gryzą robaki?

Motorcycl listonosza zaburczał. Nadstawili uszu. Minie skałę, czy się pod skałą zatrzyma? Jan także najwyraźniej zastygł w oczekiwaniu, tak samo Maria. Położyła mu nawet rękę na ramieniu, jak gdyby z góry przed czymś go chroniąc, przypominając, że ona stoi przy nim. Nigdy dotąd na żadną pocztę nie liczyli i nigdy Maria nie pozwalała sobie na podobne gesty małżeńskiej poufałości.

Motor za skałą zgasł. We trójkę czekali, gdyż Maria, tak jak przed chwilą wyfrunęła z kuchni, tak wybiegła listonoszowi naprzeciw. I już znowu była przy nich, trzymając parę kopert w rękę, przez fartuch, bo miała ręce brudne od obierania jarzyn.

Dla nich tylko gazety i jakieś nieważne, niepotrzebnie adresowane przez pocztę druczki reklamowe. Za to do Jana był list. List do Jana! W niebieskiej, urzędowej kopercie. Podatki? Obracał to w palcach, nie otwierając. Wyraźnie czekał, i Maria też z nożykiem w rękę wyraźnie czekała, żeby sobie poszli. Dopiero wtedy ta niebieska koperta zostanie otwarta.

Pewnie otworzy ją Jan. A Maria głośno przeczyta. Okulary czy nie okulary, Jan miał z czytaniem niejakie trudności, jak to stwierdzili przy kontroli mlecznych zapisów.

Coś im wzbronilo rozrywać gazetowe opaski, zaraz tutaj rzu-

cać okiem na tytuły, jak by to normalnie zrobili. To samo z prospektami. Jeden z nich, bez zaglądania do koperty, rozpoznali. Była to natrętna reklama budowanych wzdłuż wybrzeża osiedli „ze stopami w morzu”. Tysiące klatek króliczych spiętrzonych po egipsku. Za bezcen. Na raty. Z ułatwieniem długoterminowych pożyczek. Tylko iść i zamówić, pokazać palcem na planie, która klatka, mniej czy więcej „komfortowa”, o jakim metrażu. Na to byłoby ich stać. W tej chwili. To by na pewno można załatwić telefonicznie...

Nie. W czymś takim nie będą dożywali do śmierci, potrójnie. Jeszcze nie jest tak pilnie, tak przybramkowo. Konik umarł, ale Konikowa, chwala Bogu, żyje. No i nad morzem? Przy plaży rojącej się od innych dzieci? Przy cienkich jak papier nie murach ale przepierzeniach, gdzie każde słowo, każde westchnienie słyszy nie jeden, lecz sześciu sąsiadów, przez podłogę, przez sufit i przez cztery ściany? A cóż dopiero krzyk?

Dom pod trzema cedrami przepadł. Trudno. Ale czy to mało domów do sprzedania, do kupienia w tych stronach? Wakacje ledwo się zaczęły. Za parę dni Jan całkiem wydobrzeje, więc i humor mu wróci. W ostateczności i bez Jana dadzą sobie radę. Jest notariusz w miasteczku. Jest pastor, jest mer. Nauczyciel. Sąsiedzi. Wszyscy znani z niedzielnych niesporów pod winoroślą, przy niekrzywdzącym winie. Popytają, pojeżdżą, pochodzą. Pooglądają. Podsumują. Wedle stawu grobla, żeby nie było jak z katedrą w Beauvais. Ten dom pod trzema cedrami nie był na ich miarę. Znajdą coś, na miarę, choćby przez jakąś agencję. Albo z ogłoszenia.

Wyszli, wypraszeni milczeniem tych dwojga, obracaniem w Janowych palcach nieotwieranej, póki są, niebieskiej koperty. Po raz pierwszy, tutaj, w roli niepożądanych świadków.

Jedna była na to rada: wsiąść do samochodu wtulonego w cień skały i pojechać, gdziekolwiek. Odjechać. Bardziej radykalna dyskrekcja niż wyjść. Niechże Jan z Marią mają gwarancję, że żadne z nich nie zawróci na werandę po coś tam zapomnianego i nie przeszkodzi im w lekturze. Do obiadu trzy, cztery godziny. Masa czasu.

A że on nieogolony? Głupstwo. Nie chciało im się nawet wstępować do pokoju, ślać łóżka, myć rąk. Odjechali tak, jak stali, właściwie przepędzeni.

Gdyby tak można lotem ptaka, wprost, wszędzie tu byłoby do wszędzie blisko, tuż. Drogi musiały się wić serpentynowo, wznosić szyje ku przełęczom, aby się zaraz z nich równie serpentynowo ześlizgiwać. Zbaczały, omijały zbyt nieustępliwe fortece.

Znali te drogi, po wielokroć wszystko zjeżdżili i schodzili. Na teraz, na te trzy godziny, nie mieli innego planu ani celu, jak tylko jakoś je zabić. Samochód sam ich prowadził, nadając własne tempo, to zasypywał się i zwalniał, bo pod górę, to z ulgą nabierał równiejszego oddechu. Milczeli, wspólnie przezuwając te wszystkie sprawy.

Trudno by więc im było, nawet z palcem na mapie, odtworzyć później którędy jechali, które drogi zawiodły ich właśnie tutaj. Jakim sposobem znaleźli się nagle na Pustyni? Płaska, aż po najeżony górami horyzont, porosła szarą karłowatością tu-tejszych dębów kolczastych jak jeden ciernisty krzak. Tu niebo pobiełało od skwaru, zaś ziemia spopielała, jak po Sodomie, po Gomorze. Strach byłoby spotkać człowieka, to mógłby być nie człowiek. Zresztą nikogo, na kilometry. Trudno też było się spodziewać, że Bóg przemówi z gorejącego krzaka. Jeżeli już, to Kusiciel, triumfująca Negacja. Któżby mógł, jak nie on, do tego stopnia rozjątrzyć słońce? Bez żadnych szans ucieczki przed okiem Baala? Powietrze drgało, jeszcze chwila, a zaczną im się jawić fatamorgany. Dom pod trzema cedrami? Katedra, która odmówiła niesienia krzyża? Albo też morze, plaża i dzieci?

Nie wolno było przystanąć, to było groźne. Dach samochodu, rozpalona blacha, przyspawiał o zawrót głowy, zanik refleksów, utratę poczucia przestrzeni. Przez osunięte szyby wlewał się suchy ukrop upału. Gdy podnieść je, także dusiło. Droga zbyt wąska, by zawrócić, cierniste przy niej zasieki nie pozwalały na żaden manewr. Pozwalali samochodowi jechać dalej w narkotycznym śnie. Też jakby się zataczał. Gdyby skończyła się teraz benzyna w baku, albo pękła opona, albo w motorze coś nawaliło, mogliby tu marnie i głupio zginąć jak na jakiejś Saharze, od porażenia słonecznego. Mało kto tędy przejeżdżał, mało kiedy.

Słońce stało już w obiadowym zenicie, najwyższa pora wracać. Znalazł się wreszcie jakiś mały zakos, łysinka pomiędzy krzakami. Mozolnie udało mu się zawrócić. Będą spóźnieni. Już tam się pewno niecierpliwi muszla Jana. A czy pomyślał ktoś, chociażby Picasso, żeby pójść do źródła po wodę? Konali z pragnienia.

Odetchnęli na widok miasteczka, do którego dopiero co dostarczyli mleko. Nareszcie! Jeszcze trzy kilometry. Głupstwo. Już wieża Cezara.

Jak na pierwszą wycieczkę, niezbyt to było wypoczynkowe ani udane. Po obiedzie nikt i nic ich stąd nie wygoni. Odsapną. Raczej w pokoju niż pod figami. Tam też musi dzisiaj prażyć. A pod sam wieczór nareszcie odbędą spacer w stronę przełęczy Merkurego.

Spóźnili się, oczywiście, ale obiad też był spóźniony, rzecz bez precedensu. Jan znikł. Poszedł się położyć. Słusznie. Na stole martwa karafka z martwą wodą. Emeryci już zdążyli wyjść połowę chleba z koszyka. Picasso z Nîmes, czerwony, wachlował się kapeluszem. Maria nie wychodziła z kuchni. Maria spóźniona!

Co tu się dzieje?

— Chcieliby państwo pojechać ze mną na czereśnie? Dawno powinny być zerwane. Ale z tym wszystkim nie składało się...

Maria szepnęła im to na boku, konfidencjonalnie, tak żeby reszta stołowników, zwijających po obiedzie każdy swoją serwetkę w rulonik, wtykający ją w sobie wyznaczone srebrne kółko, nie dosłyszała.

Srebrne kółka na serwetki wniosła w ten dom Maria, jak i serwis, cenny chociaż poźółkły i splekany w drobną siateczkę, jak ich lustro. Resztki jedwabniczej świetności jej rodziny. Jej wypadła, jak co roku, obrączka z winnym gronem, jemu z winnym liściem. Emeryci i Picasso też byli bardzo do swoich przywiązani i mowy nie było by się pomylić albo zamienić. Tak samo na wieczność przydzielone było każdemu miejsce przy w randowym stole.

Propozycja Marii ucieszyła ich i pocieszyła po obiedzie spożytym w nudzie i zmęczeniu, bez ochoty. Nawet bez specjalnego pragnienia na martwą wodę czy na wino. Dziś by krzywdziło. Menu niby normalne, ale brak sałatek, specjalności Jana. To on wybierał jarzyny z ogródka, trudno było o coś świeższego, siekał, krajał, mieszał, przyprawiał i z uciechą układał na półmiskach tak przemyślnie, że plasterki pomidorów i ogórków, sieczka marchwi i kapusty, liście sałaty stanowiły kolorową, martwą naturę na środku stołu i samym swoim widokiem kołty pragnienie, budziły apetyt.

Na początek Maria podała jakąś przypaloną zapiekankę. Ale nawet emeryci coś czuli w powietrzu i nie upominali się o sałatki.

A więc zaraz po sjeście, niech się tylko upań trochę przesili, pojedą. Bardzo lubili te wyprawy. Maria odziedziczyła czereśniowy sad o parę kilometrów stąd. Drzewa kwitły tam i owocowały samopas, ledwo przez Jana dogłądane. Stały tam jeszcze pośród drzew ruiny domu, z roku na rok bardziej zniszczone, obrosłe w kolczugę jeżyn. W samym sercu byłego domu wyrósł spory kasztanowiec, z roku na rok wyżej wysadzając głowę ponad zerwany dach. Wyrósł, i już chorował, połowę młodziutkich konarów tknęła czarna gangrena. Natomiast morwa, tuż obok, w miejscu które ongiś musiało być podwórkiem, olbrzymia, od

dawna nie obdzierana z liści na tuczenie jedwabników, prosperowała i w okresie dojrzewania była bardziej czerwona od czereśni.

Jeśli tyle ruin w okolicy, to właśnie przez pozdzierane dachy. Zrywano je dla oszczędności. Póki dach cały, póty podatki. Więc gdy rodzina zmniejszała się, wymierając czy emigrując, i już nie było komu żyć w zbytecznym domu, zrywano dach, przynajmniej częściowo. Wydane na pastwę zimowym deszczom i wichurom domy, choć kamienne, choć obliczone na pokolenia, starzały się i popadały w ruinę szybciej, niż by to mogli przypuścić ich budowniczowie, tutejszego chowu spadłe z nieba smoki.

Gorszy od deszczów był bluszcz. Najpierw zdradziecko i skromnie przylegał do kamienia litość budzącym pędzikiem, potem zapuszczał wąsy w byle szparę, z tego grubały już nie łądyżki, nie łądygi lecz pnie, dębowe, wężowo poskręcane, triumfujące, twardsze od kamienia i wreszcie rozszczepiały mury domów, tak jak były zdolne rozszczepiać opoki. Jeżyny panoszyły się dzikim chaosem, bez różnicy, w domu czy przed domem.

W jeżynowo-bluszczowych chaszczach można było znaleźć istne skarby. — Szukaj! Szukaj! — zachęcała go, jak myśliwskiego psa. Miał oko, nie uszła mu żadna utajona skorupka czy zardzewiały klucz do nie wiadomo jakich, dawno pewnie zgniłych drzwi.

Oprócz klucza znalazł kiedyś dziurkowaną patelnię, na której prażono kasztany, tutejszy ongiś chleb, tutejsze kartofle. Razem z kluczykiem dalej spokojnie rdzewiejącym, gdyż nie była panią Durand i nie gwałciła biegu spraw żadnym anachronicznym polerowaniem, patelnia wisiała teraz w ich miejskiej kuchni, fetyszystyczna starożytność. Bardziej podniecające, coś takiego samemu znaleźć, niż kupić. Innym znowu razem dosłownie spod jej stóp, gdy już, już miała na to nastąpić i zniszczyć, ocalił coś w rodzaju ampułki. To było bardziej antyczne od durszlakowatej patelni i od klucza, od zegara Janów, od czegokolwiek tutaj, poza muzeami. Starsze od wieży Cezara, najwyżej gotyckiej.

To była łązawnica. Do niej zbierało się łązy zawodowych płaczków na gallo-romańskich pogrzebach. Gdyby nie krzyknął: uważaj! — wdeptałaby ją w ziemię i rozgniotła. Właśnie ona! Ileż stóp musiało niechęć przez ile wieków to szkiełko oszczędzać!

Łzawnica wydawała się pusta, wyparował zawarty w niej płacz. Dość miał na to czasu. Albo przybrał niewidzialność spraw przebolałych, zapomnianych.

Tutejsi, świeższej daty autochtoni, raczej nie płakali. Nie wynajmowali obcych kobiet na pogrzeby, żeby rozdrapywały sobie twarze, lamentowały i dodawały śmierci patosu. Grzebali swoich w milczeniu, z naturalnością, z godnością, bez pompacyjnych ceremonii, pod progiem domu, gdzie żyli. Nie obawiali się upiórów. Zresztą przywalali ich kamieniem.

W czeresniowym sadzie Marii też było parę takich nagrobkowych płyt, zapadłych w ziemię, strawionych jeżynami i bluszczem. Nie sposób było dojść jakie z nich zmyło litery. Przekopanie, po mieczu czy po kądzieli, Maria nic już o nich nie wiedziała, to był odległy, boczny spadek. Nie wiedziała kto założył sad, posadził morwę i kto pierwszy, po czyjej śmierci, zerwał dach z domu.

Skoro trzy cedry przepadły, może by tak sprzedała im te ruiny, ten sad? Na chwilę uśmiechnęła się do nich taka myśl: sad biały na wiosnę, czerwony u progu lata, cisza, spokój, odosobnienie. Można żyć i można umierać.

Ale nie. Po pierwsze, nie odosobnienie już, tylko odludzie. Droga dawno zarosła, samochód trzeba było zostawiać spory kawałek stąd i dalej przedzierać się pieszo. Nie są milionerami, żeby doprowadzać sobie drogę pod próg. Ani wody, ani elektryczności, ani mowy o telefonii, iluż by tu trzeba słupów, ile kilometrów rur i linii, żeby mieć to wszystko, tak konieczne w ich wypadku? Żeby żyć, jakoś dożyć do śmierci. No a dach? Ten dom trzeba by właściwie na nowo postawić. Nawet gdyby Maria policzyła im tanio, przekroczyłyby to ich możliwości i siły. I po co, dla kogo? Wnuków i tak mieć nie będą. No a doktor, jak stąd do doktora? Samotnie są dla zdrowych.

Gdyby mieli aż tak pustelniczne powołanie, czemu by sobie nie wystawić domu w rozpalonym sercu którejś z Causse? Jak ta, do której rankiem ich skusiło?

Może jednak przy czeresniobranii Maria coś im powie. O niebieskiej, urzędowej kopercie. O intrygach zazdrośników, złych sąsiadów. A także o innej jakiejś, poza niedopilnowanymi przez Jana cedrami, okazji czy możliwości w okolicy? Skoro urządziła tak, by jechać tylko z nimi, w sekrecie przed Picassem i przed emerytami, których zwykle zabierało się do sadu i którzy na pewno się obrażą? Miała w tym jakiś cel.

Popołudnie i wieczór zapowiadały się więc ciekawie, chociaż znowu będą musieli odłożyć otwierający zazwyczaj wakacje spacer w stronę przełęczycy Mercou. To nic, to na jutro. Jutro rano.

Nareszcie ogolony, odświeżony, położył się koło niej w prążkowanym cieniu. Zachręściły prześcieradła, jak papier, jak list.

— Bylebyśmy nie zaspali... Ten wypad był jednak strasznie męczący...

— Nie, Maria zapuka. Ona ma tylko pozmywać, przygotować kosze i jedziemy.

Nietypowe było jechać na czereśnie po południu. Owoce, jak kwiaty, należy zbierać rankiem. Przegrzane słońcem źle się konserwują. No, ale z nogą Jana i — jak Maria określiła — „z tym wszystkim” zrobił się gwałt na czereśnie, choć drzewa były z gatunku późno owocujących. Nagłe, tegoroczne upały przyspieszyły ich dojrzewanie z dnia na dzień i Maria boi się, że zbiór przypadnie do tego stopnia, że woli nie odkładać tego nawet do jutra rana.

Co kryło w sobie „to wszystko”? Senni, ale nie śpiący, leżeli przemyśliwując. O tutejszym „tym wszystkim”, niezrozumiałych poszlakach czegoś niedobrego. I o własnym „tym wszystkim”, czekającym na nich i w domu i u Konikowej.

Z tym także inaczej, od samego początku, niż zwykle. Nie wakacyjnie. Zazwyczaj „to wszystko” odpadało od nich, syta krwi pijawka, już gdy wsiadali do samochodu, już Pomiedzy. A w każdym razie na pewno w momencie gdy skręcali za skałę. Zamykała się na czterotygodniowe spusty skrytka pamięci. „To wszystko” nie kładło się z nimi, pomiędzy nich, jak teraz, do łóżka Janów.

Nigdy na przykład nie wyczekiwali listonosza zaraz od pierwszego dnia. To nie miało sensu, ani wczoraj, ani dziś. Jutro, najwcześniej jutro, a raczej dopiero pojutrze, może wrócić do nich zaadresowana jej ręką koperta z już przyklejonym dla pewności znaczkiem, która miała ułatwić Konikowej całą rzecz i niejako zmusić ją do możliwie rychłej odpowiedzi. Zaś w tej kopercie parę zdań, koszlawo skreślonych, nieortograficznie, na pół tylko po francusku, gdyż Konikowa była na pół analfabatką. Konik chyba także, coś jak Jan, ale nigdy nie mieli okazji stwierdzić jak i czy piszą. Dziś rano po raz pierwszy zobaczyli, jak mozolnie przychodzi czytanie Janowi. I jak mu z okularami nie do twarzy. Dziwnie.

Za to madame Konik rachunki za małego wystawiała kulfo-

nowate, ale szczegółowe i zgadzające się co do franka. Liczyć umiała bezbłędnie.

Nie, nie wolno im uprzedzać się do niej. Teraz mniej niż kiedykolwiek mogą sobie na to pozwolić. Jeszcze nie. Jak by wyglądało ich jutro bez Konikowej? Trudno wymagać aby ktoś hodowlę takich dzieci traktował bezinteresownie. I jednak, to trzeba przyznać sprawiedliwie, pomysł takiej specjalizacji zrodził się w niej nie tylko dla zarobku, ale i dla zaspokojenia niewyżytej macierzyńskości. Była typem rodzicielki, nie jedną córkę powinną była wydać na świat, ale ze dwanaście. Piersi jej były stworzone do karmienia, ręce do przewijania i do rozdzielania klapsów. Dzieciom było u niej dobrze, z pewnością lepiej niż u rodziców, a już z całą pewnością lepiej niż w najbardziej luksusowych, prywatnych zakładach. Nie rozczulała się nad nimi, nie poczuwała się do winy za wady w ich fabrykacji. Sami byli przez lata świadkami, jak niektóre z nich normalniały u niej, dzięki niej, na tyle, na ile normalnienie było dla nich dostępne.

Ich małemu żadna madame Konik na świecie nie mogła pomóc do najmniejszego znormalnienia. A przecież i on wydawał się jakoś pozytywnie reagować na jej energiczną obecność, na pewność jej gestów, na regularność kładzenia spać, karmienia, wysadzania na krzeselko. Nie czytając żadnych książek, bez jakiegokolwiek fachowego przeszkolenia, sama z siebie wiedziała jak należy postępować z kimś takim jak on, z kimś kto przestał być kimś i już nigdy kimś się nie stanie.

Madame Konik była ich płatną Opatrznością.

Czemu więc teraz tak niechętnie i z takim niepokojem o niej oboje przemyślują? Czemu tak ich nagli do nabycia domu tutaj? Co znaczy ten bardziej niż dotąd naciskający mus przygotowania się na jakąś niejasną, złą ewentualność? Złą wiadomość? Odkąd? Od śmierci Konika? Tak, chyba od jego śmierci. Ale przecież dla ich małego ten brak niczego zasadniczego nie zmienił. Tyle, że już nie asystował przy niczyjej ciесielce. Może nigdy nie wiedział, że asystuje, a w każdym razie nie wiedział czemu, komu asystuje.

Brak Konika bardziej musiały odczuć psy. One z pewnością go pamiętają, obwąchują warsztat i narzędzia.

Nic tam się właściwie tak bardzo nie zmieniło. W polu może tak, ale nie w domu. I nagle, koło siebie sjestowo polegając, uprzytomnili sobie, że w tamtym domu Konika tak jakby nigdy nie było. Niedzielami zastawali go albo przy warsztacie, albo nad rzeką. Czy w polu, gdy piliło z jakąś sezonową robotą. Nigdy w domu, nigdy w jego centrum, znaczy w kuchni. Nigdy



madame Konik nie postawiła na stole czterech szklanek, nie przywołała męża do towarzystwa, nawet gdy akurat przechodził pod oknem. Niby że on nie pije. Nawet jabłecznika.

Za to teraz, na stole albo na kredensie, przez zmarłego zresztą zmaistrowanym, zawsze stał dodatkowy kieliszek i butelka calvadosu. Dla sąsiada. I choć rzadko przy nich był obecny, kuchnia Konikowej przesiąkała papierosowym dymem. Konik nie palił.

Skoro według środowego, telefonicznego komunikatu Konikowej małemu spadła gorączka, powinien by być do tej pory całkiem wyzdrowieć. Może jeszcze jest trochę osłabiony, grypa osłabia, no i antybiotyki. Ale miał silny organizm. Jego ciało stworzone było do zdrowia, do fizycznej radości. Do miłości, gdy dojrzeje. Będzie z niego piękny mężczyzna. Od niemowlęctwa był mocny, muskularny. A potem, w napadach agresywności, jeszcze zanim przyjęli do wiadomości czego są symptomem, nawet ojcu trudno było przytrzymać go, wierzgającego, wyrrywającego się, i musiał używać sportowych chwytów, żeby matka mogła nareszcie wmusić w małego uspokajającą pigułkę. Gdy poskutkowała, bezwładne, dziecinne jeszcze ciało ważyło tony. We dwójkę nieśli je do łóżka.

Madame Konik miała krzepę wiejskiej baby, chwytły zawodowej pielęgniarki z domu wariatów, łatwiej jej to jakoś, zrzętniej wychodziło. No i jej rąk nie paraliżowała przerażona miłość. Zarzucała sobie chłopca po prostu na plecy, jak wór mąki, i już. Zresztą, według jej relacji, ataki chwytaly małego coraz rzadziej. W ich obecności, niedzielami, właściwie już od dawna wcale nie. Był nieobecny, ale był spokojny.

Kojący wpływ Konikowej? Czy większe dawki proszków w niedziele?

Jak to będzie, gdy znajdą tu dom, gdy tutaj, za parę lat, we trójkę osiądą? Wszystkim trojgu przybędzie lat. Zapowiadało się, że mały przerośnie ojca. Jemu z latami przybędzie, im z latami ubędzie sił. Jak się zorganizują? Czy nie lepiej, nie rozsądniej byłoby zostawić go u Konikowej na zawsze? I może raczej za drugą madame Konik zacząć się rozglądać, a nie za domem? Na wszelki wypadek...

Tak, ale... Przybywające, ubywające lata znaczyły przybliżanie się nie tylko starości, ale i śmierci. Logicznie byli pierwsi w kolejce. Rodzice na ogół żyją krócej od swych dzieci. Wykluczili, z góry to wykluczili, żeby syna samego zostawić na tym, na takim świecie. Nawet zabezpieczonego materialnie, fizycznie. Opłaconego na nie wiadomo ile sądzonych mu lat z góry. Właśnie, na ile lat z góry i kogo z góry trzeba by

opłacić? Ten ktoś także nie będzie wieczny. Nikt nie jest wieczny. Może się zmęczyć, na pewno się zestarzeje. Albo mu się znudzi, przestanie opłacać. I poda małego w inne, już nie przez nich wybrane, nie dopilnowywane ręce.

No, a jeśli coś nagłego wypadnie? Chociażby wojna...

Śmieszne, martwić się o wojny, które mogą wybuchnąć po naszej śmierci. Ale wiadomo, co się dzieje z takimi dziećmi w czasie wojen. Ostatnia pokazała. A jaka będzie następna? Lepsza?

Wielka bezradność sprawiła, że znowu poszukali ucieczki jedno u drugiego, jedno w drugim. Przenikające się ciała dopełniały wspólnoty myśli, wspólnoty trosk. Byli jedną troską, jednym ciałem w dwu osobach, jak syjamska figa w ogródku, wyrosła z dwojga ziaren, ale rodząca wspólny owoc, wspólny rzucająca cień.

I właśnie Maria zapukała do drzwi.

Kosze na czereśnie już stały koło ich samochodu, wyścielone liśćmi figi. Znowu bagażnik nie chciał się domknąć, lecz ich wiklinowe pałaki amortyzowały brzęk podskakującej pokrywy, nie odszczekiwały się brzękliwie, jak bańki z mlekiem. Mimo cienia skały, siedzenia samochodu parzyły, jeszcze w nich trwało piekło pustynnej wycieczki. Ale słońce już zsunęło się z zenitu. Zaraz się ochłodzi.

Było im trochę niewyraźnie. Czy Maria aby czegoś nie dośłyszała? A teraz, czy po nich czegoś nie widać? Siadła na tylnym siedzeniu z jeszcze jednym koszem koło siebie, z drugim, mniejszym na kolanach i było, jakby z nimi jechał czujny ptak.

Nie byli spokojni. Nie z powodu niefortunnego zapukania do drzwi. Wzajemna ucieczka w głąb siebie pomagała tylko na trochę i tylko do pewnego stopnia. Nawet gdy się kochali, pomiędzy nimi leżał miecz.

Nigdy nie było i nie będzie z nimi, pomiędzy nimi, tak jak na początku. Wtedy nie byli tego świadomi, nie od razu, ale przecież już wtedy, pragnąc siebie nawzajem, równolegle pragnęli kogoś innego. Było w tym wspólne wyjście poza siebie, jakieś: „stań się” — akt stworzenia. Pełny akt miłości. Byli bogami. Bogiem w dwu osobach, który kochał, więc pragnął kogoś na swoje podobieństwo.

I zaraz potem, zaraz od upadku małego, pożałowali i przestraszyli się, jak i On pożałował. I tak jak On, od tamtej pory, nie chcieli już nikogo więcej powoływać do życia. Jak On, nie

od razu, nie od owego zmięzchu na granicy szóstego i siódmego dnia, gdy taki dobry kawał zrobił czterem spierającym się Aniołom i — aby mogła się zrealizować Miłość i Sprawiedliwość — pogwałcił Pokój i Prawdę. „Adam już jest!” — powiedział, gdy wciąż żadna anielska większość głosów nie zapadła. I Adam był, i bardzo z tego syna Ojciec był zadowolony. Zapomniał — czy Bóg może zapomnieć? — że Miłość ma swoje drugie oblicze, które zwie się Nienawiść i jest nienawiścią, że Sprawiedliwość ma swoje drugie oblicze, które zwie się niesprawiedliwość i jest niesprawiedliwością, zaś dwa inne Anioły, nieprzychylnie stworzeniu Adama, Prawda i Pokój, także mają w sobie załączki kłamstwa i wojny. Inaczej nie byłyby pełnymi Aniołami. A także zapomniał, że na samym początku stworzył dni, czyli stworzył czas, wroga ludzi, jeśli nie wroga Aniołów. Tym samym słowem: stań się! Dopiero co cieszył się, powtórzył ile? siedem czy dziesięć razy: dobre jest, com stworzył, światło więc ciemność, ziemię więc niebo, rośliny, ryby i zwierzęta. Ale Adam? Korona stworzenia? Czy naprawdę powinien być stworzony? Ostatnie to stworzenie, niemożliwe, nie dające się niczym usprawiedliwić poza niecierpliwością miłości, głuchej na przestrogi Aniołów. Gdy zastanawiały się, czy ma być, już był. „Adam jest!”.

Pożałowawszy słowa-aktu, rozgniewał się na to, co sam z niczego ulepił — kto kocha, ten i gniewa się i nienawidzi — wygnał więc nieudanego Adama, własne przecież podobieństwo, za bramy Raju. Który z Aniołów stanął przy wrotach z mieczem ognistym? Anioł Sprawiedliwości, z pewnością. Czyli niesprawiedliwość. Dopiero co głosował za stworzeniem człowieka, gdyż bez człowieka nie byłby w pełni, w koniecznych do anielskiej pełni sprzecznościach zrealizowany. Dopiero co, na styku szóstego i siódmego dnia, głosował „za”! A teraz staje zbrojny przeciw. Wygnał, z satysfakcją, i więcej nie wpuści! Pierwszy ale nie ostatni deputowany, który zmienia obóz. Anioł stróż.

Po jednej stronie granicy lwy i baranki pasące się pospołu, Bóg, składający pierwszej parze ojcowsko rozczulone wizyty. Czas, tak, ale jeszcze pod postacią wieczności. Oraz drzewo Wiadomości Dobrego i Złego, niestety, a na jego konarach opleciony bluszcz, Kusiciel. Jeden gest, jeden owoc, jeden krzyk ekstazy, może za bardzo konkurencyjnej, i skazanie na deportację. Exodus. Zapadły się rajskie szlabany. Sprawiedliwie? Niesprawiedliwie? To jest przecież to samo, jak w lustrze, w którym lewica staje się prawicą i sama siebie przedrzeźnia. Zaś po drugiej stronie drutów kolczastych co? Męki rodzenia, praca w pocie czoła, starzenie się i śmierć. Czyli znowu Nic? Czy znowu

Coś? A jeśli Coś i Nic jest, jak i było, przed pierwszym Dniem, przed pierwszym Słowem — to samo?

Boży gniew na Samego Siebie nie był jednorazowy. Jak to bywa ze zdradzonymi ojcami, znowu kochał i znowu nienawidził. Przyciągał i odpychał. Dawał i odbierał Łaskę. Rehabilitował i nakazywał stawać przed Sądem, za co innego, za to samo. Zesłał potop. Zsyłał potopy. Wojny. Pomory. Głód. Ziemia potrząsała grzbietem, by strząsnąć z siebie poronione plemię. Do dziś jej brzuch bulgocze ogniem Bożego gniewu.

Zresztą jak było naprawdę z wężem-kusicielem? Być może wcale nie oplatał konarów drzewa Wiadomości Dobrego i Złego, namawiając Ewę (więc mówił? Kto mu dał władzę słowa?) by skosztowała zakazanego owocu. On był w tym owocu zawarty. W pierwszym jabłku, w pierwszym kęsie był ukryty robak, toczył je od środka. Od Pierwszego Dnia. Aby zniszczyć zło, należałoby zniszczyć świat. Zabić życie. Nawrócić do pierwotnego Chaosu.

I zacząć od Początku? Z niczego? Wydobyć z siebie nowy krzyk: stań się? Co na to Anioły?

Nie, nigdy więcej!

Jednak Bóg był w lepszej sytuacji niż oni. Pomylił się, pożałował, tak. Karał. Ale od gniewu do gniewu, od bicia do bicia, rozwieszał tęcze po każdym potopie, delegował gołębicę z oliwną gałązką w dziobie. Wybaczał ludziom i życiu. Czyli wybaczal Sobie. Bóg miał nadzieję (Nadzieja: imię piątego Anioła?). Dawał — bo miał moc dawać — szansę. Zalewane lawą stoki stanowiły tym bardziej urodzajną glebę, potopy naniosiły żyzny muł. Wypchnięte w tektonicznej złości z łona mórz góry, kruszone mrozem, zmywane deszczem, porastały tym bujniejszą zielenią.

Tutejsze strony stanowiły rodzaj makiety Bożych kolejnych gniewów. Nie trzeba być uczonym geologiem, żeby na oko rozróżnić wypchnięte gwałtem morskie dna, pogruchotane w kosmicznej kraksie masywy, piekiel wewnętrznych sięgające szczeliny, podziemne królestwa grot i labiryntów. Nie całkiem jeszcze strawiona sól sprawiała, że niektóre *ci-devant* morskie dna, wyschłe od tysiącleci zalewy, nie zdążyły jeszcze przejść poza etap pustyni i na początek zarastały mineralną zielenią karłowatych dębów.

Można to było śledzić choćby po kolorach. Miejscami roślinność była blond. Liście wypływały z zieleni, tak jak włosy płowieją latem, na plaży, przeżarte nie tylko słońcem ale i solą.

Albo raczej jak chemicznie platynięją brunetki po seansie u fryzjera, gdy akurat platynowość w modzie.

Platynowość zieleni, tutaj, była znakiem nie mody, przemijającej także i w botanicznym świecie, ale znakiem nie całkiem jeszcze odbytej kwarantanny, nie całkowitego przebaczenia.

Jedynie na głowach dziecięcych ów kolor blond, aż srebrny, aż sztuczny, właśnie platynowy, mineralny, nie był martwym kolorem. Przeciwnie, był to kolor blond życia, lata, miłości. Dzieci o rozbielonym przez słońce i sól puchu na głowie wychodziły z morza, samo życie i sama nadzieja. Życie wyszło z morza.

Na ten widok zapragnęli kiedyś życia. Żeby wyszło z ich łona. Miłość i nadzieja. Śmiertelna para.

Z tak rozbielonymi na platynę włosami ich mały Adam wracał znad morza. Przedtem. Dopiero pod jesień zaczynały mu ciemnieć, z platyny blond przechodziły w złoto blond. W blond pszenicy. Teraz były wciąż jasne, ale już nigdy takie. U madame Konik i w najpogodniejsze lata, chociaż krzeselko z nim wystawiała podobno co dzień na dwór, choć się zdrowo opalał, słońce nie miało tej chemicznej, fryzjerskiej mocy. No i brak było szczypty morskiej soli dla dopełniania efektu.

Do czereśniowego sadu Marii nie było daleko. Mówiło się: sad Marii. Sztućce i obrączki serwetkowe Marii. Co jeszcze? Co wniosła w dom wdowca? Dom za skałą nie był jej.

A przecież jak sobie wyobrazić ten dom bez Marii, przed Marią? No a ów zegar sewenolski, antykwaryczny, jakoś bez przydziału? Nikt nie mówił: zegar Jana, ani: zegar Marii. Czy stał i wahał się w ciemnej jadalni, latem prawie nieużywanej, już wtedy gdy krzątała się tutaj jej poprzedniczka? Chyba nie. Ale nie wypadało wypytywać się o każdą rzecz. Sad, wiadomo, o sztuccach i obrączkach jak się raz zgadało, tak przyszło. Ale zegar, czy był w domu za skałą już wtedy i czy to on wybił ostatnią godzinę pierwszej żonie Jana, gdy biegła drogą ku przelęczcy?

Pamiętkowa tablica na murze obórki była jak nowa, choć już sporo lat zdążyło po niej spływać. Ani źdźbła mchu w żłobkach liter, imię, nazwisko, panięskie też, data urodzenia, data śmierci, wszystko było świeże i czytelne. Czy dlatego, że była uroczyście marmurowa, nie nagrobkowo kamienna? Czy też ktoś czyścił ją i dbał o nią po każdej zimie, każdej wiosny odrywając kiełki podstępnego bluszczu?

Kim była? Czy kimś takim jak Maria, z lepszej choć upadłej rodziny? Czy kimś prostym, zwykłym, jak Jan?

Prostym, tak. Ale zwykłym, nie. Tutejsi bywali prości, zwykłych ziemia tu nie rodziła.

Oprócz kiedyś, za pierwszego ich tutaj pobytu, zwyciężych objaśnień co się stało, jak się stało — o czym zresztą informował sam napis na marmurowej tablicy — nigdy nie było mowy o zabitej. Mimo woli wyobrażali ją sobie jako rodzaj Marii. Maria numer jeden, młodsze bo dawniejsze jej wcielenie. To Maria, teraz za nimi z koszykami cicho siedząca, wybiegała z domu za skałą lekkim, ptasim lotem i to ją trafiała kula w plecy, grzęznąąc w sercu. Na jej cześć i pamiątkę ufundowana zaraz po wojnie marmurowa tablica, gdzieś tam jej grób, jeśli nie pod syjamskimi figami to na cmentarzyku przy którymś zborze, nic nie przeszkadzało temu, że znowu krzątała się po kuchni, wynosiła na werandę wazę z zupą, półmiski, zmywała, rozwieszała na sznurze prześcieradła. Że uważnie milczała. Cóż z tego, że do gospodarstwa przybyło trochę starej porcelany, srebra? No i sad czereśniowy? To była wciąż Maria, ta sama. Janowa.

Bo nawet tak się złożyło, że obie żony Jana były Marie. To samo imię i to samo nazwisko.

Teraz, przygotowawszy kosze, wysławszy je liśćmi figi, jak należy, jechała oto z nimi bez słowa. Nic o „tym wszystkim”. Widział w lusterku jej twarz o suchym, nobliwym profilu. Patrzyła prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na drogę. Nie musiała pilotować, tę drogę dobrze znali wszyscy troje. Na zakrętach, chociaż samochód brał je rozważnie, przychwytywała zsuwający się obok niej z siedzenia kosz, lekki bo pusty. Nic więcej, taki akurat gest jak trzeba.

Milczała. Myśląc o „tym wszystkim”. Jak oni.

## XVI

Kłęska okazała się większa niż mogli przypuszczać. Czereśnie już dawno powinny były być zebrane. Przejrzałe, porozdziobywane przez ptaki, rozgniatane w palcach, żeby nie wiem jak uważać. I w każdym owocu, gdy na początku z tradycyjnego łakomstwa próbowali sobie podjąć, krył się robak. Były robaczywe.

Przypomniała im się przygoda z pierwszego ich mieszkania, sprzed państwa Durand. Jeden pokój na poddaszu, służacowski.

Widok z okna piękny, na Palais Royal, jego trawniki, fontanny, kolumnadę, z lotu ptaka. Bardzo nawet lubili tę swoją kawalerkę, choć i na dwoje była raczej za ciasna. Stamtąd zaczęli wywiady-wyprawy w poszukiwaniu czegoś większego i na stałe, gdy okazało się, że mały już jest w niej zawarty.

Gdyby była możliwość donajęcia, czy dokupienia choćby drugiego obok pokoiku, nie rusziliby się z miejsca, może do dzisiaj. Nie ze względu na dzielnicę, niezbyt im pasowała, już wtedy zbyt turystyczna, biznesowa. Ale ze względu na sam plac. Żyłoby tam w osobnym świecie, wydzielonym od reszty miasta palisadą o złożonych szpikulcach. Wychylając się ze swego okienka widzieli drzewa, po francusku przyszczyżone, wyrównane, zimą nagie, czarne, latem w peruce liści, dywan trawnika cały rok zielony, nigdy nie pokazujące znużenia pióropusze fontann. Gołębie gruchały gardłowym basem. Wieczorem można było obejść cały plac wkoło, pod kolumnadą, suchą nogą, niechby z nieba lały się potopy. Własne podwórko.

Mieli swoje ławki, to tu, to tam, zależnie od pozycji słońca na niebie i od pory roku, czy chciało im się pogrzać, czy ochłodzić. Przychodziły do nich, ocierając się im o nogi, znajome, cudze koty i nawet nauczyły się rozróżniać gołębie po natężeniu koralowości łapek i tonach piórkowych kryz. Prawie po głosie.

Posągi Palais Royal też stały się jakby prywatną ich własnością. Monumentalny posąg Geniuszu Łacińskiego z rzymską wilczycą szczerzącą zęby w ludzkim uśmiechu, z obwisłymi od klasycznego mleka wymionami. I ten drugi, malutki w porównaniu, kruchy w kształcie, posążek dziewczyny o ledwo zarysowanym biuście, która stanęła w biegu i patrzy, co ją nagle zabiło. Jadowita żmija owinęła jej stopę. Właśnie ukąsiła.

Pod kolumnadą sklepy były starodawne, z tradycjami, głównie filatelistyczne lub heraldyczne, orderowe. Przystawali, podziwiali wnętrza witryn, białe kruki, znaczki na wagę złota, egzotyczne unikatki, medale i odznaczenia wszystkich nacji i wszystkich wojen. O takiej prozie jak piekarz czy rzeźnik mowy nie było, po kawałek chleba należało przedsięwziąć wyprawy poza granice placu. Duży minus mieszkania tutaj.

Ludzie dolnych, „dobrych” pięter, zasiedzieli tu od pokoleń, żyli nie w mieszkaniach a w apartamentach. Jedno z okien wychodzących na plac fascynowało ich. Tam stało przycumowane łóże Colette, ostatnia jej tratwa i stamtąd miał świecić ów „fanal bleu”, niebieskie światełko na rufie odpływającego statku. Gdy jakiś kot otarł im się o nogi, myśleli że a nuż to jest któryś z jej kotów, lub przynajmniej jego krewny.

I właśnie ów służącowski pokój na poddaszu, miły chociażby tylko dlatego, że spędzili w nim pierwsze wspólne dni i noce, zaroił się nagle robakami. Wyłaziło to nie wiadomo skąd, pełzało po ścianach, brzydziło. Właścicielka, godna pani, protekcyjnalna w stosunku do młodej pary, której łaskawie udzieliła schronienia, według niej za darmo, choć i tak pokój stał pusty, gdyż przestało ją być stać na służącą, przychodziła do nich od czasu do czasu kuchennymi schodami, bez zapowiedzenia. Niby z wizytą, a właściwie z inspekcją. I to ona akurat swym spiczastym okiem dostrzegła pierwszego robaka.

— Pluskwa! — wykrzyknęła omdlewającym głosem.

Krzyk wstrętu, ale i oskarżenie. Bo któżby, jeśli nie oni, mógł sprowadzić robactwo do tak szanownego domu?

To nie była pluskwa. To nie była też i nie pluskwa. To było coś, czego w życiu nie widzieli i nie byli w stanie zidentyfikować, a co od owego przez właścicielkę domu przyuważonego protoplasty zaczęło się gwałtownie rozmnażać, czernić ściany i sufit. Nawet nie kąsało. Ale było, przybywało. Oprócz obrzydzenia dręczyło ich jednak poczucie winy. Bo jeśli rzeczywiście oni to skądś przywlekli? Z metra? Z targu? Wszystko możliwe.

Polowali na to, zmiatali, zgarniali co wieczór i co rano. Dezynfekowali. Nic nie pomagało.

I wreszcie któregoś dnia odkryli wylęgarnię złego.

Pod oknem mansardy, w murze, kryła się szafka pełna gratów gospodyni, więc tabu. Nigdy tam nie zaglądali, przez dyskrecję, i właściwie brak ciekawości. I otóż tam, za okupacyjnych kłopotów z aprowizacją, pani lub jej służąca schowały kiedyś worek nabytego gdzieś na wsi ziarna, żeby to przepalić na surogat kawy, czy w razie czego przemleć na mąkę domowym sposobem. Wójenne zboże długo hibernowało w swojej skrytce. I w końcu zaległo się, zamiast zakiełkować.

Gdy rozwiązali worek, roilo się w nim tak, że z opiekuńczą, męską determinacją kazał jej odwrócić się, nie patrzeć, zawiązał to w stare gazety i wyniósł chyłkiem na śmietnik, kuchennymi schodami. Na szczęście nie natknął się ani na gospodynię, ani na konsjerżkę. Nie chcieli mówić o tym, udowodniać pani, że robaki zaległy się w jej zapomnianych, zbytecznych już zapasach, a nie z powodu ich sublokatorskiego niechlujstwa. Grunt że znikły i że przy następnej wizji lokalnej nic już nie łążyło po suficie.

W mieszkaniu państwa Durand żadnych takich przykrych niespodzianek nie było. Babcia, kapłanka podłóg i szaf, utrzymywała wszędzie sakralny porządek. Moła by nie dopuściła. Zaś



w skrytce zaklejonej tapetami odkryli nie worek z robakami, lecz ślubny, schludnie zmumifikowany bukiet.

Tam dopiero byli u siebie. Nie w jednej klitce, lecz w trzech pokojach. Jeden dla gości, jeden dla nich, a jeden dla tego, co w niej zaczynało już się poruszać.

Z zakupami w tej dzielnicy też nie było kłopotu, nie tylko sklepy i sklepiki spożywcze, ale zaraz za rogiem stragany wzdłuż ulicy i nawet prawdziwy targ, hala pod dachem ze szkła i żelaza, dworcowa, gdzie można było nabyć wszystko, od brakującego guzika po mięso i kwiaty. Nie wiedzieli czemu ten targ nosił nazwę „Czerwonych Dzieci”.

Zmiana mieszkania, kontrastowa pod każdym względem, była więc zmianą na korzyść. Noc i dzień. Tam sama klasyka, Wielki Wiek, mieszczański spokój. Jeśli robaki, to ukryte. Tu hałasy, swoboda, miasteczkowo raczej niż miejsko. Żadne znaczki czy orderzy na aksamitnych, pogrzebowych poduszeczkach, tylko żarcie, smakowite, po plebejsku obfite, zaś domy, choć stare, starsze od tamtych, choć dla markiz budowane, zamieszkiwali powróznicy, jak Durand, mali futrzarze, krawcy, praczki, zwierciedlnicy, drobny i kolorowy ludek.

Piętnaście lat temu... Ileż się u nich i koło nich przez ten czas zmieniło. Poznicali powróznicy i zwierciedlnicy, podorabiali się futrzarze i krawcy. Odkrobane do kości domy poza-  
mierały muzealnie. Nawet targ przeszedł mutację. „Czerwone dzieci” zaczęły specjalizować się w najdroższych nowaliach, prezentowanych artystycznie, niczym u Fauchona na placu Madeleine. Uliczne stragany wymierały śladem swoich właścicieli. Samoobsługowce mnożyły swe przerzuty. Trudno, postęp.

W ich kamienicy także prawie wszyscy, współcześni państwu Durand poznicali po kolei. Schody, dawniej przebiegane ooczko z dołu w górę i z góry w dół przez hordy umorusanych bachorów, zrobiły się czyste i ciche. Odmalowane. Była mowa nawet o zainstalowaniu windy. Windy! I już tylko dziewczuszka jugosłowiańskich stróżów podśpiewywała sobie na dnie podwórka, nie mając z kim się bawić.

Myśleli o tym mimochodem, każde przy swojej czereśni, każde z przydzielonym mu przez Marię koszem, który szybko wypełniały owoce. Co z tym biedna Maria pocznie? Przejrzałe, lepkie, zamieszkałe przez robaki, czy nadadzą się na jej zwykłe przetwory, konfitury, soki? Jaka szkoda, jakie marnotrawstwo! Jak mogli Janowie, tacy skrzętni, tacy zapobiegliwi, tak czujni na pory siania, sadzenia i zbiorów, do tego dopuścić? Te czereśnie należało zebrać co najmniej tydzień temu. Czyli zanim Jan

przebił sobie kolcem stopę. Zwłokę spowodowała więc nie choro-  
ba, nie wypadek, tylko jakieś to „wszystko”.

Co?

Popatrywali na Marię, napełniającą już drugi, już trzeci kosz,  
gdy oni biedzili się przy pierwszym. Czekali co powie. Czy coś  
powie? Chyba tak. Przecież nie po te zaniedbane, zmarnowane  
czereśnie, nie tylko na pomoc w ich zrywaniu zwołała ich tutaj,  
i tylko ich dwoje.

Była to zazwyczaj wyprawa gromadzka, w komplecie, jak na  
święto w Saint-Jean. Maria sadowiła się na tylnym siedzeniu ich  
samochodu, emeryci wieźli Picassa z Nîmes, Jan torował drogę  
na motorku, potrąbiając z uciechy. Oprócz koszy na czereśnie  
Maria zabierała inny, z pokrywą, i tam było tak zwane „na wszel-  
ki wypadek”, coś do przegryzienia, do popicia, dla wszystkich.

Czereśniowa akcja zaczynała się jak należy, wczesnym rani-  
kiem, o chłodku, zaś kończyła nigdy nie wiadomo kiedy, zależnie  
od obfitości urodzaju. Więc zamiast żeby pędzić na obiad, albo  
przymdlewać z głodu, piknikowali sobie gdzieś w cieniu, pod  
ruinami.

Z pary emerytów słaba była pomoc i pociecha, tak samo jak  
z Picassa. Oni ledwo się ruszali, więcej objadali, choć niby cze-  
reśnie ciężkostrawne na surowo, artystka zaś, wachlując się kape-  
luszem, romantycznie wzdychała na widok ruin, obchodziła je,  
mrużyła oko, wyciągała szkicownik i chrupała coś na poczekaniu.  
Miała pewne zdolności, nie można przeczyć. Rysunek, który im  
ofiarowała, z muszlą Jana na pierwszym planie i z wieżą Cezara  
w głębi, był całkiem udany i gdyby nie podpis, zbyt czytelny  
a nikomu niestety nic nie mówiący, mogliby się snobizować  
wobec gości, że to płód jakiejś sławy. Każdy by uwierzył.

Gdy nadchodziła pora pikniku, emeryci ożywiali się, rozsia-  
dali pierwsi na kocu. Za to Picassa trzeba było siłą odrywać  
od „motywu”. Jan pohukiwał, pokrzykiwał, że chrupaniem pej-  
zażów nikt się jeszcze nie utuczył, wymawiał żartobliwie, że  
oto jej kosz pusty, cóż komu z tego że zapełniła szkicownik?  
Niechże pomyśli przynajmniej o napełnieniu żołądka.

Wszystko tu obracało się w tradycyjny, rodzinny, wakacyjny  
folklor. Janowie mobilizowali na czereśniobranie swoich pen-  
sjonariuszy nie żeby wykorzystać ich siłę roboczą, gdyż we  
dwójkę doskonale daliby sobie radę, tylko by im sprawić przy-  
jemność. I to była przyjemność. Majówka.

Dzisiaj Maria wykluczyła z czereśniobrania i emerytów i  
Picassa. Czyli że chciała być tylko z nimi. Poza domem.

Nie pytali, nie śmieli. Maria onieśmiała. Od niej zależało, czy uzna ich za godnych konfidencji. Czy w ogóle uzna konfidencje za wskazane i kiedy. Zrywali owoc po owocu ostrożnie, ogałali gałąź po gałęzi z czerwieni, nie podjadając jak zwykle, gdyż wciąż można było trafić na robaka. I milczeli, we troje. Słońce wciąż prażyło, choć już niskie. Sok przejrzałych czereśni lepił im palce jak ciepła krew.

Od zeszłego roku kasztanowiec w sercu ruiny podrosł w swej zdrowej połowie, wysadzając głowę ponad resztki dachu. Płyty nagrobkowe poznikały pod kamuflażem jeżyn. Bluszcz na murach podwoił swe bicepsy, jeszcze zuchwalszy, jeszcze bardziej rozpanoszony. Byli sami. Nikogo na horyzoncie, żywego ducha w tej zamkniętej górą, przypadkowo, lokalnie, wulkaniczno-erozyjnym przypadkiem żyznej dolince. W rajskim, czereśniowym sadzie. Ale czuli na sobie Oko. Wypukłą soczewkę zachodzącego krwią słońca? Czy może lornetkę połową pasterza od majtek?

Czuli i wydawało im się, że Maria też to czuje: ktoś podglądał ich troje, każde pod swoim drzewem, przy swoim koszu, ktoś był niewidzialnym, nie wiadomo życzliwym czy nie, świadkiem zrywania robaczywych czereśni.

## XVII

— Dość tego dobrego! — oświadczyła nagle Maria w pół czereśni, w pół kosza.

Posłuchali natychmiast. Odstawili kosze w cień, żeby słońce nie wytapiało reszty soku z owoców, i przeszli za Marią poprzez to, co było drzwiami, progiem, a teraz wyglądało na wyłom w murze. Tu ich żadne oko nie dostrzeże.

Gdy wyjął z kieszeni paczkę papierosów, Maria wyciągnęła rękę. Maria paląca? Koniec tutejszego świata! Przypaliła zrzęcznie, zaciągnęła się wcale nie jak nowicjusz. Może kiedyś, za pannieńskich, staropannieńskich lat paliła? Co nie pomogło na to, że dymek wychodzący z jej obecnych ust, papieros w jej palcach jakoś szokowały, gorszyły. Ich, palaczy!

Nie, ta Maria siedząca tutaj z nimi, paląca papierosa, konspiracyjnie z nimi w ruinach ukryta, Maria której słuchali potulnie i kiedy przydzieliła im drzewa i kiedy nakazała przerwać w pół

gałęzi, nie mogła być ową Marią z pamiątkowej tablicy na obórcie, pierwszą Marią Jana. Tamta musiała być zupełnie inną kobietą, innym człowiekiem. Wyleciała z domu za skałą, bezradna, ogłupiała babinka, tak jak kwoka wylatuje z kurnika przed lisem, gładząc i trzepocząc skrzydłami, wprost w jego paszczę. Nie przyszło jej — tamtej — do głowy, że lecąc w stronę przełęczy, gdzie Jan ukrywał się z partyzantami, nie ostrzeże go, lecz właśnie naprowadzi na jego ślad. Gdyby jej nie ogłuszyła panika, gdyby na pierwsze: *halt!* zatrzymała się i gdyby zaraz pierwsza kula nie trafiła jej śmiertelnie, gotowa by była wszystko wyśpiewać, wszystkich sypanąć. I nie byłoby ani Jana, ani honorowej tablicy na obórcie.

Obecna tutaj, druga Maria, następczyni, zachowałaby się całkiem inaczej. Czekałaby w progu, wyprostowana, spokojna, albo dalej obierałaby kartofle na werandzie, notując uchem, że samochód skręca za skałę, że staje i że, nim stanął, już się wysypują z niego zbrojni. Że tu zmierzają, tu kieruje się tupot żołnierskich butów, przyspieszony marsz. Że stanęli nad nią i krzyczą: *Hände hoch!*

Wtedy, nie wstając z kuchennego stołka, podniosłaby ręce do góry. W jednej nieobrany do końca kartofel, w drugiej nożyk. I popatrzyłaby na nich, spokojnie i czujnie. Nie otwierając ust.

Mogliby ją brać na męki, ona nie puściłaby farby. A jeśli by jej była sądzona kula, trafiłaby ją nie w plecy, a w pierś i w domu, u siebie, a nie na drodze, pod obórką. Echo strzału i tak doszłoby do Jana, ostrzegając.

A właściwie to jeszcze inaczej. Ta Maria nie siedziałaby po babsku w domu, obierając kartofle. Ona byłaby w lesie, razem z Janem, razem z partyzantami. Nadawałaby się nawet świetnie na przywódcę. Tak, ona by przewodziła, mało mówiąc, skutecznie działając. Słuchałoby jej, jak Jan, jak wszyscy, i to by im wyszło na dobre. Mniej byłoby nazwisk na honorowych tablicach.

W tych górach o zdradzieckich przełęczach, o pustynnych pomorskich płaskowyżach, w cieniu jeszcze wtedy nie tkniętych zarazą kasztanowcowych puszczy, dużo się działo, od zawsze. Niedzielnymi popołudniami, na tarasie pod winoroślą, pomiędzy jedną kantyczką a drugą, odchodziły gadki o zasadzkach, ukrywaniu się, wpadkach, torturach, rozstrzelaniach i wieszaniach. Zaraz na początku okupacji powieszono w jednym z większych okolicznych miast całą grupę polskich partyzantów. Słuchając tej historii mieli wrażenie, że w tych emigracyjnych, polsko-francuskich wiśielcach rozpoznają samych Koników. I samych Janów. Połączeni braterskim stryczkiem, wydani na widok publiczny w naj-

intymniejszych podrygach konania, na hańbę, na postrach, nieruchomości nareszcie, dla potomności, sami Konikowie, sami Janowie, w jakiś sposób do siebie podobni, owoce syjamskich drzew.

Podobno nikt do nich nie śmiał się zbliżyć, oddać im ostatniej posługi. Maria by śmiała. Maria była z rasy Antygon, z rasy Constance. Zaraz pierwszej nocy przecięłaby sznur i pochowałaby Jana. Czy Konika. Zanim słońce zacznie wyciskać zeń trupi sok.

Ale oni wtedy chyba się jeszcze z Janem nie znali. Może i znali się, lecz nie mieli ku sobie. Zresztą Jan ocalał, ostrzeżony przez kulę. Góry powtórzyły echo strzału. Przekradli się wtedy wszyscy na drugą stronę przełęczy Mercou, w jeszcze bardziej niedostępne i dzikie góry, zaś Maria, ta pierwsza, została na drodze, pod obórką, pogardzona przez myśliwych ustrzelona kura.

Niemcy czy dragoni paryskiego króla, ukrywanie się i konspirowanie w imię Wolnej Francji czy w imię Jehowy, to było we krwi, w tradycji tutejszych. Gdy się słuchało niedzielnych pogawędek, Jean Cavalier wydawał się bratem Jeana Moulin, zaś o gwałtach, paleniu domów i wieszaniu biblijnych heretyków mówiło się z takim samym przejęciem, jak o przejściach najświeższej okupacji.

Zwiedzili kiedyś całą gromadą, z Janami, emerytami i Picassem z Nîmes „Muzeum Pustyni”, dom Rolanda, zachowane w nim stare meble, łóżko w którym spał, zegar, który ma bił, bliźniak tego w zaciemnionej jadalni domu za skałą, oraz skrytkę wykonypowaną w spizarcie, w ściennej szafie, w której było dość miejsca na człowieka i dzięki której Roland ocalał.

No, a galernicy? Nie zsyłano wtedy do łagrów ani do łagrów, w modzie były galery. Może ten dom, ruina w czereśniowym sadzie, przypadł Marii w spadku po kimś takim, który przykuty do wiosła już nie wrócił? Więc przerwała się linia wprost? Widły Rolanda, szabla Cavaliera stanowiły relikwie tej samej wagi co w różnych „Centre Jean Moulin” pasiaki kacetowców czy spadochroniarzy na manekinach z wosku.

Tym większym dowodem przyjaźni był dar Jana, ów „kasztan”, znaleziony opodal domu za skałą, odznaka kamizardów. Cenniejszy nad ordery i medale spod kolumnady Palais-Royal.

Maria mogła być legendarną Konstancją z wieży, o której doli tyle się ciągnęło strofok niedzielami. Tak, można ją było sobie łątowo wyobrazić w owej wieży, w martwym, zamulonym porcie, z którego kiedyś król i krzyżowiec, nawet potem święty, wyruszał całą flotyllą, by wyzwolić Grób. Ale morze tego konty-

nuować nie chciało, wycofało się, zatkało port piachem i już więcej nie było mowy o fregatach z krzyżem na żaglach. Ani o galerach. Pozostała wieża, która już nie miała czego strzec, bo nie było portu. Zamieniono ją w więzienie. Praktycznie. Zaś nazwa, która do niej przylgnęła, Constance, to imię jednej z więźniarek, a nie króla Ludwika.

Kto pamięta, że to on wieżę kazał zbudować? Pod świeżo założony port podpływało wtedy morze, kołysząc na niewiernych falach żaglowiec pod królewską banderą, największy. Miotają rycerskimi pasażerami i stosem ich bagaży. Każdy z nich miał przepisową skrzynię, kufer mający służyć za łożo do spania, za walizę ze zbroją i za trumnę, gdy kogo dopadnie dżuma czy gangrena z poniesionych ran. Który z tych świeżą trociną pachnących kufrów zsunie się do morza, który zagrzebie w piaskach Świętej Ziemi? Któremu sądzone powrócić, pełnemu relikwii i łupów?

— *Veni Creator!* — zaśpiewali, padając na kolana.

Na królewski rozkaz kapitan rozwinął żagle, nareszcie raczył w nie tchnąć przychylny wiatr. Duch Święty? Który *flat ubi vult?* Więc kiedy chce, dokąd chce, póki chce? Królewska flotylla, pchana tchnieniem Ducha Świętego, słabym jeszcze, niezbyt jakoś przekonany do tej sprawy, do tej wyprawy na odbicie pustego, jak to już stwierdziła Maria Magdalena Grobu, zakochała się w miejscu. Łoże, trumna, kufer na łupy, jak co tam komu przypadnie, ślizgało się po pokładzie i nikt nie wiedział, czy to była droga tam i z powrotem, czy tylko tam? I jakie tam?

Port Martwych Wód nie musiał cieszyć się przychylnością Ducha Świętego. Może inny duch brał tam górę? Zasoliło się w nim później Burgundczyków, w takiej ilości zarżniętych, że trzeba było uciec się do tego kulinarnego sposobu żeby smród rozkładającego się mięsa nie przeszkadzał zbyt i żeby zeń nie wylęgła się jakaś zaraza. Później, w tejsze ludwikowej wieży-czujce, gnili żywcem Templariusze. Po nich hugenoci, przodkowie Jana i Marii. Udało się z niej zbiec Abrahamowi Mazel. Istny hrabia Monte Christo czy inny bohater podkopów i ucieczek z twierdz ostatniej wojny. Gdy skrobał mury jak szczur, towarzysze jego śpiewali kantyczki, dla zagłuszenia. Po dziś dzień stosowanym sposobem Abraham Mazel wysliznął się przez okienko wieży i zsunął po związanych węzłami kocach. Prześcieradeł w Martwych Wodach nie było, dawali jednak koce.

Kiedy to było? Pięćset, dwieście, sto, dwadzieścia lat temu? Dziś? Wczoraj? Jutro? Durandów jak psów. Ów chłopiec,

wnuk Durand, czy także miał w żyłach kroplę krwi, jeden gen odziedziczony po Marii Durand z wieży Constance, która tam przesiedziała trzydzieści siedem lat? Bagatela! Jakaż by jej się za to należała renta byłych deportowanych! Jakie krzyże i jakie wstążeczki! Nie załamała się, przeciwnie, pomagała współwięźniarkom w niezałamywaniu się, gdy trzydziestu siedmiu latami słońce piekło je do kości, trzydziestu siedmiu zimami przenikały do kości mistrale i gdy nigdy nie zmieniane suknie — a pasiaki jednak czasem zmieniano, odwszawiwszy — spadały z nich strzępami i roily się od zżerającego ich starzejące się ciała robactwa.

Wieża Constance w Aigues-Mortes, czy wieża Temple w ich dzielnicy, czy owa normandzko-angielska, w której dogorywał oślepiiony Smok spadły z nieba, być może patron ich paryskiej ulicy? Niepraktycznie mieć zbyt odporny organizm, przeżywa się to, czego by się nie miało ochoty przeżyć.

Jak ich mały.

Wszystko się jakoś łączyło, połączyło się w tej jednej, wielkiej minucie milczenia, gdy pałac z Marią papierosy siedzieli pod chorym kasztanowcem zasianym w ruinie domu i czekali co ona im powie o „tym wszystkim”.

Powiedziała: „więc”... Wypuściła dymek, żeby nabrać oddechu. Zrobiło się niebieskawe kółko, mimo woli przyglądali się, jak dziwnie długo trwa, jak jest twarde, choć lotne. „To wszystko” musiało być trudne, dla Marii trudniejsze niż dla kogośkolwiek, ona zawsze przekładała gest nad słowo. To wszystko tkwiło jej w gardle, ość.

Podsunał jej znów paczkę papierosów, gotów dać ognia. Potrząsnęła przecząco głową. Nie trzeba przesadzać, zbytńo sobie folgować. Dość odraczających, dodających kurażu dymków. Odchrząknęła, połknęła ość i popatrując nie na nich, lecz na rozwiewającego się ducha nikotyny, zaczęła rzeczowo i spokojnie.

— Są dwie sprawy. A raczej trzy. Zaczę od sprawy domu. Ten pod cedrami przepadł, niestety. Ale czy by państwo nie reflektowali na nasz?

Wszystkiego się spodziewali, tylko nie takiej propozycji! Janowie gotowi odsprzedać im własny dom? Dom za skałą, z widokiem na wieżę Cezara? Z ogródkiem, z werandą, z winoroślą? Z grobami pod syjamską figą? Ich dom byłby na sprzedaż? Dlaczego? A oni? Gdzie się podzieją? Co to wszystko znaczy? Nie musieli otwierać ust. Maria uprzedziła ich wykrzykniki zapytania.

— To się wiąże z dwiema następnymi sprawami. Jan i ja musimy i tak stąd się wynieść. Z dwu przyczyn, o których

potem. Nie wiem, czy orientujecie się w prawie spadkowym. Dom za skałą jest własnością Jana. Ten sad moją. Dzieci nie mamy. Tylko bardzo liczną dalszą rodzinę, z obu stron.

— Gdy nas nie stanie, oni i tak nie dojdą do zgody i wszystko sprzedadzą, gdyż pieniądze są łatwiej podzielne. Różne stopnie pokrewieństwa wszystko komplikują. A nam obojgu milej będzie wiedzieć, że u nas nie zamieszka ktoś przypadkowy, obcy. Wy dla nas jak rodzina. Bliżej. Wolelibyśmy już dziś dom właśnie wam odsprzedać. Tym bardziej, że obiecaliśmy coś znaleźć i pamiętamy o problemie z chorym synem. U nas byłoby wam chyba dobrze. Nawet lepiej niż pod cedrami.

Wciąż milczeli. Za nagłe to było, nie do ogarnięcia. I to jeszcze nie wszystko.

— Nie policzymy drogo. Moglibyśmy właściwie dom wam dać. Jest taka możliwość, „dar między żywymi”. Wtedy byłyby tylko koszty notarialne, mniejsze, a państwo mogliby nam coś tam do ustalenia płacić ratami, do ręki, póki życia. Niestety, taki dar mogliby kiedyś zakwestionować, nawet po latach, spadkobiercy Jana. Mieliby prawo. I na was spadłyby niepotrzebne kłopoty, procesowanie się z szansą przegrania. Gdyby się uparli, znalazłyby się kruczki i może by im udało się was wywłaszczyć. Więc najlepiej załatwić to jako zwyczajną sprzedaż, oficjalnie, definitywnie. My, to znaczy Jan by to państwu sprzedał. Choćby zaraz. A w każdym razie tego lata.

— A wy? I dlaczego? — zakrztusili się dymkami.

— Właśnie. My musimy się stąd wyprowadzić i tak. Z dwu powodów.

Mówiła punktami, według planu. Jak mąż stanu. Odkąd przygotowywała w sobie tę konferencję?

— Po pierwsze, Jan ma duże przykrości. Niby nic takiego. Głupstwo. Głupia, ludzka zawiść. O mleko. Znaczący jego dostawę. Państwa to może ubawi, i słusznie, ale tutaj głupstwa mają inne wymiary. Chodzi o to, że właśnie Jan, a nie ktoś inny, kogo nie wymienię, dostarcza od lat bańki do mleczarni. Na tym zarabia się grosze. Te grosze jednak ktoś inny chciałby zarobić i wydają mu się milionami. Zresztą funkcja ma charakter prestiżowy, jest dowodem zaufania. Ten ktoś rozpuścił więc plotkę. Oskarżył Jana, że dolewa wody do mleka. Do naszej bańki, z udoju tej jednej naszej krowy. Żeby więcej litrów, żeby więcej mu zapisali w książeczce. Niby widziano go rankiem, dolewającego wodę pod obórką. Są na to świadkowie, naoczni, gotowi zeznać pod przysięgą.

Przerwała. Odchrząknęła. Ość podeszła jej znowu do gardła.



— Państwo w to nie uwierzą, mam nadzieję? Nikt w to chyba tak naprawdę nie wierzy, ale... Ludzie gadają. Mieli całą zimę o czym gadać. Odwróciło się od nas sporo przyjaciół. Niby przyjaciół. Może tak nam się tylko wydaje. Zwłaszcza Janowi. Faktem jest, że teraz mało kto przychodzi w niedzielę. Ja to nic, mnie nikogo do szczęścia nie trzeba, ale Jan wziął to sobie bardzo do serca. No i dostał urzędowe wezwanie. Będzie musiał tłumaczyć się, udowadniać swoją niewinność. Jak? Jak udowodnić, że się żadnej wody nie dolewało do mleka, skoro ktoś świadczy, że był tego naocznym świadkiem? Cyfry w książeczce nic nie znaczą, krowa nie maszyna, raz daje litr więcej, raz litr mniej, a ja też raz więcej, raz mniej litrów dla potrzeb kuchni sobie rezerwuję, to się co dzień zmienia. Więc głupia sprawa. A Jan jest dumny. Trudno mu pogodzić się z rolą oskarżonego, po raz pierwszy w życiu, o — no, to byłaby właściwie kradzież. Nieuczciwość. A także trudno pogodzić mu się z tym, że ktoś dobrze znajomy, sąsiad, posądził go o coś takiego, oszkalał, a inni, chociaż są niby po naszej stronie, mogli choć przez sekundę to podejrzenie do siebie dopuścić. Zrobiła się z tego cała afera...

Aha, taka więc była zawartość niebieskiej koperty, której Jan i Maria nie chcieli dziś rano przy nich otwierać. Stąd osowiałość Jana. Nie przez gorączkę, kolec w nodze, antybiotyki, nie z powodu zagrożonej gangreną, koniecznej do pracy tutaj, do życia tutaj nogi...

— Ja wiem, wy mnie zaraz zechcecie pocieszać, że to głupstwo, chwilowa przykrość dla Jana, mała formalność, że nic mu takiego nie grozi, niczego takiego nikt nie jest w stanie na serio udowodnić, chociażby przysięgał, i że nawet jakby, to za coś takiego do więzienia nie wsadzą. Najwyżej odpadnie mu kłopot z dowożeniem mleka, co jest, owszem, honorowe, ale zaczyna być w jego wieku męczące. Zimą bardziej niż latem, tłuc się co ranka na motorku do miasteczka. Ale Jan jest jak dziecko. Nie potrafi żyć bez całkowitej pewności, że wszyscy go lubią i szanują. Odtąd nikomu nie dowierza. Każdego posądza. Zresztą państwo tego nie mogli zauważyć, ale baniek jest mniej. Czyli akcja trwa i już są tacy, którzy wolą swoje mleko sami czy przez kogoś innego dostarczać. Więc Janowi odechciało się tutaj żyć. To nie jest chwilowe załamanie się. Ja go znam. On mi się tutaj zmarnuje, zdziwaczeje. Niezależnie od tego, czy mu tę dostawę mleka pozostawią, czy odbiorą. Czy go zrehabilitują, czy nie. O rehabilitację, o udowodnienie oszczerstwa Jan starać się zresztą nie będzie. To zbyt przykre. Dla mnie też.

Zduśiła źle dogaszony przez któreś z nich niedopałek na popękany kamieniu byłej posadzki. Atawizm. Kłopoty kłopotami, bicz pożarów stale wisi nad głową.

— W rezultacie postanowiliśmy przenieść się do miasta. Do Alès. Najpierw z tego powodu. Mamy tam już upatrzony domek, w sam raz dla nas. Z ogródkiem. Jan lubi grzebać się w ziemi. Aby móc go nabyć, musimy sprzedać ten. Nawet ten sad sprzedajemy, znaczy ja sprzedaję. Może i na to państwo by reflektowali? Niewiele wart, ale zawsze coś dla nas, w tej sytuacji. Chyba jednak wam na nic to się nie przyda? Ktoś to sobie kupi po prostu jako lokatę kapitału. Byle co ludzie teraz zaczynają wykupywać, pieniądz traci na wartości, więc?

Zapytała. Ale nie czekała na ich odpowiedź, ich decyzję. Bo to jeszcze nie było wszystko. Zapadła nowa minuta milczenia, przekłuta kolcem poprzednich rewelacji. Spirale dymu czepiały się gałęzi kasztanowca, tych już martwych i tych jeszcze żywych. Powietrze różowiało.

— A do Alès i tak musimy się przenieść. Prędko. Bo ja jestem chora. Mam rok, no dwa lata życia. To się może przedłuży, może skróci, nie wiadomo. Tam jest szpital. Jan nie będzie musiał jeździć do mnie na swoim motorku. Jednak daleko i nie najlepsza droga. No i wtedy kto by się opiekował krową, ogródkiem? Takie różne małe problemy, jednak problemy. A tak będzie pod bokiem. No i w razie czego nie zostanie sam. W Alès mamy przyjaciół. Prawdziwych. Państwo ich znają. Bywali tu czasem w niedziele. Pastor i jego żona. Trochę od nas młodszy, co ważne, są szanse że pożyją dłużej. Oni nam znaleźli domek, po sąsiedzku z ich domem. Zaopiekują się Janem, gdy ja będę w szpitalu. Chcą mnie operować, nie wiem po co. Nóż przyspiesza. No, ale Jan chce mnie ratować. Więc niech mnie tam krają. Pewno nie jeden raz. Pastor z żoną Janowi i ugotują, i podadzą i w ogóle, jakby co... No, będzie z nimi.

Podniosła się. Teraz było już wszystko. Wstali za jej przykładem. Na stojący dodała:

— Gdyby nie historia z mlekiem, nie myślelibyśmy o wyzbyciu się domu. Projektowałam podnajęcie czegoś w Alès, na ten czas. Krowę byśmy sprzedali, albo powierzyli jakiemuś sąsiadowi, póki co. I Jan mógłby potem tu sobie wrócić, do siebie, do swoich przyzwyczajęń. Do przyjaciół. Okazało się, że przyjaciel nie ma, albo on przestał wierzyć, że są. Z jego charakterem, to nieodwracalne. Więc nie byłby tutaj szczęśliwy. W Alès lepiej. Łatwiej zapomni. To daleko stąd.

W aucie, do którego ładowali pełne i puste kosze w dziwnie spiesznym tempie, które narzuciła, dodała jeszcze żartobliwie, jakby chcąc rozładować atmosferę:

— Jan ma jednak dobre usposobienie. Mam nadzieję, że tego w nim nie zniszczyli. On się z czasem odegnie, wśród przyjaciół. Prawdziwych. Zapomni nie tylko o mleku i wodzie, ale i o mnie. Czemu nie miałby ożenić się trzeci raz? Nawet poproszę naszych pastorów z Alès, żeby mu się w razie czego wystarali o nową Marię.

Nałożył okulary, gdyż słońce, całkiem już poziome, czyhało na zakrętach by celować prosto w oczy.

— Proszę sobie to wszystko przemyśleć, omówić. To i dla was ważna, życiowa decyzja. I cokolwiek państwo postanowią, proszę mi zaraz powiedzieć. W cztery oczy. Nie chcielibyśmy, żeby to się przedwcześnie rozniosło. Bo to wygląda na ucieczkę winowajcy. Więc po co to mają wiedzieć sąsiedzi, póki co? No i także po co to mają wiedzieć ci różni obcy z rodziny? Czyli nasi spadkobiercy.

— I proszę pana trochę prędeej. Jan wie, żeśmy wyjechali nie na czereśnie, a właśnie na tę rozmowę. Tak to zaaranżował, niby że ściany mają u nas uszy, że emeryci, że Picasso, choć przecież to samo mogłabym wam powiedzieć na przykład w obórcie, albo pod figą. Niepotrzebna komplikacja, ale nie chciałam mu się sprzeciwić, on teraz taki rozdrażniony i upiera się, jak dziecko. Gdyśmy wyjeżdżali, drzemał. Już mu dużo lepiej, ale nie jestem o niego spokojna. Zagadaliśmy się.

Dodał gazu. Pył drogi wzbijał się za samochodem, tumanami, które martwiały w powietrzu, zabarwione słońcem, tak że na długo i na czerwono zapisany był ślad, którą przejeżdżali.

## XVIII

Zapamiętali sobie i długo będą pamiętać powrotną drogę z czereśniowego sadu do domu za skałą, pośpiech, nie pasujący do tych stron, do stygnącego w czerwieni dnia, do zeszło- i poza zeszłorocznych powrotów stamtąd, powrotów na wesoło, gdyż wyciągnięta z piknikowego koszyka i włożona dla ochłody do szemrającego opodal ruin gardoniku butelka wina nie powinna

wracać niedopita, Jan by do tego nie dopuścił. Nie krzywdziło, ale trochę rauszowało. Podśpiewywali sobie w samochodzie i czasem nawet Maria włączała się do chóru zaskakująco czystym, panieńskim głosem.

No i byli w komplecie. Jan na przedzie, kurzył im w szyby spod swego motorku, za nimi włókł się, podrygując, samochód emerytów wioząc Picassa z Nîmes. Nikt nie leżał, czekając na nich, w komórce przy strychu.

Owa powrotna droga, ostatnia w ich życiu powrotna droga stamtąd, ta przestrzeń dzieląca zrujnowaną siedzibę zarażonego kasztanowca od domu za skałą, gdzie leżał Jan, w wyścigowym pokonywana tempie, przy pisku opon, zgrzycie hamulców na zbyt ostro branych zakrętach, wydawała im się i będzie im się wydawać czymś bardzo długotrwałym, czymś od wszystkiego przedtem i od wszystkiego potem wyłączonym, czaso-przestrzennym Pomiędzy. Między rewelacjami Marii a tym, co ich czekało w domu za skałą. Ów czas, owa przestrzeń nie miały nic wspólnego ze wskazówkami zegarka czy trasą słońca na niebie, nic z cyferkami połykanych kilometrów na liczniku.

Wskazówki sekundnika wirowały wokół osi zegarkowego czasu, cyferki licznika przeskakiwały, motor pracował, popędzał piszczące opony, a oni jak gdyby stali w miejscu. Wieża Cezara wciąż nie chciała wychylić swego szczerbatego czoła zza gór. Maria powiedziała do końca swoje „to wszystko” i nic już nie miała do powiedzenia. Popędzała ich swoim milczeniem. Na zakrętach przychwytywała kosze zsuwające się z siedzenia.

Oni milczeli, gdyż za dużo mieliby do powiedzenia. To wszystko było za duże i za trudne. Zbyt nagle powiększone. Spadło zbyt nagle.

Nie raz im się przypomni, pomyśli wspólna droga, to zakurzone, zadyszane, nieme, czerwone z pośpiechu, od zachodu Pomiędzy. Pomiędzy rewelacjami Marii o jej chorobie i o mlecznych komplikacjach Jana, pomiędzy propozycją nabycia domu za skałą a ich przyjęciem tego, lub odmową, chwilą kiedy będą mogli — jak im się i do tego także spieszyło — leżąc obok siebie w łóżku, po kolacji, nareszcie spokojnie to omówić, wspólnie przetrwać, może wpaść na jakiś pomysł, na jakąś możliwość przyścia z pomocą Janowi, wzięcia udziału w jego sprawie. Za dużo tego wszystkiego na raz, na teraz.

Więc milczeli, jechali od brzegu do brzegu, w szczelinie Pomiędzy, znacząc drogę czerwonym kurzem. On prowadził, Maria dowodziła, bez słów dodawała tempa jeździe, to jej a nie kierowcy szybkościomierz był posłuszny. Spieszyło jej się nagle

i śmiertelnie. Gdyby mogła, wyfrunęłaby z auta zostawiając nie-  
szczęsne kosze z czereśniami oraz ich, ogłupiałych, bezsilnych  
i lotem ptaka znalazła się przy Janie. Może już nie śpi, nie  
drzemie, sam na sam z toczącymi go myślami, w pustym domu.  
Ewentualnej obecności emerytów i Picassa z Nîmes nie można  
było w tej sytuacji brać pod uwagę.

A równocześnie Maria była chyba tak samo jak oni wrażliwa  
na to Pomiedzy, na krwawą jagodowość gór w nagle otwieranych  
i nagle zamykających się perspektywach, dolinach, nadziejach,  
możliwościach ucieczek i skrytek, na to co tymczasowe, więc nie  
krzywdzące, jak wino, na ani tu, ani tam, na po tym co było  
i przed tym, co będzie. Wrażliwa na wspólne milczenie. Wdzię-  
czna za wspólne milczenie. Za to, że nie usiłują pocieszać jej  
byle czym, pleść byle czego, że lekarze często się mylą, że może  
nie jest z nią aż tak źle, że z tym nożem który rozzuchwała  
to przesąd, bo chirurgia działa teraz cuda. Że są nowe metody  
leczenia, nowe sposoby. Zaś sprawa z mlekiem sama przyschnie,  
więc po co wyzbywać się domu, odmieniać życie na starość?

Starość, jak choroba małego, nie znosi zmian.

Owo Pomiedzy trwało z pół godziny, może trochę więcej,  
może mniej, a wydawało się wszystkim trojgu, że stanowi osobną  
epokę ich życia, wydzielony, specjalny okres. Z tych, co to chcia-  
łoby się żeby już minął, ale też żeby jeszcze trwał, który chciałoby  
się przeskokować, przefrunąć, ale także utkwić w nim na zawsze,  
jak przedpotopowa mucha w bursztynie. To Pomiedzy, czuli we  
trójkę, każde na swój sposób, było Odroczeniem.

Wieża Cezara pokazała się nareszcie pierwszy raz, znów przy-  
padła za góry i wtedy wydało im się, że ktoś, idący drogą przed  
nimi, uskoczył nagle w las. Bo gdy nadjechali w to miejsce,  
nikogo nie było. Czemu się ukrył? Zza którego teraz śledził  
ich krzaka? Czyżby to kolekcjoner damskich majtek, pasterz  
z lornetką? Bo kto?

A może to właśnie był autor anonimowych listów? Amator  
na dostarczenie mleka? Nie byli pewni czy dobrze rozszyfrowali  
sylwetkę, ledwo dostrzeżoną na zakręcie, a pytał Marii nie śmieli.

Nie, ów „on” to przecież chyba nie pasterz. W każdym  
razie nie tylko pasterz. Po pierwsze, ten z całą pewnością nie  
umiał pisać. Ani by mu nie przyszły do głowy anonimy, ani  
by ich sam nie potrafił ułożyć. No i nawet motorka nie posiadał,  
skąd więc ambicje dostarczania baniek?

Mógł jednak posłużyć jako narzędzie komuś innemu, zazdroś-  
nikowi, złemu sąsiadowi, fałszywemu przyjacielowi, jako „na-  
oczny” świadek. Jako ten, który okiem polowej swej lornetki

wszystko widzi i o wszystkim wie. Świadek idealny. Zgodził się świadczyć pod naciskiem (na jakimś ściąganiu majątek przyłapany i szantażowany?) albo z głupoty. Z zazdrości. Jan niczyich majątek ze sznura podkradać nie musiał. Miał żonę, krowę, dom i nawet motorek. Za dużo! Więc pasterz zaświadczył i będzie krzywoprzysięgał, jeśli dojdzie do rozprawy czy jakiejś choćby konfrontacji, że widział poranną scenę zbrodni. I to nie jeden raz, stale. Że Jan przy obórcie notorycznie dolewał wody do swojej bańki z mlekiem.

Po zeszytwnieniu, wyprostowaniu się Marii, pobicieniu jej ręki przytrzymującej klamkę drzwiczek, można by przypuścić, że wyimaginowany przez nich scenariusz ma pewne podstawy realne. W każdym razie pasterz czy nie pasterz, ten ktoś znikł z drogi dlatego, że z daleka rozpoznał ich samochód. Każdy zwyczajnie zeszedłby na bok.

Przypomniał im się nie wiadomo czemu wnuk Durand, też uskakujący za róg ulicy tego wieczoru, przed wyjazdem, gdy on zszedł sprawdzić oliwę. Jeżeli to rzeczywiście był wnuk Durand, a nie jakiś inny młody brodac. Dziwne bywają asocjacje.

Tymczasem ich Pomiędzy trwało. Jeszcze chwilę, jeszcze pół kilometra. Nieraz im się przypomni, przyśni to, co wtedy wydawało się możliwe, owe różne: „właściwie czemu nie?” i „może by jednak...”, które wysuwały się jedno z drugich. Gdyż propozycja Marii, zasiana w ich głowach, kiełkowała. Odpychane, przydeptywane, nieładne jednak myśli, zapuszczały bluszczowe pędy, przysysały się do nich podstępnie. Bo jeśli już tak jest jak Maria mówi, jeśli już tak musi być, a ona nie zwykła puszczać słów na wiatr, to właściwie czemu by nie mieli kupić od nich domu za skałą? Wyświadczyliby im nawet coś w rodzaju przysługi. Przecież i tak nie z ich winy Jan i Maria zmuszeni są wynieść się ze swego rajy za skałą. A równocześnie rozwiązaliby za jednym zamachem własny problem. Maria ma rację, dom za skałą to coś o wiele dla nich lepszego, w ich „tym wszystkim”, w ich sytuacji, niż dom pod cedrami, za duży, za wspaniały, za drogi. Dom dla milionerów. Dom na wakacje, a nie na dożywocie.

Tymczasem ten za skałą był już dla nich jak własny, jak swój. Nie wymagał żadnych kosztownych przeróbek. Może trochę więcej komfortu, jakaś łazienka z ciepłą, bieżącą wodą, głównie ze względu na małego, ciepłe kąpiele działały na niego kojąco, im to właściwie zbyteczne, wystarczyłyby im, jak do tej pory, ablucje w fajansowej miednicy i woda w bliźniaczym jej dzbanie, malowanych w róże różowe, rozkwitłe i dopiero w pączkach, na

gałązkach bez kolców. Dzban w róże, za niewidzialną przyczyną Marii, zawsze na nich czekał z ciepłą wodą, rano i wieczorem. Może Janowie dzban i miednicę im odstąpią? Bardzo je polubili.

A muszla? Na co muszla Janowi w Alès? Tam z pewnością nie będzie miał pensjonariuszy, odpada więc trąbienie na posiłki. A zegar? Ów zegar który, nawet nakręcony, stał póki prztyczkiem nie wprawiło się wahadła w ruch? Kto to powiedział: *mettez-le en marche*? Wprawcie go w ruch! Po prostu. Jakiś szwajcarski zegarmistrz, pewno potomek hugenotów. Radząc jakiemuś ignorantowi, że nie wystarczy zegary nakręcać, trzeba jeszcze wprawić je w ruch. Może ten zegar także by z nimi pozostał w domu za skałą? Oni by już na miejscu Jana i Marii wiedzieli, że wymaga nie tylko nakręcania ale i wprawiania w ruch.

Rewelacja Marii, jej oferta, były owym prztyczkiem, który wprawił w ruch wahadło ich myśli, ich projektów. Nie byli w stanie się powstrzymać, tykały w nich, wahały się, pokazywały wszystkie godziny na raz, przeszłe i przyszłe, co było, co będzie, co będzie mogło być, jeżeli...

Mały lubi co świeci, co poruszając się łyśka. Lubi to za dużo powiedziane. Lubić czy kochać, znaczy wybrać. Spośród innych rzeczy albo ludzi do lubienia czy do kochania wyróżnić. Postanović: wolę. W tym sensie Miłość i Wola to jedno, obie mówią: stań się, bym miał co kochać. Albo nienawidzić. A cóż ich mały? Cofnięty poniżej słowa, nie mógł sobie niczego na niczyje podobieństwo stwarzać. Wahadłowy, zegarowy połysk fascynował go jednak, jakoś koił. Zegar znakomicie zastąpiłby mu ruch hebla i piły Konika. Sadziliby go w krzeselku, naprzeciw. Patrzyłby, widząc nie widząc. Choćby samo tykanie... Usypiająca regularność, monotonia. Można by zmniejszyć dawkę proszków...

Janowie do zegara byli jednak z pewnością po swojemu przywiązani, no i zegary potrzebne, w Alès także. Jest stary, drogocenny, może pamiątka po kimś. Rodzinna. Ale państwo Durand pozostawili w końcu lustro, też drogocenne i stare, do którego z pewnością mieli czas się przywiązać, nawet jeśli go po kimś nie odziedziczyli. Więc...

Na pokój małego najlepiej byłoby przeznaczyć ten, gdzie rezyduje Picasso z Nîmes. Drzwi w drzwi ich obecnego pokoju. Pokoju Janów. Tak jak w miejskim mieszkaniu słyszeliby wszystko, co się tam dzieje. Drzwi zostawialiby otwarte, dzień i noc. Kładąc się spać, wieczorem czy na poobiednią sjęstę, rzucaliby jeszcze raz okiem od progu, na jego sen. Ostrożnie obty-

kaliby go kołdrą, noce tutaj bywają lodowate. A potem kładliby się spokojnie i patrzyli przez otwarte okno na gwiazdę nad czołem wieży Cezara.

Byłby — będzie? — problem z wystawianiem małego, już dużego, z jego krzeselkiem do ogródka, w cień syjamskich fig. Ogródek spadał tarasowato od werandy, schodziło się tam po paru kamiennych, krzywych stopniach. Już dla emerytów karkołomnych. Ale jakoś by sobie poradzili. Najpierw któreś znosi krzeselko, szykuje, ustawia. A potem wspólnymi siłami sprowadzają w dół syna, nakłaniają go do zejścia schodek po schodku. Stanowczo, wzorem Konikowej. Przyzwyczailiby się. Grunt to nawyki. Usadzą go co ranka, zamkną kłapę krzeselka. I nawet nie będą musieli warować obok, drażnić swą obecnością. Cały czas mieliby go na oku, z werandy. Ona by obierała kartofle, on by sobie czytał. Gazety. Listonosz zajeżdżałby każdego ranka...

Niedzielami zachodziliby do nich ci sami goście, pastor, nauczyciel, mer, równolegle starzejący się, głuchawi, ślepowi, na emeryturach. I razem by śpiewali te same kantyczki. Mały lubi słuchać śpiewu. Lubi muzykę. W ogóle nastawialiby mu radio. Nakupowaliby płyt. Tak, jedyna muzyka wciska się sobie wiadomą szparą w pustkę jego mózgu, ona jedyna spośród dawnych upodobań, z przedtem, mu pozostała. Nie dowiedzą się nigdy, czy ją słyszy, ale wszystko wskazywało na to, że jej słucha. Madame Konik przysięgała, że na jego intencję zawsze radio gra.

Bo przecież trudno uwierzyć, przyjąć do wiadomości bez zastrzeżeń, że wszyscy sąsiedzi, wszyscy niedzielni goście popijający na werandzie niekrzywdzące wino, śpiewający chórem, chórem wspominający wspólne, dawne i najdawniejsze czasy, naprawdę wszyscy i jak jeden mąż zdolni byli tak z dnia na dzień odwrócić się od Jana, dać wiarę prymitywnej plotce, pomówieniu. Janowi tylko tak się wydaje. Wpadł w kompleks, w depresję. To niemożliwe! Ci ludzie wydawali im się do tej pory bez skazy. Dajmy na to jest, musi być pomiędzy nimi ktoś jeden, czarna owca, głupi i podły zazdrośnik. Jeden wąż, jeden robak. Ale żeby wszyscy? To się rozwieje, to przyschnie, nawet Maria jest tego zdania. Tak powiedziała w sadzie. Wówczas zagoi się uraz. Minie uraza. Jan będzie miało ochotę wracać tutaj, z tym i owym po staremu pogadać, popić wina. Jan i Maria będą tutaj przyjeżdżali z Alès, choćby każdej niedzieli. Kiedy zechcą, na jak długo zechcą. Będą jak u siebie. Zmiany zastaną minimalne, nic co by naprawdę bolało, zegar w zimowej



jadalni, muszlę na murku werandy. W żadnych komórkach na strychu nocować nie będą. Pokój emerytów, na przykład, będzie wolny. Stanie się ich pokojem, na stałe. Tam mogą zostać od wizyty do wizyty swoje rzeczy. No a chociażby tu się sprowadzili z powrotem na stałe? Jeśli znuży ich Alès, jednak miasto, gdyby za trudno im było tam zapuścić korzenie...

To znaczy, najpierw przyjeżdżaliby razem, Jan i Maria. Między operacjami. Rzadko obywa się jedną operacją. A potem... Potem? Po tym? No więc jak już, jak tak, to Jan mógłby przyjeżdżać sam. Dobrze by mu to robiło. Wracałby do siebie, do swoich obydwu Marii. Chyba żeby go zaraz pastor z jakąś trzecią wyswatał. No więc i z tą trzecią niech sobie przyjeżdża, przyjmą ich z otwartymi ramionami. Skoro druga Maria z góry nie jest zazdrosna? Już użycza i błogosławi?

Przydeptywali, gasili te myśli jak zarodki ognia wykluwające się na kilometry od jądra pożaru, z byle iskry, a one ciągle ożywały, zapłodnione tą samą czy siostrzaną iskrą. To wszystko było brzydkie pod ładnymi pozorami, to było przede wszystkim przedwczesne. Dom za skałą nie był jeszcze ich, a już się szarogęsili, już się w nim rozpychali, drążyli go od środka, dwa turkucie-podjadki, owadzia para skwaterów wyjadająca żywą jeszcze zawartość muszli, która im się uśmiecha do zamieszkania.

Druga Maria siedziała przeciw w samochodzie, za ich plecami, milcząca ale żywa, na pozór zdrowa. A oto oni już ją chowają, już ją pochowali, pod figami. Bo jakież tam cmentarze, w Alès? Bywali, zwiedzali to miasto, nie zauważyli jaki ma cmentarz. Więc jeśli już, to i ona woli na pewno tutaj, u stóp werandy, po starodawnemu, po hugenocku. Przy domu, gdzie się tyle narzutała, nasprzutała, naobierała kartofli. Chyba żeby dla jakichś powodów na cmentarzyku koło zboru, bok w bok z pierwszą Marią. Jan mógłby w Zaduszki — czy protestanci obchodzą Zaduszki? — albo w jakieś rocznice za jednym zamachem odwiedzać obie swoje Marie. Wygoda.

Co do nich, dbaliby o tablicę marmurową na obórce dla pierwszej, o kamienną z pewnością płytę dla drugiej. Naturalnie. Nie zatarłby liter mech, nie nasunąłby się na nie całun jeżyn czy bluszczu. A gdy i na nich przyjdzie pora, gdy po jakichś objawach poznają, że koniec odroczenia, że zbyt wielkie ryzyko dla małego, bo jeśli nagle coś któremuś z nich, to co wtedy?... Co za pociecha dziś, już dziś, no, jutro, wiedzieć gdzie i jak to się odbędzie. Nastawią zegar na tę wybraną przez siebie z roz-

mysłem godzinę, ale nie wprawiają go w ruch. Koniec z prztyczkami, wahaniami się, obrotem wskazówek, słońca i księżyca. Koniec czasu.

Tutaj przyjdzie to im łatwiej niż gdziekolwiek. Któregoś wieczoru. Jednego z tych wieczorów kiedy mleczna droga spuszcza się nisko, nabrzmiała gwiazdnym płynem, niebieska wilczyca. Gdy światy spadają całymi transportami. I tylko ta jedna tkwi z całą pewnością, pierwsza wieczorem, ostatnia rano, gwiazda wiernej Miłości. Więc Woli.

Bo przecież jeżeli to zrobią, mają zamiar, mają wolną wolę to zrobić, zrobią to z miłości. Owszem, pozbyli się na pozór syna, wynajęli go Konikowej. Ale nie przestali go kochać. Nie przestał ich dotyczyć. Więc jakże mogliby go pozostawić samego, takiego i na takim świecie, tylko dlatego, że rodzice, jak psy, żyją krócej?

Odegra się po prostu do końca akt, kiedyś przerwany. Opa-dnie ramię, kiedyś wstrzymane przez Anioła. Cóż to za Anioł, żeby w takiej sytuacji chwycił kogoś za rękę? Sprawiedliwość mogłaby chcieć aż takiej niesprawiedliwości?

Spełni się pragnienie. Pragnęli, był taki okres, że spieszyło im się, nie do emerytury. Śmierć wydawała im się jedynym wyjściem na wolność, jedyną szczeliną do przecięnięcia się przez mur. Długo stali w drzwiach jego pokoju, patrząc jak śpi. Pragnąc, żeby już nigdy się nie obudził, piękny we śnie Narcyz blond, Narcyz dziecko, ale Narcyz definitywny i stuprocentowy. Który przestał widzieć nie tylko odbicie świata, ale i własne odbicie. Narcyz nad wodą zasnutą bielmem.

Pod powiekami drgały mu gałki oczu, paradoksalnie. Może sen zbiera bielmo z wody? Oniryczny chirurg, specjalista od katarakty? Przywracał mu wzrok? Implantował w mózgu na ten króciutki, senny spazm sztuczne komórki na miejsce tych, które rozsadziła gorączkowa Hiroszima?

Śmierć, brat-siostra Snu, może zna jeszcze lepsze techniki i na zawsze przywróci mu widok świata? Własne odbicie? Ich widok? Może, przepchnięty ręką rodziców trochę wcześniej niż zaprogramowało to sobie zdrowe jego ciało, na drugi brzeg, jeżeli jest drugi brzeg, on stamtąd rodziców na nowo zobaczy? Zrozumie?

Na ów drugi brzeg, tamtego kiedyś wieczoru, zamierzyli wsadzić go do łodzi samego. Coś ich schwytało za rękę. Powiedzmy — Anioł.

I tak minęły lata, jemu, im, osobno, równolegle. Na odległość pokolenia. Nie sposób rodzić się ani dojrzewać ani starzeć razem ze swoim dzieckiem. Niedoskonałość, skazanie z góry na klęskę tego rodzaju miłości. Fatalne rozmiianie się w czasie, aż po rozminięcie się ostateczne. Ale sam zamiar pozostał. Doskonalili szczegóły. Razem. Nie dziś, jutro. Dom na wsi, emerytura. Jeszcze trochę pożyć sobie, samotrzeć. Przydać mu się, przydawać mu się, anonimowo, póki starczy zdrowia, sił. A potem przeprawa wspólną łodzią na drugi brzeg. Jeśli drugich brzegów nie ma, tym gorzej. Tym lepiej. Razem pogrążą się w martwej wodzie snu, bez snów, paradoksalnych czy jak je tam zowią. Bez przynęt, bez nadzianych na haczyki robaków. Wspólne zasnuje im oczy bielmo niepamięci. Tutaj? Jasne! Oczywiście tutaj. W domu za skałą.

Już to widzieli i chyba od zawsze to się im wiedziało. Sztuka o wykutym na pamięć scenariuszu. Właściwie idylla. Któregoś wieczoru...

Hamulec zazgrzytał, zapiszczały opony. Samochód zaparł się kołem o krok od przepaści. Z cwałującym gdzieś w dole gardonem. Akurat był kamień. Gdyby nie było akurat tutaj, teraz, tego kamienia... Motor zgasł z emocji.

— Przepraszam panie — powiedział. — Prowadzę gorzej niż nasz przyjaciel z Montpellier.

I dopiero dobrze przetarłszy czoło, okulary, oczy, włączył znowu motor i zaczął prowadzić przytomnie.

Zart wpadł w szczelinę milczenia pomiędzy nimi, przepaść kłębiącą się wirami rozmaitych Pomiędzy. To nie był moment dla nikogo z tej trójki, żeby znaleźć się na dnie wąwozu z połamanymi kośćmi. Albo spłonąć w samochodzie wypalonym na pudełko po konserwach, jak ci przy autostradzie. Cała góra od nich by się zajęła. Nie tak. Nie tutaj, nie teraz. W domu za skałą czeka na Marię Jan. U Konikowej czeka na nich mały. Cóż, że o tym nie wie? Tym bardziej czeka.

Zresztą cóż to za myśli, antycypacje, niewczesne zamiary? W łóżku, wieczorem, dojdą z pewnością do wniosku, że jeśli Jan sprzedaje dom, to oni go natychmiast kupują, ale jaki wstyd, zanim jeszcze dojechali, zanim cało przebyli to Pomiędzy, przywłaszczając sobie jego muszlę czy zegar. Co by Janowi i Marii, nakręcone, wprawione prztyczkiem w ruch, wydzwaniało godziny w Alès? Co by szumiąło Janowi echem młodych, marynarskich lat? Chcą, bo muszą, sprzedać dom, czyli mury i dach, ale nie osobiste pamiętki. Zabiorą wszystko tam. Zrozumiałe, nawet trzeba im to doradzać. Drzewa też przesadza się z motkiem

ziemi, która żywiła korzenie. Łatwiej się przyjmują. Zwłaszcza stare drzewa.

Oni zaś — motor ruszył i myśli ruszyły w nich dalej, wzniecone osobnym zapłonem — pojeżdżą sobie po okolicy. Znając już dobrze rozkład przyszłej siedziby, będą dokładnie wiedzieli czego chcą. Gdyby im się już teraz jakiś większy mebel trafił, Janowie z pewnością użyczą na to miejsca na strychu.

Meblowali więc, urządzali dom za skałą dla siebie, ale na obraz i podobieństwo tego, co w nim było i do czego przywykli. No, bez dzbana w róże i miednicy obejdzie się, służyłyby do dekoracji, skoro zainstalują łazienkę. Obrączek do serwetek też nie trzeba. Będzie ich troje do posiłków, żadnych pensjonariuszy, żadnych Picassów czy emerytów. A gościom i tak serwetki daje się świeże.

Gościom? Sąsiadom? No, pasterza nigdy nawet Janowie nie przyjmowali, sam zresztą nie przychodził, chyba w jakimś serowym, owczym interesie, załatwianym na progu kuchni. Był dziki. Majtek na noc na sznurze nie będzie zostawiała, już dziś nie zostawia. A że polowa lornetka stale będzie nastawiona na małego, już dużego, na jego tępe, nieobecne tkwienie w krzeselku pod figami, albo, co gorsze, napady konwulsyjnego, wściekłego buntu? Ich z nim starcze, emeryckie już przecież szamotanie się, jego nad nimi kiedyś przewagę, jeśliby przegapili limit codziennego proszka? Limit własnych sił? Gdyby tak ze starości opadła im ręka? I wspólnie wsiadanie do łodzi by przegapili?

A gdyby raz wyrwał im się i pognał w góry, w las? Jak go się tutaj doszukają, skoro Niemcom trudno było doszukać się partyzantów? Kamizardów też przecież wszystkich, dzięki kasztanowcom, królewscy dragoni nie wytepełili.

Niektórych jednak dopadli. Na przykład tych z przełęczy Mercou, na którą wciąż nie mogą wybrać się na pierwszy spacer. Jutro muszą tam pójść zaraz z rana.

Między dwoma gatunkami dolin, dwiema rozpostartymi panoramami stał pomnik-tablica, nazwiska, daty urodzin i wspólna data śmierci. Sami młodzi, w wieku wnuka Durand. W ich wieku, gdy szukali mieszkania. Odrzucili pewno w las kompromitujące „kasztań”, papiery czy broń, a i tak zginęli, daleko stąd, nie na przełęczy. Deportowani. Na galery. Do łagrów. Autokary z turystami przystawały, ludzie gapili się, poniekąd fotografowali, dawał sobie zrobić zdjęcie na tle.

Kiedyś zastali letników w szortach fotografujących się z uśmiechem *cheese* pod obórką. Zaś przed Muzeum Pustyni to już całkiem maszynowo terkotały aparaty.

Żeby kto tam pomyślał, pomodlił się, westchnął, wątpliwe. Chyba żeby rodzice tych chłopców, bo żon pewno nie zdążyli mieć. Tylko rodzice żyją krócej...

Zdeptać nareszcie te myśli. Nie dać im pełgać, robić przeczutów. Zmienić bieg. Teraz jest teraz. Pomiędzy. Zaraz skręca za skałę gdzie czeka zgnębiony Jan. Duże dziecko. Tymczasem jeszcze nie skręcili. Uważać przy prowadzeniu, przy myśleniu. W łóżku sobie wieczorem „to wszystko” przemyśla, omówią szeptem, żeby nie podsłuchał Picasso z Nîmes, drzwi w drzwi. A zaraz jutro odpowiedzą Janom. W cztery oczy, jak sobie zaży-czyła Maria. Tak albo nie.

Tak. Z pewnością tak. Chyba żeby Janowie do jutra się rozmyślili.

A choroba Marii? Największy, najbardziej upokarzający wstyd, zdać sobie sprawę, że najgłębiej poruszeni właśnie tą rewelacją — gdyż afera mleczna bez dramatyzowania jej przez Jana byłaby drobnym epizodem, rychło tematem do żartów, zaś za niebieską urzędową kopertą nic takiego znów nie do przeżycia nie mogło się kryć, że ta sprawa jakoś najsłabiej ich obeszała. Czemu? Zawiadomiła ich z takim spokojem. A to był wyrok śmierci.

Nie oglądała się na Marię siedzącą akurat za jej plecami, ale on widział w lusterku jej twarz. Taką jak zwykle. Ani chudsza, ani bledsza. Żadnego zewnętrznego objawu tego, co ją toczy. Napięty, czujny wyraz, ale tak było i przy powrotach ze święta w Saint-Jean, gdy śledziła światełko śmigającego na motorku Jana.

A jednak w ciele Marii, z którą tak dobrze, tak lekko się tańczyło, która śpiewała tak panińskim głosem, już zakiełkowała, ba, już dojrzewała śmierć. W każdym ciele kiełkuje od pierwszej sekundy poczęcia, jednym ziarnem wraz z życiem zasiana. Ale inaczej. Robak tego gatunku bardziej brzydki.

Może jednak lekarze się mylą? Przesadzili? Źle odczytali rentgeny, analizy? Czyż nie pomylili się, dla odmiany lekce sobie ważąc chorobę małego? Gdzie ów nieomylny kodeks, według którego ferują wyroki, zaoczne lub jawne? Ale nawet jeśli w wypadku Marii mają rację, to jeszcze nie na dziś, nawet nie na jutro. Za parę lat. Może nóż zdąży? Są po operacjach remisje, nawet zwolnienia. Problemem głównym był jednak Jan. Niewspółmierne, ale bliższe dziś skóry.

Tak więc obydwaj nieszczęścia Janów, sumując się, obróciły

się w szansę dla nich, w niespodziewaną „okazję”. Bez ogłoszenia. Nie chcieli, nie pozwalali sobie tym się cieszyć. I nie cieszyli się, naprawdę. Plany, wywijające się tak drobiazgowo, tak wstydliwie, to ludzka rzecz. Automatyzm wyobraźni.

Przykro jednak stwierdzić, że do tego stopnia jest się człowiekiem. Najszczerzej rozszlochane sieroty, sypiąc pierwszą garść ziemi na trumnę, też pewno, wbrew sobie, przemyślują, co komu w spadku przypadnie, jakie zmiany porobią w domu, skąd śmierć nareszcie, niestety, wyeksmitowała rodziców. Chociażby w tym samym ruchu myśli na wylot przeszywał ich ból, że dom pusty.

Czyli wolny...

A jednak nie. Nie oni. Nie poczuwają się do wspólnoty z niewiernymi sierotami. Oni są prawdziwymi przyjaciółmi Janów. Sprzymierzeńcami. Gdy tylko dojadą, wdrapią się po drewnianych schodkach do komórki przy strychu, poproszą o pokazanie tej niebieskiej koperty, zorientują się, o co właściwie chodzi. Może coś poradzą? Zadziałają. Już pomogli Janowi, dowożąc bańki. W razie czego zwrócą się do adwokata.

Marię zaś należy koniecznie zabrać do Paryża. Pokazać innym jeszcze specjalistom. Co Paryż to nie Alès. Rok, dwa życia? Co za fatalizm! Dobrze zrobiona operacja, naświetlania, chemoterapia. Teraz hamuje się ewolucję, zabija kiełek zła. Zanim w ogóle dojdzie do sprzedaży domu. Wszystko to rozważą wspólnie, po przyjacielsku, po rodzinnemu. Spokojnie. We wspólnym interesie.

Byle dojechać.

Celując zupełnie świadomie w lustro, słońce wykluwało oczy. Ale już dojeżdżają. Zaraz zakręć, skała, dom. Może jeszcze pusty. Picasso z Nîmes chrupie pewno po raz setny wieżę Cezara, emeryci pełzną gdzieś dla zaostrzenia sobie apetytu na kolację. Pragnęli tego, wszyscy troje pragnęli, żeby dom okazał się jeszcze przedwieczornie pusty, żeby choć chwilę mogli być sam na sam, we czworo. Zaraz będą. Jeszcze tylko mały odstęp, resztką Pomiędzy.

Do samego końca owo Pomiędzy pragnęli skrócić, przeskoczyć i równocześnie rozciągnąć, przedłużyć. Instynktownie. Wszyscy troje. Maria też.

Nieraz im to się przyśni i przypomni. Cała osobna epoka ich życia, raptem około pół godziny jazdy, między czereśniowym sadem a domem za skałą. Pomiędzy.

## XIX

Leżeli obok siebie z naciągniętymi po brody kołdrami. Od otwartego okna wiał ziąb. Zaleta tutejszego klimatu. Po najbardziej morderczym, pustynnym upale, ledwo słońce dotknęło ziemi, wstawał powiew, świeży oddech nocy. Do kolacji, pod zapaloną, zawieszoną jak jedno winne grono więcej lampą, konieczny był na ogół sweter. Picasso okręcał się w dziergany szal, romantyczny, zaś emeryci na wszelki wypadek przeobrażali się w parę Eskimosów. Jan paradował w jednej ze swych niebieskich koszul. Był zahartowany.

Już nie była noc, ale jeszcze nie był świt. Głuche, bure Pomiędzy. Pogoda pewno się zmienia. Albo chmury zaciągnęły się na niebie, albo mgła. Ani jednej gwiazdy na firmamencie pozbawionym zwykłej, niskiej, rośnej rzesistości przedrannej. Księżyc także nie było, straszącego gwiazdy pasterza.

Zimno. Było im zimno obok siebie. Na ciele i na sercu. Drżeli. Dzielili to drżenie, starając się je opanować, jedno ze względu na drugie, i nie mogli. Nie znajdowali w uścisku zwykłej pociechy ani ciepła.

Tak musieli drzeć pierwsi rodzice, gdy brutalnie zaszło pierwsze słońce, zapadła pierwsza noc, a oni byli nadzy. Ziąb pierwszej nocy obozu śmierci. Tak i oni kiedyś drżeli, całymi nocami, gdy z pokoju obok lada chwila mógł się rozleć krzyk małego.

Z pokoju drzwi w drzwi nie rozlegało się zwykłe, męskie chrapanie Picassa. Nauczycielka z Nîmes także pewno nie mogła zmrużyć oka. Kto spał w tym domu, wyciszonym jak nigdy? Nawet zegar nie tykał i nie wydzwaniał godzin. Czyżby Maria zapomniała go nakręcić, prztyczkiem wprawić w ruch? Najpewniej sama wstrzymała wahadło. W domach, gdzie leży umarli zegary stoją.

Gdyby to nieszczęście zdarzyło się o innej porze roku, gdy nie ma pensjonariuszy, gdy ich nie ma, Jan leżałby z pewnością tutaj, na ich miejscu, w swoim, w ich z Marią małżeńskim łożu. Na tych samych może akurat prześcieradłach. I tak samo przez otwarte okno patrzyłoby nań puste niebo. Czyścówce. Wielkopiątkowe. Takie, co do którego wcale nie ma nadziei, czy są tam gdzieś jakieś gwiazdy i czy jedna z nich, nasze słońce, znowu nam zaświeci.

Być może, na mocy tego samego zwyczaju który każe wstrzymać zegary i zasłaniać lustra, powinniśmy również zamknąć okno. To w komórce, czy jest zamknięte?

Proponowali Marii, że go tutaj przeniosą, a sami prześlą się na strychu. Albo gdziekolwiek, niechby na podłodze u Picassa, drzwi w drzwi. Janowi należy się, by spoczywał w swoim łóżu, w ich łóżu małżeńskim. Nawet wypada.

Odmówiła.

Gdzie jest teraz Maria? Przy nim? Czuwa nad jego snem? Czy w kuchni? Czy w zimowej jadalni, pod stojącym zegarem? Nie dochodził żaden brzęk naczyń, odsuwanych z paleniska fajerek. Gdzieś tam siedzi, po ciemku, po cichu. Nie pomyślał, by zapomnieć na stole paczki papierosów. Może jednak jest jakaś napoczęta, na werandzie. Często tak zostawiali, wczoraj może także...

Walczył z chęcią, by wstać i przekonać się, czepiał się myśli o paczce papierosów i o tym, czy Maria je zauważyła. Drobiazgi zasłaniają góry i wieże Cezara, samoobronnie wysunięte na pierwszy plan. Lżej jakoś byłoby móc myśleć, że jeśli zechce, popali sobie. To pomagało jej otworzyć usta pod kasztanowcem w ruinach. Zapalki ma, kuchenne. Bo zapalniczka z pewnością leży na ich nocnej szafce. Podałby jej ognia. Przynajmniej tyle.

Oboje walczyli z chęcią by wstać, przekonać się gdzie jest Maria, co robi. Z chęcią posiedzieliby przy niej, pomilczeli z nią, popalili. Razem.

Ale nie. W bezsennym milczeniu domu za skałą było coś nakazującego spokój i szacunek. Nie odważali się wstawać, zapalać światła, otwierać skrzypiących drzwi. I czuli: Maria woli być sama. Gdziekolwiek jest, w komórce przy strychu, w kuchni, w zimowej jadalni czy na werandzie, koło bielejącej po nocy muszli. Woli sama.

Kosze, te napełnione czereśniami i te puste, zostały w samochodzie. Czy go aby dobrze zaparkował, dostatecznie przytulił do skały? Od skrętu droga się zwęża, gotów ją zatarasować. Zadne nie pomyślało, żeby te kosze wyjąć. Na ciepłym jeszcze motorze, razem z tym absurdalnym bagażem, z podskakującą bo niedomkniętą klapą, popędził z miejsca do miasteczka nie tyle po lekarza, bo już na nic był lekarz, co po żandarmerię. Był telefon u sąsiadów, w razie potrzeby Janowie i pensjonariusze z niego korzystali, ale tym razem Maria go powstrzymała. Nie chciała, by stamtąd dzwonić. Poleciała mu zaraz jechać do miasteczka i załatwić formalności.

Dlaczego nie przez telefon, od sąsiadów, dwa kroki od skały?



Nie było daleko od pustego wyrka w komórce do belki na strychu, kasztanowcowej, starej, zdrowej, gdyż kasztanowcowego drzewa żaden kornik po śmierci się nie ima. Ale ciało Jana w niebieskiej, przepoconej koszuli o podwiniętych, jak to zwykł, rękawach, o rozchełstany kołnierzu, ważyło tony. Ulatując, dusza przydaje ciału wagi. To samo sprawia sen.

Stygło. Ale jeszcze było ciepłe. Zresztą, przy tym upale nawet śmierć nie mogłaby nadać komukolwiek trupiej temperatury.

Bandaż na jego stopie, świeżo, tuż przed wyprawą na czeresnie przez Marię zmieniony, bieleł. Białość bieleje w mroku, dowód z muszłą, po nocy. Ten bandaż zobaczyli najpierw. Stopa już stęchła, już się goiła. Jeszcze pewno parę godzin potem goiła się z rozpędu, bezinteresownie, bezsensownie, może jeszcze i w tej chwili antybiotyki żrą się z bakteriami, nie zaprzestały partyzantki z infekcją, choć wojna o życie przegrana. Sztab główny skapitulował.

Jan musiał to zrobić pod sam wieczór. Gdy już byli w drodze powrotnej. Pomiedzy.

Gdybyż bardziej się pospieszyli! Napełnili o jeden kosz mniej! Jednego papierosa mniej wypalili w ruinach pod kasztanowcem! Gdyby nie wziął źle tego zakrętu i nie musiał przystanąć, ochłoniąć z wrażeń, bo samochód zawisł nad przepaścią, jednym ułamkiem skały przytrzymany za koło!

No a te ich paskudne, robaczywe myśli, projekty po drodze? Ale co myśli? Dobre czy złe, zdrowe czy robaczywe, nie myśli ale życzenia, intencje, pragnienia, jakież mają wpływ na cokolwiek? Ani za, ani przeciw. Niczego popchnąć, niczego przytrzymać nie mogą. Precz z przesądami! Zaś drogi, karkołomnej, szybciej przebyć nie było można. Nie, to nie on, nazbyt ostrożny szofer, ponosił winę za fatalne pięć minut spóźnienia. Minutę za późno.

Kto ją ponosił? Przecież i nie Maria, która zabrała ich do sadu na wtajemniczenie w „to wszystko”, nie na czeresnie. Jeden kosz więcej owocu nie był jej w głowie. Projekt wyszedł od Jana. Znalazł argumenty. Że tam spokojnie, bez świadków, że bez oka, bez ucha obcego porozmawiać można tylko tam.

On się ich po prostu chciał pozbyć z domu.

Znając go, tak jak się nawzajem od lat poznali i splekli bez słów, ona by się w analogicznej nie daj Boże sytuacji, pozbyć w ten sposób nie dała. Ona wyczułaby, że coś się święci. I on także, wyczułby, fizycznie wyczułby odruch jej myśli, kierunek jej zamiaru. Nie daliby się sobie nawzajem odprawić. Tak sobie teraz myśleli. Maria nie wyczuła niczego. Nic jej nie zaalarmo-

wało. Mała górka zasłoniła jej dużą. Wiedziała tylko, że Janowi potrzebna jest świadomość, że oni są daleko, w tamtym sadzie, o co najmniej pół godziny krętego Pomiędzy i że on woli, by tam ich wtajemniczyła. Raz go posłuchała, nie wyczuwszy, o co mu chodzi.

A Jan głównie ją chciał na ten dystans oddalić. Przecież nie ich. Nie wystarczyło mu wysłać jej na przykład do obórki, że niby zmiana pościółki nie cierpi zwłoki. Za blisko. W takim tylko między nią a sobą Pomiędzy nie odważyłby się tego zrobić. A chciał.

Chyba że tutaj coś zaszło, tymczasem. Pomiędzy. Coś, a raczej ktoś przyszedł do Jana, dobił. Padło jakieś słowo, które przeważało szalę. Dobiło. Kto? Ów pasterz, który skrył się, jak Kain po zabiciu brata? Któryś z sąsiadów? Który? Ten co ma telefon? I co takiego Jan usłyszał, że już nie mógł przed tym inaczej uciec, tylko z wyrka zwlókł się, kuśtykając, na strych? Że na nich tych pięciu minut, tej minuty nie poczekał?

Nie było żadnych śladów niczyjej wizyty. Jeśli ktoś tutaj był, nigdy się do tego nie przyzna. Do tego słowa, do prztyczka, wprawiającego w ruch zegarowy mechanizm śmierci. Może nie chciał aż tego, nie pomyślał, że Janowi wytrąca spod nogi kamień, wstrzymujący przed stoczeniem się w dół?

Czy był ktoś, czy nikogo tu nie było, wszystko jedno. Nie musiał być. Stało się. Nie powrócili na czas.

Te czeresnie... Nikomu na nic się nie zdadzą. Nawet gdyby nie były aż tak przejrzałe i robaczywe. Nie trzeba było w ogóle zaczynać ich zrywać. Nawet ich kosztować. Ani jednej. Maria powinna była z miejsca wprowadzić ich do ruin, pod kasztanowiec, i tam, zabezpieczona od wszystko widzącego oka, wszystko słyszającego ucha, zaraz sięgnąć po papierosa, skoro dodaje kurażu i przystąpić do swoich rewelacji. Zaczęła od zrywania owoców z całą pewnością nie przez skrzętność i zapobiegliwość gospodyni. No, może trochę. Automatycznie, atawistycznie. W ich ciężkim, małorolnym, sewenolskim życiu myśl o zmarnowaniu jakiegokolwiek daru Bożego była nie do przyjęcia. Mała myśl zasłoniła dużą. Mała troska zasłoniła Nieszczęście. Na o jedną chwilę, o jeden owoc za dużo.

Głównie jednak zaważyła trudność tej rozmowy, skomplikowana jej wielopiętrowość, powikłania. Dla Marii, milczka, ta nagła przybramkowość, misja zlecona przez Jana, konieczność mówienia. O tym wszystkim. Ciężar pierwszego słowa. Napętniając kosz za koszem z dziedziczną biegiłością zrywaczek morwowych liści, Maria w sobie to wszystko ważyła. Od czego zaczniesz?

W jakiej poda im kolejności? Przygotowywała się, punkt po punkcie.

Najlepszy dowód, że najpierw zażądała papierosa. Jak skazaniec. Jak więzień śledczy, który postanowił wszystko wysypać. No i zeszedł czas. Pół godziny, gdy niemożliwe było jeszcze możliwe. Gdy przeznaczenie wahało się, na czubkach palców, na grzbiecie podziału wiatrów i wód, podziału minut, na ostrzu wskazówki zegarka czy szybkościomierza.

Ach, to ich powrotne Pomiędzy! Myśli, już w różowości zachodu wstydliwie się rumieniące, teraz, po nocy, po ciemku, wydawały się zbrodnicze. Wydała się ich małość, podłość. Mroziły ich zwrotnym sprzężeniem szyderstwa, bardziej niż ów chłód wielkopiątkowy, ziejący przez okno. Jak mogli! Jak śmieli! Pozwolić takim myślom roić się w sobie i mnożyć! Było im teraz tak, jak gdyby i oni, na równi z zazdrosnymi o mleko sąsiadami, tych sąsiadów prawdopodobnie pod ich nieobecność tu przybyłym, anonimowym emisariuszem, jak gdyby oni też do spółki przeważyli kamień rozpaczny Jana. Dziecinnej, zgoda, ale czyjaż rozpacz więcej waży od rozpaczny dzieci.

Ich myśli mogły być prztyczkiem, który wprawia w ruch. Myśli, są, materialnie są. To nie przesąd. Rozchodzą się ich elektryczne fale. Myśli to elektryczność. Myśli się nadaje. Może zabija się na odległość? Jan, w dziecinnej swej rozpaczny, stanowią zbyt dobry receptor? Podśluchał audycję nadawaną przez nich Pomiędzy, niechący? I niechący go dobili?

A jednak wciąż, równocześnie i równolegle, bo ileż jest koryt którymi galopują podziemne, nie dające się okiełzać gardony, żal im było tych myśli, projektów, tego wszystkiego, co im się w czasie Pomiędzy wydawało tak jak by już załatwione, zależne od ich „tak” lub „nie”. Przecież wiedzieli, że powiedzą „tak”. I już tylko szczegóły były do omówienia. Już tylko podpis u notariusza.

Oczywiście, nic z tego wszystkiego. Nigdy tutaj nie będą mieszkali. Nie nabędą domu za skałą. Dom należał nie do Jana lecz do pierwszej Marii. Taki jakiś mieli kontrakt małżeński (dlaczego?), że druga nie miała doń prawa. Przy postępowaniu spadkowym, kto wie jak to będzie załatwione? Może ją tu zostawią, na dożywocie. Czyli nie na tak długo. Dwa lata, zawiłował lekarz z Alès. W każdym razie nic już od niej nie zależy. Ani do niej tutaj nie należy. Dom pójdzie na sprzedaż, bo tylko pieniędzmi można się podzielić według spadkowej, wielopiętrowej sprawiedliwości. Domów nie kraje się na kawałki, nie rozbija na elementy, jak srebra czy serwisy.

A może któryś ze spadkobierców Jana czy pierwszej jego Marii, która też nagle zesłała z marmurowej tablicy by wejść pośmiertnie w rachubę, sam zechce tu się wprowadzić, a resztę działów wykupi? Będzie miał prawo pierwszeństwa. Znajdzie się taki, to pewne. Okazja! Szansa, że uda im się ustawić w kolejce, składając, jak to się mówi, opcję, skurczyła się do minimum.

Bo zresztą, kiedy to nastąpi? Postępowania spadkowe, przy takich na dodatek powikłaniach, ciągną się latami. A im się spieszy. Może w klauzuli ślubnej stoi, że podziały, rozdziały mogą mieć miejsce dopiero po śmierci drugiej Marii? To prawdopodobne. Tak się robi, gdy się nie ma dzieci. A przecież oni jednak nie tacy, żeby czekać, żeby czyhać na jej śmierć i co żywo biec do notariusza z opcją. No a jeśli taką opcję złożą, dajmy na to, spadkobiercy nie są głupi i widząc, że komuś aż tak na domu za skałą zależy, tak mu się tutaj spieszy, wycenią go, jakby był pod trzema cedrami, prohibicyjnie, nie na ich kieszeń. Zresztą ceny i tak pójdą w górę.

Tak jak ją znali, Maria się nie załamie. Jan był dzieckiem. Ona żadnego sznura przez żadną belkę nie przerzuci, choć teraz dopiero byłyby ku temu prawdziwe powody. Nie umie robić marynarskich węzłów. Nie skoczy do studni, tej pod obórką, obróstej pobielałymi hortensjami. Zostawi całą sprawę Bogu. Całe postępowanie. Skoro takie wyroki wydaje, niechże je Sam wykonuje, własną ręką. W jej lekkim, dziewczęcym ciele mieszkała twarda dusza. I Maria naprawdę wierzyła. Dawną wiarą hugenotów, gotowych na wszystkie męki. Wiarą pierwszych chrześcijan, wiarą Marii Durand z wieży w Martwych Wodach. Była drugą, nie pierwszą Marią, nie wpadała w panikę, nie gdała. Żadna kula nie trafi jej w plecy.

O trzeciej Marii nie ma już mowy. Pastor z Alès nie będzie musiał za nią się rozglądać.

Chyba pojedzie do szpitala w Alès, gdy tu wszystko załatwi, gdy tam będzie wolne łóżko i gdy chirurg ją wezwie. Ani chwili wcześniej. Nie opuści dobrowolnie tego domu, żadnego innego kupowała nie będzie w Alès. Po co, dla kogo? Do żadnego Paryża, na żadne dodatkowe badania, żadne ratowanie, przedłużanie, zabrać im się nie da. Nie ma co tego jej proponować, zwracać jej głowy.

Wszystko przypadło. Dom, już jakby ich, pary przedwczesnych turkuciów, już przez nich urządzony, umeblowany w czasie zbyt długiego Pomiedzy, spadł w przepaść, nie podparty żadnym

kamieniem w tej sekundzie, kiedy Maria, nim zdążył zgasić motor, zaparkować porządnie przy skale, wyfrunęła z auta, wbiegła na górę po drewnianych schodkach i gdy stamtąd, ze strychu, usłyszeli jej krzyk:

— Jean!

To był jedyny jej krzyk. Wołanie.

Od tej pory ani łzy, ani zbytecznego słowa. Gdy go odcinali, gdy go przenosili na wyrko, już zdążyła jednym, skutecznym ruchem ściągnąć wymięte prześcieradła, naciągnąć czyste, sztywne, nieskazitelne. Jak należy. Zaroilo się potem od żandar-mów, lekarza, sąsiadów jednak. Dobrych czy złych. Od ludzi. Sensacja. Odpowiadała rzeczowo, tak lub nie. Wydawała polecenia. Dowodziła. Dla każdego misja na jego miarę, według jego kwalifikacji. Ani więcej, ani mniej.

Takie jak ona nie nadawałyby się do napełniania łzawnic. Płatne płaczkę były zbyteczne. Jedną zbyt chlipiącą sąsiadkę wyprosiła. Może to była akurat żona tego sąsiada, który?...

Dobrze byłoby móc przypuścić, że teraz jednak sobie folguje. Po cichu. Po ciemku. Sama. Bez cudzego oka i ucha.

Im, pensjonariuszom, podała kolację. Spóźnioną, ale podała. Jak należy. Tyle, że wyjątkowo poprosiła ich — nakazała im — nakrycie do stołu pod winoroślą. Zakrzętnęli się oboje, radzi z każdego drobnego gestu, z poczucia że się choćby w tym jej przydają. Gesty przynoszą ulgę. Może zleciła im tę absurdalną misję — komu była kolacja w głowie? — właśnie żeby ulżyć im, nie sobie? Sama dużo prędzej by nakryła. Gubili się w szufladach, nie wiedzieli gdzie noże i widelce, gdzie miejsce srebrnych kótek na serwetki. Wazę z dymiącą zupą wyniosła już sama, jak zwykle. I odbyło się jak zwykle, tyle że później niż wczoraj wieczorem, gdy przy stole też nie było Jana, bo drzemał w komórce, usprawiedliwiony.

W muszlę nikt nie musiał dąć. Picasso z Nîmes w szalu, para emerytów opatulonych po syberyjsku, wszyscy tkwili na werandzie, zbici w trzódkę, wystraszeni. Trochę jednak wyciekając kolacji, która im się należała. Zwłaszcza emeryci.

Na miejscu Jana zasiadł pastor. To jedno było niezwykajne. Pastor bywał tutaj w niedziele, popołudniami. Mieli potem z Marią jakąś konferencję w zimowej jadalni, pod zatrzymanym już chyba zegarem. Im pozwoliła — nakazała sprzątnąć ze stołu. Bo muchy. Zmywać znów nie pozwoliła. Posłuchali. Chciała być sama, miała do omówienia z pastorem to wszystko, no i sprawę pogrzebu. Niechże więc każdy pójdzie do swego pokoju.

Emeryci, oświadczając że „to wszystko” przecięło im apetyt,

wysiorbali zupę, wytarli chlebem talerze. Dobrali jarzyn, do-  
brali kompotu z zeszlórocznych czereśni. Gotowy deser. Za to  
Picasso, wielka i chuda pod dzierganym szalem, naprawdę straciła  
apetyt. Lepiła kulki z chleba, milczała. Z murka spadł  
szkicownik, nawet nie drgnęła. Oni aż podskoczyli. Wiatru  
nie było, więc... Czyj był ten żartobliwy prztyczek, kto się  
bawił, gdy na czworakach zbierali świeżo chrupane widoczki  
rozsypane pomiędzy groby i figi ogródka?

Jaki jest stosunek protestanckiego kleru do samobójców? To  
znaczy do ich ciał, tego co pozostaje po zgaszeniu iskry życia,  
ducha, po zdmuchnięciu duszy. Elementów, których może nie  
trzeba było Bogu stwarzać, bo już były w Nim, były Nim,  
razem z Aniołami talmudycznie dysputującymi czy warto, czy  
dobrze stworzyć jeszcze i Adama, pod wieczór szóstego dnia,  
czy wypowiedzieć ostatnie „Stań się” nad kawałkiem gliny, która  
może wolałaby gliną (prochem) na zawsze pozostać, w świętym,  
mineralnym spokoju i nie musieć się znowu w glinę (proch)  
obrać? Ale Adam już był. Miny Aniołów! Pierwszy z bosko-  
ludzkich, żydowskich kawałów! I Ewa już była, z boku czy  
nie z boku, z żebra czy nie z żebra do towarzystwa na poczekaniu  
dostworzona po to, żeby go nie opuszczała aż do śmierci. Bo  
i śmierć już była (On musiał to wiedzieć) zawarta w pierw-  
szym owocu. Jak, gdzie Ewa grzebała swego Adama? Gdzie  
pierwszy cmentarz, w jakiej ukryty prehistorycznej grocie, czym,  
jakim przywalony kamieniem? Wszystko po to, żeby z prochu  
powstawszy w proch znowu się obrócić, dobro- czy niedobro-  
wolnie.

Ewa przynajmniej nie miała do czynienia z klerem, z przepi-  
sami, z przesądami. Chyba że granicę Raju przeszedł strażnik  
w anielskim mundurze, pierwszy rabin, pierwszy proboszcz,  
pierwszy bonza czy pastor. Sprawiedliwa bo dzięki stworzeniu  
sprzecznego Adama w pełni zrealizowana Niesprawiedliwość.  
Wyciągnął z zanadru jakieś przepisy administracyjno-klerykalne,  
jakąś powiastkę w niebieskiej kopercie. Że samobójcy nie tu,  
tylko tam, że nie po tej, ale po tamtej stronie muru. Nie pod  
tym drzewem, zuchwalcy, nie tutaj, Niecierpliwi! Poderwani  
radzi nie radzi słowem: stań się! — ośmielili się nie doczekać  
następnej komendy: giń! I wyrwali mu z ręki ognisty miecz.

Więc jak właściwie jest, teraz, w tych stronach, z pogrzebami  
tego rodzaju? Czy oni święcą ziemię? A jeśli tak (chyba jednak  
nie, to katolicka sprawa), to czy samobójcom odmawiają poświę-  
conej, ułatwiającej co? Rozpadnięcie się w lepszy proch, po uwa-  
żaniu? Jeśli by święcili, to i pod syjamskimi figami, gdzie bez-

trosko do tej pory rozkładali się na sjeście, ziemia jest poświęcona. I ta koło ruin w czereśniowym sadzie. Wszędzie, gdzie spod bluszczów i jeżyn szarzeją kamienne płyty. Całą ziemię by tu musieli święcić. Wody by zabrakło, zwłaszcza latem.

Znowu nikt nie pomyślał o napełnieniu karafki u źródła, znowu jej ścianki były przejrzyste, bez mgiełki rzeźwiącego, wewnętrznej chłodu.

Pastor odjechał, konferencja z Marią skończyła się nim się zdążyli porozchodzić. Światła duchownego, czarnego samochodu przesunęły się po listonoszowym fragmencie głównej drogi. Wszystkie praktyczne decyzje zapadły. Maria stanęła w progu werandy. Zrozumieli. Dość szepców. Wycofali się do pokojów. Było późno. Później niż kiedykolwiek. Zegar pewno stał. O tamtej godzinie wstrzymany. Nie popatrzyli. Na swoje zegarki także zresztą nie, ani na budzik. Który na szczęście zatrzymał się sam z siebie, nie tykał. Czas stanął, czas zatrzymał się sam z siebie w momencie, gdy Maria wyfrunęła z samochodu i gdy usłyszeli jej krzyk:

— Jean!

Co teraz będzie? Jutro? Znaczy pewnie już dziś. Wczoraj już było dziś i już jest jutro, dzisiaj, w tej chwili. No, będzie pogrzeb. Pewno nie tak zaraz jutro, to znaczy nie dziś. Formalności. Papierki, dochodzenia. Przecież chyba nie śledcze? Maria z pewnością nie zażąda żadnego dochodzenia, nie złoży skargi. Ten ktoś, co tutaj był, Pomiedzy, nie zostawił śladów, słowoprztyczek, słowo, które dla Jana znaczyło: giń! — rozplynęło się zrobiwszy swoje. Słowa nie zostawiają odcisków palców. Zresztą gdzie tu szukać Sherlocka Holmesa? I po co? Sprawa z mlekiem sama z siebie została umorzona. Niebieską powiestkę można wyrzucić do śmieci. Zaś bańki z mlekiem i tak od jutra ktoś inny będzie musiał (mógł? dopiął swego?) dostarczać do miasteczka.

No i trzeba trumny. Bo w śmiertelnych prześcieradłach protestantów się nie grzebie i nie w kucki, żeby chryżej poderwać się mogli na ostateczne trąbienie Anioła, na Sąd. Jak szybko tutaj robią trumny? Może mają zawsze parę na składzie, na wszelki przypadek. W rozmaitych rozmiarach i po różnych cenach. Z jakiego drzewa? Kasztanowcowego? Ale te dzisiejsze kasztanowce już za życia padają ofiarą robaków. Kto Janowi wykopie grób? Ktoś z sąsiadów? Dobry, czy zły?

No, mają chyba jakiegoś grabarza przy zborze. To już zmarwienie pastora, nie ich. I nie Marii.

Maria wie, już porozdzielała role, funkcje, misje. Zrobią ju-

tro, to znaczy dziś to, co im poleci, pomogą w tym, do czego ich dopuści. Na razie poleciała im, by się wycofali. Do swojego, czyli normalnie do ich z Janem pokoju. By się położyli w ich małżeńskim, jej wdowim łożu.

Tyłu już uroczystości i obrzędów tutaj byli świadkami, nawet uczestnikami, od święta w Saint-Jean-du-Gard po czternasty lipca. Byli na chrzcinach, bywali na weselach. Ale pogrzeb jakoś im się nigdy dotąd nie trafił. Nie znali obyczajów. Najpierw pewno jakaś ceremonia w zborze, kazanie czy jak to się zowie pastora. Dużo z Biblii. Bardziej są biblijni, bardziej staro-testamentowi od katolików. Pastor dobrze mówi, dobrze przytacza Pismo, w każdym razie spodobał im się jako mówca ślubny. Do pogrzebów też z pewnością wzwyczajony. Ale takich? I co potem? I gdzie, i jak? Normalnie, czy chyłkiem, wstydliwie? Po samobójczemu?

Maria to wszystko już wie. Przyjdzie pora, powie im. Wezmą udział. Poznają i tę stronę życia, jeszcze i te obyczaje tutejszych, nie same jak dotąd chrzciny, śluby i święte Jany.

Kiedy to, świętego Jana? Jutro? Tak, jutro. To jest dziś. W tym roku urlop przypadł im wcześniej, zaraz w drugiej połowie czerwca. Prawda! O tym napomykał lekarz, mówiąc Janowi że do święta się zagoi, że potańczy. Więc gdyby nie to, jutro by się tam wszyscy wybrali. Stopa Jana, jeszcze przez tę noc pospiesznie się gojąc, już by się nadawała do tańca.

Wszystko odbędzie się jak zwykle na placyku pod platanami. W świętego Jana, w dzień patrona, jeszcze weselej niż na czternastego lipca. Bardziej lokalnie. Nastawiwszy sobie z wieczora budziki, zaraz wstaną miejscowe gospodynie, by mięsić ciasto na blino-faworki. Lubi się odstać, mniej w nim gruzełków. Stoły i ławy może już z wieczora wystawione, pozbijane, już czeka platforma z desek do tańca. Poplecione papierowe girlandy. Zaraz je będą rozwieszać od platana do platana. Lampiony. Ognie sztuczne, nabyte przez gminę, czekają w jakiejś komórce merostwa, w skrzynkach, ukryte przed dziećmi. Chóry już odbyły wczoraj ostatnią próbę, teraz tylko wystrzegają się, by nie złapać chrypki. I wszyscy razem, gdy komu budzik zaterkocze, wstaną, wyjrzą przez okno i zmartwią się, że pogoda coś nie bardzo. Ale może do wieczora się poprawi.

Wszystko odbędzie się, potoczy jak zwykle, jak co roku. Tyle że bez nich. Bez ich familijnej ekipy, bez Jana otwierającego pochod na motorku, bez emerytów wlokących się na ogonie. Picasso nie będzie musiał z góry wszem wobec oświadczać, że nie tańczy.



Ale jeszcze z samego rana zaterkocze na szosie motocykl listonosza. Święty Jan nie czternasty lipca, nie święto, poczta działa. Czy będzie coś dla nich, poza gazetami i prospektami? Coś, to znaczy list od madame Konik. Już by mógł, już by nawet powinien nadejść. Już idzie. Już jest w Alès, czy w Lassalle, gdzie segregują pocztę. Zaraz będzie w torbie listonosza. Co zawiera?

Mały pewno jeszcze śpi, narkotycznym, paradoksalnym snem. Konikowa wie, jaką mu zaadministrować dozę, żeby nie budził po nocy ani jej, ani reszty dzieci. Może i sąsiada? Czy tam ta sama głucha noc, czy niebo odkryte? Zresztą madame Konik z pewnością zamyka okiennice. I drzwi, na zasuwkę. I furtkę. Niewskazane, leżeć przy otwartych oknach, niezamkniętych drzwiach, w tamtych stronach. Za blisko dużych miast. Więc i czasy szybciej na gorsze się zmieniają.

Tu co innego. Tu ludzie nie zaczęli jeszcze bać się ludzi. Okna i drzwi stoją otworem, dzień i noc. Bielizna spokojnie dosycha na sznurze, tyle że o sprzątnięciu majtek lepiej jednak pamiętać, bo a nuż. Mały, niewinny wyjątek.

Sama dobroć, sama uczciwość, tutejszych. Tak im się do tej pory wydawało. I nagle wyszło na jaw. Tutaj tak samo. Podglądają, zazdroszczą, intrygują, donoszą. Źli sąsiedzi. Popijając niekrzywdzące wino na werandzie, kombinują jak okraść Jana. Z dobrej reputacji. Honor, jedyna cenna rzecz w domu za skałą.

Czyli go zabić. Zabili mu pierwszą Marię, jakoś przeżył. Znalazł drugą. Przeżył wojny, sztormy, zarazy tropikalne, dezynferie. Mógłby przeżyć utratę domu. Mógłby przeżyć nawet drugą Marię, wyswataliby mu trzecią. Ale utraty honoru, nie. Decydujący prztyczek. Celny strzał.

Nie ma już więc białych, zdrowych plam na mapie. Cały świat, ziemską jego kula, wydała im się zepsutym, stoczonym owocem. Giń!

Giń! — woła Miłość, obrażona, i równocześnie: trwaj! *Du bist so schön!* Czemu hiroszimowy wybuch w mózgu ich syna nie zabił także i ciała? Do tej pory już by przeboleli, mieliby już do tej pory drugie dziecko, drugiego Adama. Może lepszego. Druga Maria z całą pewnością lepiej udała się Janowi niż pierwsza. Zjeżdżaliby tutaj na wakacje, tak samo, ale inaczej. We trójkę. Żadnej madame Konik nie byłoby w ich biografii, nie musieliby wyczekiwać na jej listy, martwić się, wyda się czy się nie wyda za sąsiada, zdążą czy nie zdążą znaleźć dom. Wcale by się im do tego domu nie spieszyło, któżby myślał przedwcześnie o dożywociach, o emeryturach? O „tym wszystkim”?

Janowie dzieci nie mieli, nie chcąc czy nie mogąc mieć, ale lubili. Drugi mały bawiłby się na kocyku pod syjamską figą, a rok później już by łowił ryby w gardonie. Na czereśnie też by go się zabierało. Jan podsadzałby go do gałęzi, sadzał na grubszym konarze jak na koniu. Dzieci to uwielbiają. A w samochodzie siedziałby z tyłu i nie trzeba by mu było żadnego kanarka w klatce do towarzystwa. Gdyby nawet nudził się i wiercił, droga dla dzieci zawsze jest za długa, nie biliby go za to po twarzy.

Podczas czereśniobrania Maria przydzielałaby mu małutki kocyk, na miarę, żeby miał satysfakcję i pierwszy go napełnił. Dzieci lubią wygrywać wyścigi. Oprócz butelki z niekrzywdzącym winem pamiętałaby o jakimś soku. Czerwonym. *Krasne!*

Oczywiście, brałby udział w świętach w Saint-Jean, i tym patronalnym, i czternastolipcowym. Kręciłby się wśród tańczących, lizał lizaki, podjadał blino-chrusty. A w drodze powrotnej, zmęczony, zasypiałby pewno z miejsca, kamieniem, na tylnym siedzeniu, z głową na kolanach Marii.

Maria by go pokochała. Jan też. Nauczyłby go dąć w muszlę. Robić marynarskie węzły. Uczestniczyć w obrządzaniu krowy. Z czasem jego to funkcją — dzieci uwielbiają funkcje, misje — byłoby bieganie do źródła, po wodę. Mógłby sam. Nic by mu tutaj nie groziło. Tu ludzie dobrzy. Zresztą w mieście też pozwalaliby mu samemu biegać po rogaliki na śniadanie. Byłaby zawsze świeża woda na stole, pod winoroślą i świeże rogaliki na stole, w mieście. I zadyszany, mały posłaniec, szczęśliwy że się wywiązał z poruczonego mu zadania.

Anioł znaczy posłaniec, etymologicznie. Lepiej z małymi mieć do czynienia niż z dużymi, przez duże A.

No i chodziłby na ryby z Janem.

Nie, to nie z Janem chadza się, chadzało się na ryby, przecież to z Konikiem. Wszystko im się myliło. Gdyby taki drugi mały był im posłany na pociechę, po wycofaniu pierwszego, nie mieliby okazji poznać żadnego Konika. Nawet by nie wiedzieli, że taki Konik istniał, że sobie siedział nad rzeką, że oni przy nim mogli byli siadywać, na pociechę. I że już go nie ma.

Daleko do brzegu tej nocy, łożę ich, łożę tkwi w miejscu. O czym by tu jeszcze sobie pomyśleć, dla zabicia czasu, który stoi? Więć dalej, tym samym tokiem co by, gdyby. Czemu nie? Picasso z Nîmes chrupałaby portrety ich syna na różnych „tłach”. Mniej lub więcej udane i z roku na rok inne. Bo on by się zmieniał, on by rósł. Wieża Cezara w interpretacjach Picassa też się zmieniała, raz bardziej ruinowata, to znowu cudem

podklepana, raz realistyczna, raz nadrealistyczna, albo zgoła fantastyczna. W nauczycielce rysunków z Nîmes budził się jednego dnia Picasso, nazajutrz Viollet le Duc, konserwator zaniedbanych zabytków. Nieważne. I tak wszyscy wiedzieli że pozuje jej wieża Cezara. Zresztą małemu robiliby przecież fotografie. A dlaczego by nie mieli kupić kamery i filmować go, z amatorską i rodzicielską niezręcznością?

Emerycy stanowili niewiadomą. Źle by może trawili nieuchronne bieganie wkoło stołu, hałasy, porozrzucane zabawki, baliby się, że mogą się o nie potknąć, niedowidząc, szurając kapciami, i połamać skruszałe kości miednicowe. No, to by najwyżej przestali przyjeżdżać. Jeszcze lepiej. W sam raz pokój dla małego.

A morze? Okazałoby się wspaniałą rzeczą, że jest tak blisko. Któżby hamował, zawracał, ledwo błysnie w szczelinie gór? Przeciwnie, zakładaliby się kto pierwszy je dostrzeże. Udawaliby że nie widzą, mały wciąż by wygrywał, wciąż pierwszy by krzyczał: morze!, jak się krzyczy: berek! i wygrywa. Dzieci uwielbiają wygrywać. Wyjeżdżaliby we trójkę, na cały dzień. Maria by im przygotowywała koszyk z prowiantem. Zaczęłoby się od babek z piasku, od łopatki i od wiaderka. Szybko nauczyłyby się pływać. Dzieci są jak małe foki. Dłużej wytrzymują w wodzie niż rodzice. Pilnowaliby z brzegu, żeby go aby nie zakryła, nie zabrała któraś z fal.

Kiedyś, za pierwszych, przypadłych czasów, gdy dopiero zaczęło im się śnić o własnym dziecku, uratowali takiego niedoszedłego topielca. Morze było gniewne, jak to się i Śródziemnemu często zdarza, udawało srogi Ocean. Fale stawały dęba i, łałamując się, wycofując wsysały się jedna pod drugą z pogrózkami, z neptunowym mlaskiem. O kąpieli mowy nie było, a że słońce nie brało udziału w burzy na morzu i grzało według swego letniego rozkładu, siedli na szarym tutaj piasku. Bawiło ich, że morze rozpędza się by ich połknąć, a najwyżej może spryskać.

Tylko dzięki kiełkującemu już w nich pragnieniu zwrócili w porę uwagę na matkę, która szła brzegiem, nie po piachu plaży, ale już po kostki w wodzie. Pewno wyczytała gdzieś, że to doskonały masaż. Dziecko trzymało oburącz olbrzymią piłkę. Wyglądali oboje na zeszlą z któregoś z kościelnych malowideł parę: Matka trzymająca w ramionach Dzieciątko, które z kolei trzyma w rękach ziemską piłkę. Świat.

Nawet sobie to porównanie półgłosem powtórzyli. Wtedy więcej, łatwiej ze sobą rozmawiali.

Nagle jedna z większych, bardziej zbuntowanych fal zagarnęła matkę po pas, brutalnie. Zachwiała się. Dziecko wypuściło

świat. Zaś matka wypuściła z rąk dziecko. Żeby ratować piłkę. Zgłupiała! W jednej sekundzie fala zagarnęła mały łup i mignęły dwie różowe pięty wysane przez morze.

Skoczyli oboje. To się stało, chwala Bogu, tuż przed nimi. W ostatnim momencie przychwycił już znikające pięty. Ona uratowała piłkę.

Oddali matce jedno i drugie. Poszła dalej, unosząc odzyskany skarb. Coś tam bąknęła w podziękowaniu. Nawet się nie zdążyła przestraszyć. I wcale nie zesłała na bezpieczny pas plaży, tylko dalej brnęła w morzu, chlupiącym, cofającym się dla nabrania rozpędu, chlaszczącym każdą falą. Wspaniały masażysta.

Oni by nigdy tak... Nigdy by nie ryzykowali. Oni by pilnowali. Upilnowaliby drugiego małego.

Łatwo krytykować. A pierwszego, czy upilnowali? Podczas gdy tamta matka, smarkata idiotka, swoje dziecko z pewnością odchowała bez problemów. Nie zaniedbując własnej linii. Już jest duże i chodzi do szkoły.

Znowu te myśli, bełkocące, podskórne, na modłę gardonów, które tutaj znikają nagle z powierzchni, cwałują tajnymi korytami, formują po drodze stalaktyty, stalagmity w panińskich grotach, kropla po kropli, tysiącleciami. Zasilają podskórne jeziora. Wanny dla Panien. Nimfy lubią nocne kąpiele, nie zależy im na opaleniznie. I znowu, w nieoczekiwanym miejscu, te gardony, czasem już podroste, już duże, przebijają się na światło dzienne, wyskakują jak Abraham Mazel z wieży i po raz drugi tryskają nowym źródłem, z boku innej góry, gdzie indziej.

Cała tutaj okolica, świat pod ich stopami, pod domem za skałą, pod łóżem Janów, w którym teraz sen ich się nie ima, zbudowany był na podziemnej sieci nocnych gardonów. Rzeki potrafiły ujawniać się o kilometry od swych oficjalnych początków, po zakonspirowanej galopadzie, po przewierceniu górskich masywów na wylot.

Taka na przykład rzeka Bonheur, czyli Szczęście. Tryskała normalnym źródłem pod górą Aigoual i szybko spływała w należną sobie dolinę. A potem, wessana przez ziemię, porwana w Hadesy, przepadała. Bez śladu. Była, a nie było jej. Z równą nagłością kończyła się jej podziemna deportacja. Dojrzała po drodze, wzbogacona w inne gardony, w wodę, spadała na wolność kaskadą, którą tutejsi trafną metaforą mianowali „alkową”, czyli łóżem, w języku trubadurów łóżem miłosnym. A tryskała z takim triumfalnym rozpędem, że trzeba było krzyknąć aby dojść do słowa wobec jej rozpiętej ekstazy. Rzeka Szczęście po raz drugi rodziła się w Alkowie.

Tak było z ich małym. Z ich szczęściem. Coś wessało go pod powierzchnię życia. Tyle że w jego wypadku żadnej alkowy, żadnej nadziei na rezurekcję, na rezurekcję. Czy pod jego czaszką coś płynie meandrami mózgu, myśl jakaś czy szuka ujścia i darmo o mury się objaja? Czy też wszystko bez reszty wessane w Hadesy? Czyli w nic.

Nie zdawała sobie sprawy, że od pewnego momentu myśli jej się i milczy samotnie. Już tylko jej para oczu otwarta była — odkąd? — na prostokąt okna, w którym, jednak, coś się działo, zaczynało szarzyć, dnieć. Odkąd, leżący w figowym z nią, syjamskim splecieniu, zesunął się sam pod powierzchnię snu?

Dopiero kiedy krzyknął, zrozumiała że coś mu się śni, więc że spał.

Potrząsnęła go za ramię. To nie był krzyk tylko pisk człowieczo-mysi, z pałapki koszmaru. Nie głośny, ale przeraźliwy. Dziś nie wolno krzyczeć w tym domu!

— Co tobie? Coś ci się przyśniło?

Siadł, przetarł oczy, przetarł czoło. Jak po południu, za kierownicą.

— Nie wiem. No, wiem. Pamiętam. Potem ci opowiem.

I zaraz zasnął z powrotem, ale już spokojnie, jak dziecko. Do białego rana czuwała nad jego snem, sama, na brzegu swojej jawy.

## XX

— Więc co to było? — zapytała na którymś kilometrze, gdy jagodowe grzbiety zamajaczyły jeszcze raz na przełęczy i zaraz zasłoniły je inne góry, o innym profilu, innej metryce i rasie, przez świerki już, a nie przez kasztanowce porośle.

— A wiesz, że przypominam sobie. Dokładnie. To dziwne, na ogół sny się zamazują. A ten pamiętam. Jak coś, co by mi się przydarzyło w rzeczywistości. Jechaliśmy naszym samochodem, zupełnie jak w tej chwili. Jakby na czereśnie, ale właściwie do domu. Ty siedziałas obok mnie, jak siedzisz. Ale ty bylas i ty i Maria. Byłyście obie. Wiesz, taka senna wieloznaczność. Wyjeżdżam zza skały, przystaję, jak to zawsze robię, sama wiesz, bo tam jest znak stop i w ogóle niebezpiecznie, ktoś

korzysta, otwiera drzwiczki i wpycha się do samochodu obok ciebie, obok Marii. Tak że robi nam się ciasno. Ten ktoś też jest złożony z kilku osób. Ma brodę. Więc i pasterz od majtek i Niemiec, wiesz, z tej czwórki narkomanów i wnuk Durand. I jakby sąsiad Konikowej, choć on brody nie nosi. Wszyscy w jednej osobie tego pasażera. Który czekał. Jak to we śnie, zrozumiałem, że oni tu na nas czekali. Zasadzka. Wiedzieli, że muszę przystanąć, otworzyli drzwiczki, i... *A propos*, czy je zablokowałaś?

Sprawdziła. Zablokowane.

— No, autostopowicz. Chciałem się zapytać którędy chce jechać bo my skręcamy na Paryż, ale wiesz, jak to we śnie, niczego nie mogłem wykrztusić. Bo z miejsca zacząłem go się bać. I tak prowadząc, w tym strachu, nagle czuję, że ty, czyli ty i Maria, jakoś za bardzo przyciskasz się do mnie, dosłownie mnie przygniatasz. Też ze strachu. Bo on wyciągnął nóż spod swetra. Tak! apaszowski, sprężynowy. Jeszcze ten nóż widzę. I we śnie nie wiem, czy on ciebie tym nożem już przebił, czy dopiero zaraz to zrobi. Dosłownie mam w rękach ten moment ze snu: puszczam kierownicę...

Tu pokazał nawet, jak to zrobił we śnie, puścił kierownicę, droga była na szczęście prosta i trwało to sekundę.

— Puszczam więc kierownicę i samochód przestaje mnie słuchać, lecimy w przepaść, wytryska sprężynowe ostrze, jeszcze nie w twoich i Marii plecach, a już zakrwawione, a ja krzyczę, krzyczę i wy krzyczycie i on też, ten autostopowicz, wiesz, tak krzyczymy, a nie krzyczymy, dławimy się i nie wiem, czy prosto- wać kierownicę, ale samochód już i tak spada w przepaść, czy ciebie podtrzymać, czy jego łapać za rękę, odebrać mu ten nóż, ale i tak nic nie mogę, jestem sparaliżowany, wiesz, jak to we śnie.

— No i wtedy chyba naprawdę krzyczałem. Obudziłem cię i pewno cały dom. Przepraszam.

— Ja i tak nie spałam. A ty nie krzyczałeś, tylko piszczałeś jak przydeptana mysz. I zaraz zasnąłeś z powrotem, ale już spokojnie. Ale koszmar!

Zamilkli. Skoncentrował się na prowadzeniu, skruszony nie tyle owym, nie tak znowu, jak się okazało, alarmującym krzykiem, co zapadnięciem się późniejszym w sen sprawiedliwego, gdy ona nie zmrużyła oka do rana. No, przydał się, choć jedna osoba jako tako wyspana i przytomna w domu za skałą, od rana.

Opowiedział jej swój koszmar bez oporów, z gadatliwą jak

na niego obfitością szczegółów, w chwili gdy Seweny na dobre pozostały za nimi. Do tej pory nie zamienili ani słowa. Brak chęci, czy brak odwagi by głośno nazwać „to wszystko”, co stało się w domu Janów, od ich przyjazdu na urlop i od czego co chwilę, co kilometr są dalej, od czego dzielą ich coraz nowe łańcuchy. Dienne i nocne koszmary małały, przykucały za każdą przebytą przełęczą, małe pagórki zasłaniają Aigouale.

Już się przez najgorsze przebili. Przez grzebień rozczesujący na dwa przeciwne boki prądy wiatrów i wód. Odtąd rzeki i potoki, już nie gardony, wszystkie będą ciężły, dążyły w stronę Oceanu nie wahając się, jak pod Aigoualem, czy nie lepiej by im było połączyć się na zawsze ze Śródziemnym. Rybna rzeka Konika już u źródła wiedziała, że nie ma wyboru i że wcześniej czy później wpadnie do Kanału.

Ich droga, kręcąc się i rozkręcając, z równym wodzie fatalizmem zsuwała się w doliny, w stronę Paryża, w stronę ich miejskiego mieszkania. Tym razem tylko etapu, gdyż właściwym celem ich podróży jest ferma Konikowej. Nawet po niebie widać było od pewnego momentu owo przesunięcie się na stronę innego „wszystkiego”, niebieskość w innym odcieniu, lotność inaczej zrobionych obłoków. Które gęstniały, z mlecznych przeobrażały się w bure i wcale by się nie zdziwili gdyby do Paryża zajechali w deszcz.

U Koników często padało, nawet w lecie. Stąd zdrowa soczystość tamtejszej zieleni, bujność mlecznych pastwisk, urodzajność pól. Ziemia dobra, ale gdy jej czasem zdarzy się suche lato, nie wie co robić, zaraz pęka z pragnienia, nie umiejąc sobie poradzić, rozpieszczone dziecko. Rzeki tam płyną na piechotę, nie spiesząc się, stateczne perszerony, nie araby, żadne galopy im nie w głowie, żadnych murów przebijać nie muszą, nie śnią im się żadne pieczary, łoża, alkowy, żadne podziemia. Regularne. Uregulowane. Tłuste, wodne krowy.

Im za to spieszyło się. Pojutrze ślub madame Konik. Zależało im, żeby zdążyć na jej ślub. Nie dlatego, że ich niby zaprosiła. Z zaadresowanej i ofrankowanej przez nich koperty wypadł pompatycznie zredagowany kartonik. Wysłany wyraźnie tak, żeby przyszedł nie całkiem za późno, ale broń Boże nie za wcześniej. Żeby nie mieli powodu obrazić się, no bo jednak, ale i szans, żeby zeń skorzystać. Z dnia na dzień przygalopować, przerywając sobie wakacje.

Z pewnością ich się nie spodziewa. Mogła była przecież już nie to że zaprosić ich, ale zwyczajnie zawiadomić. Ustnie. Ślubne projekty musiały być gotowe już wtedy, gdy byli u niej

z ostatnią, przedwyjazdową wizytą, gdy syn ich leżał w gorączce. Już była ustalona data, załatwione formalności, zredagowany i oddany do druku kartonik. To było w niedzielę, ostatnią. No, a w środę, gdy telefonowała by z taką energią odmawiać ich od wstępowania do niej przed wyjazdem? Może małemu było rzeczywiście lepiej, głównym powodem było jednak to, że tam się już pewnie przygotowywały różne ślubne sprawy i madame Konik nie życzyła sobie, żeby coś im wpadło w oko.

Dziwne, wszystko razem. Niepokojące. Nic przecież nie mieli do powiedzenia, w sprawie tak ściśle osobistej. Byli klientami, nic więcej, nic mniej. Płacili za małego ile zażądała, na podstawie umowy, plus dodatki. Madame Konik była dorosłą kobietą, żadnych sugestii ani rad od obcych ludzi słuchać nie musiała. Znała ich dostatecznie by wiedzieć, że do niczego wtrącać się nie będą. Z pewnością wyczuła, że sąsiad nie cieszy się ich sympatią, ale to ich rzecz. Jej rzecz, że go lubi, jej prawo. Może kiedyś okazali, że bardziej od niej wierni są pamięci Konika? Ale kiedy, jak? O Koniku dużo mowy nigdy nie było, ani za jego życia, ani po jego śmierci.

Sąsiad. Tak, sąsiad z pewnością nie był im przychylny. To on nie życzył sobie ich obecności na ślubie. Może w ogóle nie chciał, by zawiadamiąta klientów? Właściwie jego prawo. Może Konikowa wsunęła kartonik do gotowej koperty w sekrecie przed pojutrzejszym mężem? Z wyrachowania? Albo przez jakiś odruch, jednak, sympatii? A także, by drogą pocztową, gotowym druczkiem postawić ich przed faktem dokonany, który przez resztę urlopu uleży się, zdezaktualizuje i zaoszczędzi jej potem, jesienią, kłopotliwych wyjaśnień?

Prowadził nerwowo, szybko, na granicy nieostrożności, aż mu parę razy musiała zwrócić uwagę. Szybkość jest ograniczona przepisami, trzeba uważać nie tylko ze względu na bezpieczeństwo, ale i na przyczajoną za łada zakretem policję drogową. Kara to nic, ale mogą odebrać prawo jazdy. Z miejsca. Głupio byłoby utknąć gdzieś i nie móc się ruszyć teraz, gdy każda godzina droga.

— Uważaj! — powtórzyła, gdy znowu opony mysio zapisać.

Poskutkowało na jakiś czas. Zapaliła mu papierosa. Zdążą. Nie ma co rozwijać aż takiego tempa. Spory szmat drogi już ujechali. Nocować będą u siebie. A cały jutrzejszy dzień mają na zakupienie ślubnego prezentu dla madame Konik. Jak się będzie odtąd nazywała? Wypisane na kartoniku, zapomnieli. Nie chciało jej się tego wygrzebywać z torby.



Co jej kupić?

Jutro zobaczą. Co się zdarzy. W Paryżu, w pełni lata, połowa sklepów zamknięta. Pobiegną po mieście. Jutro.

Nowe Pomiędzy. Inne Pomiędzy niż to, w którym tkwili ruchomo wraz z Marią, wracając z czereśniowego sadu. Bagażnik tym razem dobrze zamknięty, żadnych w nim koszu z wystającymi pałakami, pustych czy pełnych robaczywych czereśni, żadnych pustych czy pełnych mleka baniek. Walizka i już. Autostopowiczów po drodze zabierać nie będą, choć sporo ich napotykali, brodatych i nie brodatych chłopców i dziewcząt, moknących.

Egoizm, może trochę i reminiscencje jego koszmaru. Przede wszystkim chcą być w samochodzie sami. Tylko na pozór był pusty, wolny. Ale aż za ciasno im było z tymi wszystkimi cieniami, żywych i umarłych autostopowiczów, rozpychających się, mniej lub więcej pożądanym pasażerów. W tym tłumie musieli być sami, musieli trzymać się razem we wspólnym milczeniu, dzieląc napór niewidzialnych obecności, wymuszających na nich od czasu do czasu ujawnienie się słowem, zdaniem, a — co było dla nich rzadkością — czasem całą kaskadą zdań, nagłą rezuregencją, jak rzeka Szczęście.

Też nazwa dla rzeki!

Maria ani się nie zdziwiła, ani nie okazała żalu czy rozczarowania, gdy zaraz po otwarciu koperty przywiezionej rankiem przez listonosza, oświadczyli, że wyjeżdżają nazajutrz skoro świt. Choć jeszcze im została większa część urlopu. Chciała im za ten nie skonsumowany do końca pobyt odliczyć. Ale nie opierała się, gdy uregulował za całość. Z braku sił na takie niewspółmierne targowanie się? Raczej bo jej po prostu były potrzebne pieniądze. Przyjęła nie sprawdzając. To nie miało znaczenia. Okazując im jeszcze i w ten sposób, że uważa ich za przyjaciół, nie tylko za pensjonariuszy. Z emerytami i z Picasso rozliczanie odbyło się skrupulatnie, co do dnia i co do spożytego lub nie posiłku.

Emeryci wybyli zaraz po pogrzebie Jana, szepcząc wszem wobec tubalnym szeptem głuchych, tak że Maria musiała to z kuchni słyszeć, że za nic nie zostaną w domu wisielca. To im psuje apetyt. Wolą już wrócić do siebie, do rozpalonego piekłem lata Montpellier. Zaś Picasso paskudnie zdradziła. Z analogicznych zapewne powodów. Nie wróciła do bardziej jeszcze piekielnego Nîmes, tylko przeniosła chyłkiem manatki, szkicowniki do sąsiadów. Może akurat tych, którzy?... Zdążyli parę

razy dostrzec chudego, o słomianym kapeluszu grzyba sunącego tymi samymi plenerowymi szlakami, o tych samych porach, w poszukiwaniu nowego rzutu oka na starą wieżę Cezara.

Nawet woleli. I Maria wołała z pewnością, choć to była dla niej klęska finansowa. We trójkę było im źlej.

Maria była zmęczona. Martwili się o nią. Była jednym z niewidzialnych pasażerów w ich samochodzie, ważnym, z tych najważniejszych. Siedziała na tylnym siedzeniu, po swojemu czujnie milcząca. Nawet bez drażącego ją od wewnątrz zła, to wszystko co się działo od chwili kiedy wbiegłszy do komórki przy strychu krzyknęła: Jean! — przerosło nagle jej siły. Każdego by przerosło. Odcinanie, układanie jeszcze ciepłego na wyrku, formalności, tłumy ciekawskich, szepczących, komentujących. Pogrzeb. Najazd krewnych, im dalszych tym liczniejszych, głównie krewnych Jana i pierwszej Marii, gdyż od drugiej strony więcej jako konarów rodzinnego drzewa poschło i odpadło, ich niby z nią, ale już jakby poza nią, ponad jej głową narady, ich taksujące, myskujące spojrzenia, co czyje, co po kim, co ile warte i co się komu „należy”.

Okazało się, że jak dom za skałą zegar także był po pierwszej żonie Jana.

Maria była więc jeszcze, ale już jakby jej nie było. Pilnowana, jak podejrzanej konduity służąca, czy aby czego nie wyniesie — może już wyniosła? — krzywdząc spadkobierców zabitej. Więc sprawdźmy jeszcze raz: zegar stoi. Domu nie ruszy. Ale poza tym, co kto tutaj wniósł? Co po pierwszej, co po drugiej Marii? Czyja właściwie krowa? Druga Maria ma niby prawo zostać tu na dożywocie, ale czy zostanie? O jej chorobie nikt nie wiedział, ale jakby coś węszyli.

Gdyby tak wiedzieli, że ona jednak zdążyła coś im ukraść, przed ich najazdem skryć! Co też było warte parę groszy!

Oni zauważyli od razu, że nazajutrz po śmierci Jana muszla zniknęła. Posądzali nawet trochę Picassa. A to była Maria! Może już pierwszej, wielkopiątkowej nocy zobaczyła po ciemku bielejącą skorupę i wiedząc z góry, co tutaj się rozpęta, schowała ją do jakiejś sobie wiadomej skrytki. Nie, Picasso jednak do tego by się nie posunęła. Domyślili się, że to ona, przypuszczali że tę niewątpliwą własność Jana, więc część należnej spadkobiercom schedy, zapragnęła zatrzymać dla siebie, na pamiątkę wspólnego życia, symbol obiadowych i kolacyjnych zwotywań pensjonariuszy. Aprobowali po cichu.

Tymczasem muszla Jana leży w torbie podróżnej, wciśnięta im przez Marię w ostatnim momencie. Bieleje, bo nie dało się zamknąć suwaka. Muszla olbrzym. Szumi w sobie zapewne jak zwykła, ale warkot silnika stłumiłby to, nawet gdyby ją przyłożył do ucha.

Tę drobną nieuczciwość Maria popełniła nie dla siebie, lecz dla nich. Wyniosła im muszlę w momencie wyjazdu, przed skałą. Zaledwie dniało.

Wzruszył ich dar i jego okoliczności. Cenniejszej pamiątki po Janie spodziewać się nie mogli. A równocześnie jakoś ich to zaniepokoiło. Zły znak?

Muszla białała jak czaszka olbrzyma. Coś wapiennego, coś twardego, wszystko co pozostało po zamieszkującym ją przed milionami lat miękkim życiu. Życie jest miękkie. Życie to miąższ. Życie obrasta wokół kości. Albo swoją miękkość w nią opancerza, gdy przeznaczone mu stać się skorupiakiem. A potem odpada od kości. Albo ją opuszcza. Coś je wyżera. Zostaje wapno, szkielet, czaszka. Zostaje muszla.

I szumi, gdy ją sobie przyłożyć do ucha. Wzywa, gdy ktoś umie w nią tchnąć. Na obiad. Na pomoc. Na przestrożę?

W niektórych cały czas coś szumi. Wspomnienie, echo dawnego życia, wycofanych fal, wyschłych lub połkniętych przez hadesowy kataklizm mórz.

Ludzkie czaszki są puste. Można obliczyć epokę kiedy wypełniało je życie, nawet wiek, moment kiedy się wyniosło, w dzieciństwie czy w starości, i rozpoznać, czy śmierć była naturalna czy zadana. I czym. Kamieniem łupanym w okresie wojen między pieczarami, czy też za pomocą jakiejś bardziej udoskonalonej broni, na przykład kulą. Czy strzelano w tył czaszki, jak w Katyniu, czy też w czoło, jak pod domami Warszawy. Różne są systemy. Czasami są dwie kule, ta druga zwana kulą łaski. Byli tacy, którzy do niej się modlili: święta kulo! — bojąc się zbyt długiego umierania pod stosem trupów. Niedługo i czaszek trudno się będzie doszukać, miękkie i twarde życie można rozszepić na bratnie atomy. Któż rozróżni i po czym Abła i Kaina przyszłości, jakiego który był typu, jakiej rasy? Może i góry się porozłupują, podziemne królestwa z zamieszkującymi je Panami także rozlecą się na atomy, zaś morza wyludnią się nie tylko z pełnych ale i z pustych muszli. A czy oprą się morza? Całe jabłko ziemskie, robaczywe czy nie? Wytrąci się je z ręki Dzieciątka. Rozbije się na atomy Boga i to, czy On nas stworzył na swoje podobieństwo, czy my Jego, wyjdzie na jedno w ostateczności. Co nie zakłóci spokoju spiralom innych Mlecz-

nych Dróg. Bylebyśmy nie zdążyli i tam wystać przedtem jakichś sond i nie zarazili kosmosu. Na nasze podobieństwo.

Tak więc razem z widoczkim wieży Cezara, po Picassie, ze łzawnicą, zardzewiałym kluczem i dziurkowaną patelnią do prażenia kasztanowców, muszla będzie pamiątką po Janie, po Marii, po domu za skałą. Jej miejsce, odtąd w ex-skrytce, w ich barowej niszy.

Spróbują przyłożyć tę muszlę do ucha małemu. Może usłyszcy. Może będzie słuchał. Podziała nań uspokajająco, zawsze to jednak muzyka. I w ten sposób podziela się z nim na tyle, na ile to im i jemu dostępne, szumem wspomnień po domu za skałą. Który o mało co nie stał się ich — więc i jego — domem.

Tylko czy można dzielić się wspomnieniami, z kimkolwiek? Nawet wspólnie spędzanych lat, nocy i dni? Na przykład w nocy po śmierci Jana byli razem, myśleli i milczeli razem. A potem okazało się, że on śpi, gdy ona sama czuwa i że miał swój własny koszmar, który jej teraz dopiero, po drodze, opowiedział. Czy wszystko jej opowiedział, wszystko zapamiętał i potrafił oddać słowami, a ona, słuchając go, czy wszystko zrozumiała, odczuła i podzieliła? Śnił o niej, ale sam, i sam to przeżywał. Leżąc obok niego z otwartymi oczami nie wiedziała, że w jego śnie jest przy nim, tak jak teraz, w samochodzie, ale przemieszana z Marią.

Czy naprawdę wszystko dzielili, więcej milcząc, mniej mówiąc, dwie ryby zamknięte w tym samym akwariu? Dom paryski, dom za skałą i ten wspólnie poszukiwany, czy są, we śnie i na jawie, całkiem wspólnie zamieszkiwane? Jednakowo urządzone?

Teraz... Gdzie będzie i jaki będzie teraz ich dom, po ślubie Konikowej? Co ten ślub odmieni? Co zamierza madame *secundo voto* Konik? To znaczy, co zrobi z dziećmi? Czy będzie kontynuować ich hodowlę?

Chociażby na czas samego ślubu? Na czas pogrzebu Konika zaopiekował się dziećmi uprzejmy sąsiad. Ale pojutrze? Część trzódki zabiorą pewno na merostwo, do kościoła, odświętnie wypucowaną, pokazowo grzeczną po uprzednich, energicznych przykazach i zakazach. Ale ich syn nie wchodzi w rachubę ani jako družba, ani jako świadek.

Muszą zdążyć, muszą tam zdążyć, chociażby po to, żeby przy nim być na czas ślubnych ceremonii. Żeby sobie posiedziały w krzeselku, a nie przeleżały wszystkiego w łóżku, za zamkniętymi drzwiami, unieszkodliwiony pomnożoną dawką narkotyków.

Nie będą mu się nasuwać na oczy. Niby nie widzące, nie patrzące, skoro tylko na dłużej tkwili w ich zasięgu, coś niechcący prowokowali, złą rezurgencję. Oni go drażnili. Niby nie

odróżniał ludzi od przedmiotów, ale ich jakby jeszcze dodatkowo nie chciał, coś w nim rozróżniało że to oni, którzyś ze zmysłów sygnalizował mu ich obecność, wzrok, węch czy słuch. On ich nie chciał mieć.

Więc co ich czeka, pojutrze, podczas ślubu i potem? Co im powie Konikowa, co powie sąsiad, jak mu tam, drugi Konik, już nie sąsiad ale pan i władca fermy?

Że mają zaraz zabierać małego?

Co wtedy?

Nie byli w stanie tego sobie wyobrazić. Pokój jest wolny. Jest łóżko. Ona może ostatecznie zrezygnować z posady, ale co z tego? Materialnie wielkiej różnicy w ich budżecie to by nie zrobiło, i tak jedna z pensji idzie na madame Konik. On może ciągnąć sam, do emerytury. Która jej jednak wypadnie mniejsza, niedosłużona. Jego cały dzień nie będzie w domu, ale ona? A nawet on, do czego będzie wracał wieczorami, zmęczony? Niedziele, te ich wolne trzy niedziele w miesiącu, spędzane w szlafrokach, przy telewizji, przy biblijno-talmudystycznej lekturze? Jak spędzać cztery wolne niedziele na miesiąc we trójkę? Każdy z sześciu dni tygodnia, we dwójkę? Z małym? Skąd siła, fizyczna choćby siła, żeby sprowadzać go i wprowadzać po stromych schodach ich starego domu, takich krętych i wąskich? Bo przecież musi zażyć od czasu do czasu „świeżego powietrza”. Uśpionemu proszkami będą płatać się nogi, a trzeźwy... Bali się trzeźwego, zwyczajnie bali się syna, już nie dla siebie, a dla przechodniów. Jeszcze wpadnie pod jakie auto...

Najprawdopodobniej pokój obróciłby się w celę. Dożywotnią. A dla nich całe mieszkanie w więzieniu. Dożywotnie. Jak długi wyrok i kto go wykona?

Nie, nie zamienią się z nimi za żadne skarby szczęśliwi rodzice człowieka-wołu, ani chłopca z mostu. Nie mówiąc o jeszcze szczęśliwszych rodzicach poczytiona, którzy już pewno spoczywają w spokoju, sądząc po jego wieku i po jego widocznym, ostatnio, zaniedbaniu.

Bo jeszcze był i poczytion w ich dzielnicy. Przypomniał im się do kompletu, teraz. Ubrany w surdut do kolan, buty ze sztyłpami, kapelusz jak z Balzaka. Gdy go pierwszy raz napotkali, biegł żwawo, uderzając szpicrutą po lśniących cholewach. Malowniczy nawet, sympatyczny dziwak. Z tych, co to się uważają nie za Napoleonów, lecz za jednego z Trzech Muszkieterów, nie wadząc nikomu. Lata mijały i oto przygarbił się, posiwiałe włosy spadały mu na ramiona brudnymi strąkami, wyglądał jak własny

pradziadek. Najlepiej trzymały się jego buty, wspaniałe buty pocztylionowe czy grenadierskie, dobra fabrykacja sprzed którejś z wojen. Nadal biegł, spiesząc z jakąś misją, na randkę czy na pojedynek, wciąż sam siebie szpicrutą dopingował, ale przez ulice przechodził na światłach, chociaż te w epoce, którą sobie wybrał, nie istniały.

Sylwetka pocztyliona stanowiła część fokloru ich dzielnicy. Mieli czasem ochotę pobiec w jego ślady. Skąd i dokąd tak mu się spieszyło, najpierw z młodym rozmachem, potem z coraz bardziej widoczną zadyszką? A zwłaszcza, dokąd wraca? Do kogo? Jego rodzicom nie udało się go przeżyć, ale ktoś musiał dawać mu jeść, o czyszczenie butów już nie dbając, gdzieś musiał spać?

— Więc on jeszcze żyje!... — myśleli za każdym razem, odprowadzając wzrokiem przebranego staruszka. Do tropienia go nigdy jakoś nie doszło.

Czy jeszcze żyje? Wątpliwe, na zbyt długo zniknął ze swej pocztylionowej trasy. Ale to nie jest wystarczającym dowodem jego zwolnienia. Zniknął z ulic Marais, bo gdzieś go przymknęli w neo-Bastylii i trzymają, choć nieszkodliwy, do całkowitej śmierci.

Na razie nie ma mowy o spacerach śladami pocztyliona. Na razie byli Pomiędzy. Zepchnąć te wszystkie myśli w głąb, nie dopuszczać do ich natrętnych, chaotycznych rezurencji! Rzeka Nieszczęście, ich prywatna rzeka, wytrysła jednej nocy krzykiem małego, a teraz płynie pod ziemią, pod kołami ich samochodu. Jej bieg poślubił ściśle bieg szosy, każdy zakręt jak w lustrze małpuje od spodu. Ona ich nie zwolni ani na chwilę, nie oddali się na milimetr. Przynajmniej nie mówić. Niech przynajmniej w słowach nie wydostaje się na powierzchnię. Nieuchronna rezurencja nastąpi, na to nie ma rady. Ale dopiero pojutrze.

Pojutrze zobaczą. Może nie będzie aż tak źle. Drugi Konik nie zażąda może aby tak z dnia na dzień dom, jego odtąd dom, opróżnił się z nieudanych dzieci.

Może już zrobił Konikowej dziecko? Stąd taki gwałt ze ślubem?

Administracyjnie eksmisja w przyspieszonym trybie była chyba niemożliwa. Madame Konik musiała podpisywać jakieś kontrakty z Opieką Społeczną, obowiązują ją klauzule, terminy. Nie ma się prawa zrywać nagle umowy, ponieważ wychodzi się za męża.

Tak, ale... Oni nie byli Opieką Społeczną, ani Administracją. Mały nie był sierotą ani podrzutkiem, niestety. I choć część czynszu należnego Konikowej zwracała im Ubezpieczalnia, a tro-

chę schodziło im nawet z podatków, właściwie Konikowa mogłaby go im zwrócić w każdej chwili. Nawet zaraz po ślubie. Czyli pojutrze. Nie będą się z nią procesowali...

Inaczej wyobrażali sobie powrót z tych wakacji. To miał być powrót świeżo upieczonych właścicieli któregoś z domów, czemu nie tego pod trzema cedrami? Jan obiecał czuwać...

A tak mało brakowało, by wracali jako właściciele domu za skałą.

Brzydka antycypacja, natychmiast ukarana. Sięgnięcie ręką po coś nie przeznaczonego.

Ukarani, wygnani, wracali oto w ogóle bez domu. Zawieszeni w powietrzu, bardziej niż kiedykolwiek bezdomni. O jakimkolwiek domu, nawet o wakacjach na przyszły rok, nie ma mowy. Wątpliwe, czy kiedykolwiek tam powrócą. Do kogo? Wyidealizowawszy je sobie, stracili do tamtych stron serce.

Zaś miejskie mieszkanie przestanie być domem z chwilą, gdy w pokoju obok będzie leżał w łóżku czy siedział w krzeselku ich syn. Krzycząc, czy akurat nie krzycząc. Będąc. Też wygnaniec. Z Konikowego raj.

Zaczęło kropić. Puścił w ruch wycieraczkę. Szyba była pokryta pyłem, może jeszcze tym zza skały, może tym z wyprawy po czereśnie. Wycieraczki zamazywały ją zamiast czyścić i na moment wszystko zaszło rudym bielmem, prowadził na ślepo, zanim deszcz pomógł wycieraczkom splukać szybę. Znowu mogli widzieć którądy ich droga wiedzie.

Koło jeziora. Nagle otwarło się obok oko jeziora, zielone od okalających je świerków, nieco jaśniej zielone tam, gdzie rosły modrzewie. Tyle jej było i tak różnorodnej zieleni, że w oku jeziora zabrakło miejsca na niebo. Wcale nie lazurowe zresztą tutaj, teraz, lecz bure, nabrzmiące deszczem, który czasem przestawał, a czasem zacinął, bębniąc w blachę karoserii.

Wycieraczki zdwoiły gorliwość, zmiatały potop z szyby jak dwa zezujące wahadła.

Nie będzie chyba miała pogody na swój ślub wdowa Konik. W jakiej wystąpi sukni? Oczywiście nie w czarnej, ale w białej też chyba nie. Że z dużym dekoltem, to pewne.

Czym ją obłaskawić? To nie prezent, tylko łapówka, za odroczenie. Coś nie tylko dla niej, ale zarazem i dla sąsiada. Głowili się, niczego nie mogli wymyślić. Jutro pobiegają po sklepach. Coś się trafi.

Wyjątkowo nie wieźli tym razem żadnego prezentu dla córeczki stróżów. To głupstwo. Gdzieś, przy jakiejś stacji benzy-

nowej, będzie sklepik dla turystów, dla automobilistów. Torbę cukierków i już. Ona lubi. W zeszłym roku przywieźli jej piłkę. Nic oryginalnego, takie piłki można kupić nie ruszając się z Paryża. Ale ona zawsze wyczekiwała, że jej coś przywiozą z podróży. Wszystko przyjmowała z zachwytem.

Szkoda, że nie pomyśleli zawczasu. Mogliby jej na przykład kupić lalkę, stamtąd. Były takie, w dość wątpliwie regionalnych strojach. Lalką by się bardziej ucieszyła. A może nie. Takich folklorystycznych lalek nie można rozbierać, ubierać, jak to lubią małe dziewczynki. Są dla ozdoby, dla dorosłych.

Więc dziś, jeśli zjadą i mała jeszcze nie będzie spała, wyjmą dla niej po prostu z torby cukierki, gdzieś zaraz po drodze nabyte. A jutro, biegając za prezentem ślubnym, kupią jej naguska. Tak, to dobra myśl. Takiego, któremu można dać klapsa, gdy niegrzeczny, a na noc rozebrać i położyć spać. Zamyka oczy. Jak dziecko. Kupią małej dziecko. Będzie się nazywało, że je przywieźli specjalnie dla niej.

Prawdziwym prezentem z wakacji, na które mała Jugosłowianka nigdy dotąd nie wyjeżdżała gdyż jej rodzice nie mogli sobie na to pozwolić, byłaby muszla po Janie. Słuchając jej, dowiedziałyby się jak szumi morze. Powiedzieliby jej pół żartem, że ono jest w środku, nie widać go, ale słyhać. Biegałyby po podwórku i nie odrywałyby od ucha muszli, wielkiej jak jej główka.

Ale tej muszli dziecku nie dadzą. Trudno, są egoistami. Są fetyszystami. Ta muszla to pamiątka. Jej miejsce w niszy, pod widoczkim na wieżę Cezara, gdzie figuruje na pierwszym planie, na murku werandy. Model.

Tak, są i byli egoistami. Zamknęło ich w podwójnej separacie nieszczęście. Bo właściwie dlaczego do tej pory nigdy im nie przyszło na myśl, żeby małą zabrać na lato do Janów? Emerycy niechby się krzywili, czy Picasso, ale Jan i Maria byłiby radzi. Zrywając czereśnie, wołałyby: *krasne!* Albo już: *rouge!* Zadziwiające, jej błyskawiczne chwytanie każdego słowa. Może po miesiącu takie tu szkoły nabrałyby sewenolskiego, twardego akcentu Jana, nie wymawiałyby tak spiczaście po parysku jak oni. Piłyby świeże mleko prosto od krowy. Opaliłyby się. Tyle, że czarne jej kudełki oparłyby się śródziemnej soli i w słońcu nie zbiałyby na platynowo, nabrałyby najwyżej miedzianych połysków. Jej obecność mogłaby odzarować dla nich morze. I usłyszałyby na własne uszy, nie za pośrednictwem muszli, jak szumi, posmakowałyby, że słońce. I nie po podwórku biegałyby za piłką, tylko po plaży.



Gdyby pomyśleli zabrać ją tego lata, uratowaliby Jana. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby w domu za skałą było małe dziecko. To pewne. Jugosłowiańska czarnulka samą swoją obecnością nie pozwoliłaby mu na taką ucieczkę. No i to by się z pewnością jakoś załatwiło, rozładowało. Przeżyłby i odebranie mu dostawy mleka — któż zresztą powiedział, że by mu ją odebrano? — i płamę na honorze. Zagoiłoby się, jak stopa.

Mały, dobry uczynek, który by się wszystkim sownie opłacił.

Stróż mogliby wprawdzie wysłać dziecko latem do rodziny. Czy to w Jugosławii brak morza? Pochodzili z nadbrzeżnej Dalmacji. Adriatyk piękniejszy od Śródziemnego, mniej popsuty. Ale im było żal pieniędzy na bilet. Ciułali na dom, oni także. Po to tu wyemigrowali i dlatego tak się w stróżówce gnieździli, bo i na lepsze mieszkanie było im żal. Co zarobił, to wysyłał bratu, który gdzieś tam, na dalmatyńskim wybrzeżu budował dom. Do spółki. Rodzinny. Oni mu wysyłali dewizy, on za to kupował co potrzeba, kopał pod fundamenty, murował. Podobno już podciągał pod dach. Więc jeszcze na dach, jeszcze na instalacje, a co dopiero meble! Póki co, oszczędzali na wszystkim, sami nie jeździli i małej nie puszczali, choć przecież ktoś z pobratymców mógłby ją tam ze sobą zabrać.

Oczywiście, gdyby stróż nie popijał, szybciej by doszło do dachu i do ich stałego tam powrotu. Nie chcieli zostać we Francji na całe życie. Jego sobotnie popijania nie musiały być jednak zbyt rujnujące. Więcej krzyczał, niż pił. Trochę bił. Ale się kochali. Musiał zalewać swojego robaka. Dłużyło mu się, spieszyło mu się właśnie do morza, dalmatyńskiego, do własnego nad nim domu, mającego pomieścić i ich i brata z rodziną, a nawet ich wszystkich utrzymywać, wiadomo jak intratni są w lecie turyści, pensjonariusze. No, a bił może właśnie dlatego, że kochał żonę i córkę, więc cierpiał nad ich tutaj gnieźdzeniem się po ciemku, w ciasnocie i w wilgoci, i nad tym, że jego mała nawet nie wie, co to morze, nad którym biegał od dzieciństwa.

Tak to bywa z mężczyznami. Piją i biją z miłości. Z poczucia winy. Z bezsilności. W soboty, wolne od pracy, więc trudniejsze do przeżycia.

Całą resztę tygodnia było mu wstyd i żal. Czarnowłose chłopisko nosiło małą na grzbiecie, gruchało do posiniaczonej żony, czyściło schody jak stopnie ołtarza, uśmiechając się do każdego lokatora, nawet jeśli je zanosił błotem, niepewne czy po ostatniej awanturze nie wyrzucą ich ze stróżówki.

Jego kobiety przebaczały mu natychmiast. Wiedziały dobrze, i duża i mała, że to z miłości. Dlatego dziewczynce tak szybko wysychały łzy. Szybciej niż białeły sińce.

Lokatorzy jakoś się już do tego podwórkowego folkloru przyzwyczaili. Zresztą z telewizorów dochodziły gorsze wrzaski, nie tylko w soboty.

Gdyby zaproponować im i odpowiednio sprawę przedstawić, stróże by się zgodzili. Duma dumą, ale góry, morze, słońce dla dziecka, tego się nie odmawia. Tym bardziej, że widzieli, jak oni małą lubią.

Ale im tego nie zaproponowali. Nie przyszło im to nawet do głowy. Dopiero teraz, nie wiadomo czemu, w samochodzie. Skąd taka myśl? Aha, z powodu nie kupionego, tradycyjnego już prezentu. Na przyszły rok...

O przyszłym roku lepiej w ogóle nie zaczynać myśleć.

Egoizm. Brak wyobraźni. Chęć bycia razem, we dwójkę, nawet w czasie drogi, w samochodzie. Nawyk do milczenia, o wszystkim, sam na sam. Ten sam, który powodował, że nie zatrzymywali się na widok moknących przy drodze, wyciągających ku nim rękę autostopowiczów.

Teraz mieli jakie takie usprawiedliwienie. W obecnym Pomiedzy, nękanymi tak rozlicznymi koszmarami, mieli prawo do wspólnej samotności. Zresztą, jak przeładowany był ich pusty na pozór samochód! Przeciążony. Poza „tym wszystkim” Janów, myśl o małym podwoiła swój tonaż. To ona, głównie, wzbraniała im zatrzymywać się dla kogokolwiek, podwozić go choćby kawałek drogi. Gdyż pod ich drogą, pod jej śliską od deszczu nawierzchnią, płynęła dla nikogo oprócz nich niewidoczna, na zawsze wszystkim ich drogom poślubiona, podziemna rzeka Nieszczęście.

Szukając ujścia. Alkowsy.

## XXI

Była już ciemna noc, kiedy dojechali do Paryża.

— Która godzina? — zapytał gdy wjeżdżali w tunel.

Jej zegarek stał. Zapomniała go nakręcić, stanął po drodze. Wielka tarcza dworcowego zegara potwierdziła porę, w którą trudno było uwierzyć. Zaraz północ. Dał spokój przeliczaniom. Nic się nie zgadzało, ilość przebytych kilometrów, przeciętna

szybkości, fakt, że nie zatrzymywali się nigdzie, na żadne rozprostowanie nóg, tyle co na dopełnienie baku i na szybko połkniętą kawę z sandwichem, na stojąco, przy barze stacji benzynowej.

Zazwyczaj Maria przygotowywała im prowiant. Opuszczając dom Janów, wciąż byli jego pensjonariuszami. Rozkładali koc na jakiejś polance, pomidory z ogródka pachniały gorzko i prawdziwie, nie tak jak te ze sklepów, deserowe syjamskie figi, zbyt słodkie, splukiwał z podniebienia łyk niekrzywdzącego wina. W bagażniku znajdowali tyle wiktuałów, jarzyn, owczych serków, owoców, że przez tydzień nie musiała chodzić na targ „Czerwonych Dzieci”.

Droga powrotna stanowiła przedłużenie wakacji. Janowie karmili ich na odległość.

Rozstania odbywały się według ustalonego tradycją rytuału. Oboje, Jan i Maria, wychodzili za skałę, żeby ich pożegnać. Jan, taki niby wesoły, taki kpiarz, zawsze sobie trochę beknął. Duże dziecko. Wstydił się, odwracał głowę, wycierał nos, nagle miał katar. Maria stała na uboczu, nieruchoma, nic nie mówiąca, ale też było widać, że ich żegna z żalem. Wakacje minęły, jeszcze jedno lato, jeszcze jeden rok życia. Ale cóż rok? Jesień, zima, wiosna i znowu wszyscy się odnajdą.

Zwalniali im pokój. Wiedzieli, że ledwo ich samochód zniknie za listonoszowym zakrętem, Maria błyskawicznie zmieni prześcieradła. Od tej nocy Janowie przestaną koczować na wyrku przy strychu, w prowizorce i niewygodzie, wrócą do swego pokoju, łoża, przyzwyczajień. Ważne, gdy się jest w pewnym wieku. Ale i żal. Janowie poświęcali się nie dla pieniędzy, nie tylko. Oni ich lubili. Jak rodzinę. Bardziej niż rodzinę.

W nadrannym półświecie, ponad wieżą Cezara, pierwsza i ostatnia z gwiazd walczyła o życie. Przegrywała. Dziwne zjawisko: ziemia się kręci, niebo się porusza, falują mleczne i ponadmleczne drogi, chodzi się na spacer, jeździ na wycieczki, wciąż z innej strony spogląda na wieżę, a ta gwiazda, w każdej ważniejszej, rannej czy wieczornej chwili, zawsze nad nią tkwi, przygwożdżony satelita. Wita przyjezdnego wieczoru i żegna o wyjezdnym poranku.

Dzisiaj Maria wyszła jak zwykle za skałę, na pożegnanie. Bez gadania i bez łez. Ale o prowiancie na drogę zapomniała. I o warzywnych zapasach z ogródka. To było znaczące. Nie zdarzało jej się normalnie o czymkolwiek zapomnieć, czegokolwiek zaniedbać.

Za to wyniosła im muszlę i podała, w ostatniej chwili.

Pokiwali jej przez szyby samochodu, obejrzeni się jeszcze i jeszcze raz. Stała, oparta plecami o skałę. Mignęło im coś w rodzaju zaczętego, poniechanego gestu. Znak krzyża? Czy protestanci błogosławią znakiem krzyża na drogę? Nigdy tego nie robiła. Może chciała ich powstrzymać, coś im jeszcze powiedzieć, dodać do „tego wszystkiego”, o czym milczała?

O zwyczajnym machaniu ręką na pożegnanie w wypadku Marii nie było mowy. To Jan zamieniał się w rozczulony, folgujący łzom wiatrak.

Taką Marię, samą, pod skałą, z uniesioną i zaraz opadłą ręką, zachowali w pamięci i zachowają. Ostatnia, wakacyjna migawka. Nie było wzajemnego pocieszania się: do widzenia! Na przyszły rok! Piszcie do nas czasem! I wcale nie było takie pewne, że zaraz prześcieli zwolnione przez nich łóżko i że się z powrotem wprowadzi do ich pokoju.

Nie bardzo wiedzieli, co ma zamiar robić. Czy pojedzie do Alès? Czy też pozwoli naturze „robić swoje”? Bez walki?

Gdyby nie ślub Konikowej, nagła wiadomość z poprzedniego dnia, gdyby mogli zostać do normalnego końca wakacji, jakoś by ją może namówili do leczenia się, dopilnowaliby tej sprawy. Zawieźli samochodem do Alès.

Wjeżdżali w burze i ulewy, wyjeżdżali z nich, jak z lasów, pod gołą przestrzeń nieba, w odkryte doliny i dziwnie było myśleć, że nad domem za skałą, tymczasem, po tamtej stronie działu wiatrów i wód, słońce pali nie mrużąc oka i że potem nic nie przesłania zapalających się kolejno gwiazd. Spadających. Masami teraz spadały, nastał okres kosmicznej czystki. Nad Paryżem spadają też, ale któż to widzi w świetle neonów i latarni, w różowo-burej mazi wielkomięskiego nieba? Samochód nie musiał już wykrawać sobie drogi laserem reflektorów. Każda ulica była pustym, mokrym, sztucznie oświetlonym tunelem. Wycieraczki zmiatały z szyb inny deszcz, wåtpliwej świeżości.

U stróżów było ciemno. Spali. Wszyscy spali w kamienicy, albo, jak to w porze wakacyjnej, nie było nikogo. Na wszelki wypadek zachowali na schodach złodziejskie ostrożności. Bagaż niewielki, walizka i torba, żadnych skrzynek z warzywami, mogli zabrać się za jednym razem. Letnich rzeczy z szafy Janów nie wywozili. Może powinni. Ale to było jakieś niezręczne wobec Marii. Zostawiać też było niezręcznie. Przecież nie wróca. Nieważne. Te parę starych swetrów czy spodni. Niech tam sobie w zapachu ziół poleżą.

Byli otumanieni jazdą i głodni. Niczego w końcu nie kupiła po drodze, ani kawałek chleba, ani plasterka szynki. Zapomi-

nała, gdy w miasteczkach mijali piekarnie i sklepy spożywcze, albo akurat łało tak, że ani myśleć o wysiadaniu z samochodu. A gdy już wpadli w nurt autostrady, nie było mowy o zakupach.

Tymczasem lodówka pusta. Odlodzona, półotwarta dla wietrzenia się przez miesiąc zamierzonej nieobecności. Zazwyczaj pierwszym jej gestem było wyładować ją prowiantem od Janów i włączyć. Motor odpowiadał mechanicznym mrużeniem, pierwszy odgłos powszedniego życia.

Dziś nie ma powodu włączać lodówki. Pójdą spać głodni. Spanie o pustym żołądku sprzyja koszmarom. Przypomniały jej się na schodach szantaże z dzieciństwa: zjedz kaszkę, bo ci się przyśnią Cyganie. Jakoś nie bała się Cyganów, nie miewała koszmarów, grymasiła nad talerzem.

Zupa z dzieciństwa, pachnąca koperkiem, wzgardzona, jak tylko dzieci potrafią gardzić tym, do czego potem tęsknią, głodne, po latach, gdy ich już nikt nie straszy Cyganami i nikomu nie zależy, czy będą jadły czy nie. W każdym razie nikomu na tym nie zależy w ten sposób. Zupa na werandzie pod winoroślą. Dymiąca, stara waza wnoszona oburącz przez Marię. Zioła, jarzyny, zapachowy i smakowy wywar ze wszystkiego, co rodzi ziemia wspomagana słońcem i wodą. Nie to, co czuli teraz na schodach, między piętami, ów rodzaj nerwowej, zmęczonej czczości, tylko apetyt szczęśliwy, pewien rychłego zaspokojenia, podniecony węchem i widokiem, połączony z wyciąganiem serwetki w kratę, każdy swojej, ze swojego, srebrnego kółka, zmęczenie zaś też inne, błogie zmęczenie spacerowe, po jakiejś włóczędze. Wieczorny, miły chłodek na przegrzanej słońcem skórze. Cmy baletujące wokół złotego grona lampy... Siorbanie emerytów. Szkicownik Picassa, podawany z rąk do rąk... Otulona szalem artystka wyczekująca opinii o czymś świeżo przez nią schrupanym... Jan w niebieskiej, rozchełstanej koszuli dolewający niekrzywdzącego wina. Ale najpierw, najpierw krystaliczny łyk wody ze źródła, z zamglonej chłodem karafki...

Mieli gardła wysuszone, ściśnięte i schody wydawały im się bez końca i bardziej strome niż kiedykolwiek. Trzymali się poręczy. Czyżby się przez te niecałe dwa tygodnie postarzeliz? Tak musieli tutaj pełznąć państwo Durand. Nic dziwnego, że dziadek postanowił wynieść się stąd na wieś.

No, nic. Gospodyni brała w niej górę, mimo wszystko, już na schodach. Zaimprovizuje jakąś zupkę z proszku. Coś tam musi być jednak w spizarce. Jakieś kluchy. Jakieś sucharki. Konfitury. Szybko coś przełknąć i spać. Spać! Na wszelki wypadek nie zapomnieć o proszkach. Zmęczenie zbija z nóg, ale

nie daje zmrużyć oka. Zwłaszcza takie zmęczenie. Koniecznie muszą odespać drogę i „to wszystko”. Dobra noc ułatwi im wykonanie jutrzejszego programu. Będą mogli przytomnie przygotować pojutrze.

Uff, nareszcie ich piętro, ich drzwi! Tutaj dopiero, postawiwszy na podłodze klatki schodowej coraz cięższą walizkę i torbę, znaleźli się definitywnie po drugiej stronie działu wód. Przed własnym progiem.

Włożył klucz do zamku. Coś mu nie pasowało. Pewno ze zmęczenia. Mógłby dać głowę, że wyjeżdżając przekręcił go dwa razy. A tu zamknięte na jeden raz.

Akurat skończyła się minuta światła na schodach. Nacisnęła opalizujący kontakt tuż obok ich drzwi, choć to krępujące, trzask włączanej elektryczności rozlegał się w stróżówce, gdzie był licznik, jak strzał z rewolweru. Gotowi przebudzić małą.

Dolny zamek w ogóle nie był zamknięty.

To im się nigdy nie zdarzyło. Mieli ustalone, wyjazdowe rytuały. Sprawdzali jedno po drugim, jedno za drugim: gaz? Zamknięty? Zamknięty. Elektryczność wyłączona? Wyłączona. Drzwi zamknięte na oba zamki, na oba spusty? Zamknięte. Żeby nie mieć po drodze ćmiącej wątpliwości, że te konieczne i automatyczne gesty zostały świadomie wykonane i sprawdzone.

Tym razem przecież tak samo. Pamiętali dokładnie. Oboje. Z uciskiem serca, nie z przecuciem, tylko już z pewnością złego, popchnęli otwarte drzwi. Nacisnęli kontakt w przedpokoju. Światło zapaliło się.

A nie miało prawa się zapalić! Przecież zapytała go: licznik wyłączyłeś? Wyłączyłem.

Wyłączył, to nie ulega wątpliwości!

Postawili torbę i walizkę na podłodze i przez moment zbierali odwagę przy zamkniętych za sobą drzwiach wejściowych, by przejść do pierwszego pokoju i tam zapalić światło. Jeszcze jedno małe Pomiędzy. Pomiędzy przedpokojem, gdzie wszystko wydawało się w porządku i tym, co zobaczą po tamtej stronie, co tam ich czeka.

Ktoś tu był.

— Nikogo takiego nie było — tłumaczyła im nazajutrz zapłakana, bardziej posiniaczona niż zwykle stróżka. — Nikt się nie włamywał. Przecież byśmy słyszeli! Raz tylko przyszła ta pani, czy panna, co mówiłam pani, że kiedyś była. Pytała, kiedy państwo wracają z urlopu. Powiedziałam, że za miesiąc. Powiedziała, że wróci. I więcej nikogo nie było.

No, tak...

Trudno było mieć pretensję do stróżów, że nie dopilnowali. Zresztą, nawet gdyby stróżka dostrzegła w bramie czy na schodach wnuka Durand, nic by mu nie mogła powiedzieć. On tutaj nocował, był więc zaprzyjaźniony, sami powierzyli mu klucze, żeby wrzucił do skrzynki albo oddał stróżce. Po co miał się wlamywać, to męczące i skomplikowane przy rozlicznych zamkach. Klucze dorabia się w parę godzin. Więc je sobie dorobił. Miał czas, cały dzień. Po to wtedy do nich przyszedł, niby bezdomny, niby prosić o nocleg. Dlatego niby zasnął. Wywiedziało się, że nie wracają na przerwę obiadową.

To była premedytacja. Coś nawet całkiem fachowego, może zaczerpnięte z jakiegoś telewizyjnego kryminału. Imponujące. Jak na początkującego, na amatora. Bo chyba wnuk Durand nie był zawodowcem?

Ryzyko żadne. Gdyby stróżka zaczepiła ich w bramie czy na schodach, jego i dziewczynę, pokazaliby jej po prostu klucze. Że mają. Wprost od nich, od właścicieli mieszkania. I już.

Ale oni weszli tu raczej nocą. Na palcach, tak jak oni, żeby nikogo nie budzić. Już tamtej niedzieli, za pierwszą wizytą młoda para wiedziała po co przyszła i co zrobi. Przyszła zbadać grunt. Dlatego tak długo trwało ich Pomiędzy na schodach, pomiędzy wyjściem od nich a trzaśnięciem bramy od ulicy. Ci dwoje już wtedy omawiali swój plan.

Nie było co gniewać się na stróżów, tym bardziej że i u nich wytrysnęła spod ziemi rzeka Nieszczęście. Także im przepadł dom, wymarzony, ciężko wypracowywany przez emigracyjne, dorobkowe lata na francuskich saksach, dom nad morzem. Brat stróża zdradził. Zbudował dom, ale wyłącznie dla siebie. Nie mieli żadnych umów, nie zabezpieczyli się żadnymi papierowymi gwarancjami. Owszem, mogą wytoczyć proces. Mają kwitki pocztowe, mogą udowodnić, że mu wysłali tyle a tyle franków. Ale proces w rodzinie! I proces z góry przegrany, bo brat, owszem, nie przeczy że franki dostawał, ale jako dar. Właśnie na budowę domu. Dla siebie.

Jedyny brat, młodszy brat. Przecież i dla niego tak się tutaj męczycieli. Żeby ten dom szybciej był gotów i żeby mógł się ożenić.

Właśnie się żeni.

Stróżka lamentowała po wiejsku, po słowiańsku, wycierając nos fartuchem. To się wydało tydzień temu. Jej mąż cały ten tydzień pił. Przez to stracił pracę. Cały tydzień opuścił, bez uprzedzenia, bez usprawiedliwienia. Mieli prawo go wyrzucić. Teraz trzeba będzie zaczynać od początku, od poszukiwania

pracy, z czym trudniej, bezrobocie... On jest dobrym robotnikiem, ale nie dadzą mu teraz dobrego zaświadczenia. Zapomnieli, jacy byli z niego cały ten czas zadowoleni. I taki się zrobił niecierpliwym. Zły. Jakby zwariował. Przez brata i przez to picie. Więc kto go przyjmie? Słowa sobie nie da powiedzieć. No i mała...

Mała leżała na wyrku w kącie stróżówki, nieruchoma lalka o szklanych, otwartych oczach. Ojciec ją uderzył. Tylko jeden raz, ale jakoś mocniej niż zwykle. Upadła. Uderzyła głową o kant stołu. Doktor mówi, że nic, samo minie. Trzeba przeczekać. Ale taka dziwna się zrobiła. Ani zapłacze, ani się zaśmieje, aż strach. Na podwórko nie chce, nic nie mówi. Tak leży i leży, już z tydzień. Chociaż może chodzić, nic nie ma złamanego ani pękniętego.

Podeszli z torebką cukierków. To przynajmniej kupili po drodze, przy jakiejś stacji benzynowej. Same czerwone.

— *Krasne?* — zażartowała ze ściśniętym sercem. — Popatrz: *rouge! Krasne!*

Z czarnych oczu spojrzęło coś starego, coś obojętnego, coś z bardzo daleka. Jakby spojrzęło na czarno, a nie na niebiesko ich syn.

Więc i tutaj. Więc i w po słowiańsku solidarnych, wojennymi, gorszymi jeszcze niż tutaj przejściami skonsolidowanych rodzinach są zazdrośni, są chciwi, są złodzieje. Mordercy. Brat. Pewno podobny do stróża, tak miłego gdy nie pił, tak prostodusznego i uczynnego, tak przystojnego. Dobrego męża i dobrego ojca, oprócz soboty. Nawet i w soboty. Powypłątowe popijawy były w końcu tradycyjne. Brat-Kain, tyle że młodszy a nie starszy, jak to się w pierwszym miocie Adama i Ewy zdarzyło, na samym Początku.

Serca mogą być robaczywe wszędzie, w Sewenach i w Dalmacji. I w Paryżu. Przykład: wnuk Durand, którego już prawie mieli ochotę do wolnego pokoju wprowadzić.

Zapalili wreszcie światło. Widok był okupacyjny. Mieszkanie przetrząśnięte jak po rewizji Gestapo czy Bezpieki. Zamek ściennej szafy wyłamany z mięsem. Musiał dzielnie się opierać. Głupio, że zamknęła tę szafę na klucz, że klucz wbrew zwyczajom zabrała ze sobą. Wszystko wyrzucone. Stos na podłodze, w podeptanym, pogardliwym beładzie... Wszystkie drzwi wszystkich szaf pootwierane na oścież, na szczęście bez wyłamania, nawet w kuchennej spiżarni. Wszystkie wszędzie półki puste, ich zawartość brutalnie wygarnięta. Papiery, fotografie, prześcieradła, sucharki i słoiki z konfiturami.



Zaś w ich łóżku ktoś spał.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zaczęli to i owo podnosić z podłogi, przypominać sobie, gdzie normalnie leżało, układać. I coraz bardziej stawało się jasne, że chyba niczego nie brak. Więc raczej rewizja niż kradzież? Niczego tak bardzo cennego nie mieli, perły zabrała ze sobą, ale bursztyny, na przykład, coś były warte. Leżały jednak na spękanych kafelkach łazienki, wzgardzone, pośród innych naszyjnikowych tandetności, zaś szkatułka, wypróżniona byle jak, ziała pustką. Coś trzeszczało pod nogami, coś się gniozło, sami po czymś deptali.

Więc rewizja, poszukiwanie czegoś. Czego? Czegoś, co musiało być ukryte w jednej ze ściennych szaf. Bo ze wszystkich powyjmowano półki.

I właśnie w jednej z nich, nie w tej, do której z niby tak spontaniczną, naiwną ciekawością zapragnęła zajrzeć dziewczyna w czasie niedzielnej wizyty, tylko w sąsiedniej, bliźniaczej, teraz dopiero, po latach mieszkania, odkryli i oni dzięki młodej parze jeszcze jedną skrytkę. Wydrążony w murze, całkiem niewidzialny, niepodejrzewalny, starodawny schowek. Świetny, skoro nawet murarze przy odnawianiu domu nie odkryli jego istnienia.

Wnuk Durand i jego przyjaciółka — bo noc, może niejedną, spędzili tu z pewnością we dwoje — musieli mieć niezbyt ściśle poszlaki. Stąd bałagan. Szukali z uporem, odłupywali ściany, dobrze że wewnątrz szaf, dobrze że nie było tapet do zdzierania. Aż znaleźli. Dziura w murze ziała stęchłą wieloletnią utajenią. Co tam znalazł wnuk Durand, co spodziewał się znaleźć? Coś, po co niewątpliwie przyszła wtedy jego babka, już wdowa. Coś jej osobistego, o czym nie śmiała napomknąć staremu mężowi w momencie wyprowadzki, a do czego nie miała siły czy okazji dobrać się sama pod jego nieobecność, przedtem. Więc zostało. I to wyjawiała wnukowi, po latach. Niezbyt dokładne dając mu wskazówki, bo śmierć już jej zawiązywała język? Mózg?

Młody Durand wzruszył ich poszukiwaniem śladów dzieciństwa, porównywaniem tego co było z tym co jest, a właściwie...

Choć może nie było to całkiem fałszywe. Może wspominał i projektował równoległe.

Gdyby zdobył się wtedy na szczerość i powiedział im wprost, że jego babka coś tutaj zostawiła cennego! Sami by mu pomogli szukać, jakże chętnie. Byłaby zabawa lepsza od telewizji. We czwórkę, stara i młoda para, powyjmowałiby półki ze wszystkich szaf, poopukiwaliby ściany. Oddaliby mu, co by tam było ukryte. W całości. Nie pobierając żadnego „procentu”.

Może to nie były żadne luidory w pończosze, tylko na przykład listy? Babka Durand też kiedyś była młoda. Czemu nie miałyby mieć amanta?

Tak, to coś musiało być nie tylko cenne ale i kompromitujące, wbrew wszystkim przedawnieniom, skoro powstrzymała się od wyjawienia skrytki mężowi, a potem, po jego śmierci, załamała się, już tutaj się wybrawszy na pewno w tym celu i nie chciała nawet wejść. Głupio. Jeśli poza listami czy fotografiami były tam jakieś luidory, jeszcze głupiej. Może sprzedaż mieszkania, w którym się urodziła, nie była koniecznością? Może te skarby pozwoliłyby Durandom na kupno wiejskiego domu bez wyzbywania się tego? Podnajęliby je po prostu i staruszka, owdowiawszy, mogłaby sobie spokojnie wrócić do siebie i nadal froterować podłogi, aż do śmierci? Zaś mieszkanie przypadłoby w spadku wnukowi...

Ale ona wiedziała, że dziadek Durand ma chore serce. Nie odważyła się wyjawić mu, czy przypomnieć mu jakiejś przedawnionej zdrady. Tak jak jej wnuk nie odważył się wyznać im zdrady premedytowanej.

Jak głupio! Jaka szkoda! Dla nich i dla niego. Gdyby zaraz w czasie pierwszej wizyty napomknął o skrytce, nastąpiłoby zbliżenie. Przyjaźń. Od pierwszej chwili poczuli do chłopca coś w rodzaju zażenowanej, wahającej się sympatii.

On nie śmiał. A dziewczyna nie chciała. To ona nie miała do nich zaufania. To ona poczęła w sobie ten plan i pilnowała etapów wykonania, ona wymyśliła historię z noclegiem i dorobieniem kluczy.

Tak czuli oboje. Tak musiało być. Chłopiec, jednak, był w lepszym gatunku. Do wyznaczonej mu roli niezbyt się nadawał, męczyła go. Ale ona dyrygowała nim zdalnie. Rozszyfrowała ich rozkład czasu, usposobienie, wiedziała, że zaspanego chłopca nie wyrzucą z łóżka, że go zostawią na cały dzień w domu, z kluczami, głupi starcy, niewolnicy biur, i że nie wrócą w południe. Jakże musiała nimi gardzić za to wszystko! To ona deptała po bursztynach.

Nie wzięli w końcu żadnych proszków na sen, i tak o spaniu mowy nie było. Chociaż za przykładem Marii szybko zmieniła prześcieradła. Kręcili się razem, osobno, w mało skuteczny sposób. I bez tego byli zmęczeni, samą podróżą i tym wszystkim, co poprzedziło ich przyspieszony powrót. Dawny ład, ustalone, kojące nerwy przyzwyczajenia, przydzielone miejsca różnych przedmiotów nie dawały się odtworzyć. Zapomnieli, jak tu przedtem było.

No i ta zdemaskowana skrytka. Płyciutki loch. Kusila, by drażyć ją dalej, przekonać się dokąd, do czego prowadzi, do jakich labiryntów, jakich może jeszcze skarbów, choćby po Smoku spadłym z nieba. Do jakich bukietów czy szkieletów?

Zaczęła — tak by zaczęła Maria, jej przykład na odległość dyktował gesty — od oczyszczenia, zdezynfekowania tej skrytki. Po obnażonych kamieniach łążyły robaki. Może już zdążyły się rozleść po całym mieszkaniu. Ów rodzaj cementarnych robaków, pół pluskiew, pół nie wiadomo czego, które odkrywa się z uczuciem atawistycznego wstrętu odwaliwszy wilgotny kamień.

Właściwie należałoby tę skrytkę najpierw jakoś zatkać. Z powrotem zamurować. Zapomnieć o niej. A dopiero w następnej kolejności powstawać półki i poukładać rzeczy.

Kręcili się więc, dreptali, nie bacząc że podłoga skrzypi, echem podaje każdy krok, że sąsiedzi z dołu — jeśli są — mogą się pobudzić i zacząć stukać miotłą w sufit. Żli. Ale pewno tych dolnych sąsiadów nie było. Żadnych sąsiadów, dobrych ani złych. Byli sami w całym domu. Byli sami na świecie. Sam na sam z „tym wszystkim”.

## XXII

Wyszli na ulicę razem. Szczęknęła brama. Spod niej głowa Cerery vulgo Nemezis patrzyła, nie widząc, kamiennymi oczami. Wiedzieli, że tak patrzy, choć nie zadzierali ku niej głów.

Przystanęli, wahając się dokąd pójść, po ślusarza, żeby zmienił zamki, czy po prezent ślubny dla Konikowej? Na lewo, czy na prawo? I wtedy kundle stróżki z przeciwka wspięły się na balkonik i wybuchnęły jazgotem.

Jak na turystów. Jak na obcych. Jak wtedy, na wnuka Durand i na jego dziewczynę.

Psy — te same przecież psy — nie poznały ich! Po niecałym miesiącu nieobecności! Czyżby tak się odmienili? Czyżby te amputowane wakacje trwały, jak w bajce, siedem lat, tak że nawet psy miały czas ich zapomnieć? Bo chociaż żyją krócej, psy mają lepszą pamięć od ludzi.

Albo po prostu zmienił się im zapach? Psy rozpoznają węchem. Może nieszczęście zmienia zapach ludzi? Poca się inaczej?

Inaczej pachnie pot strachu, pot pracy, inaczej pot agonii. Musieli dziś rano oboje pachnieć „tym wszystkim” co z nich wypało się od domu za skałą po splądrowane mieszkanie. No i ten jutrzejszy ślub, jutrzejszy może powrót, już we troje. Psy to czuły.

Było już prawie widno, gdy dali za wygraną i zaprzestali porządkowania. Siedli w kuchni. Zaparzyła herbatę, wyszukała suchary, sery w pudełku, w cynfolii. Tego na pewno tamci nie dotykali. Zapalili po papierosie. Za oknem dniało w przyspieszonym, letnim tempie. Będzie pogoda, dziś na pewno. A jutro, na ślub Konikowej?

Niech już o to Konikową głowa boli!

Nawet nie otworzyła walizki. Tyle, że z torby podróźnej wyjęła muszlę po Janie i tymczasem położyła ją na kuchennym stole, pomiędzy ich filiżankami, pomiędzy nimi. Pewno szumiało w niej, jak gdyby nigdy nic. Tutaj też, jak na murku werandy, w domu za skałą.

Też splądrowanym. Też sprofanowanym.

Trzeba by ją rozłupać jak czaszkę, aby zabić w niej ów szum obojętny na „to wszystko”.

Jeżeli rewizję dyktowały także i sentymenty, jeżeli wnuk Durand nie miał aż tak robaczywego serca, chaos który zastali był prowizoryczny. Młoda para zamierzała — może? — jeszcze tu powrócić, poukładać wszystko z powrotem, zatrzeć jako tako ślady po sobie. Mieli klucze. Mają. Nie zdążyli. No i nie spieszyło im się. Wywiedzieli się przecież o dacie ich powrotu z urlopu. O normalnej dacie. Gdyby nie ślub Konikowej, przecież by ich tu jeszcze nie było. Więc może zaoszczędzony by im został ów wstępny szok i tak zaraz od progu niczego anormalnego by nie zauważyli? Zamki byłyby pozamykane na odpowiednią ilość spustów, licznik elektryczny wyłączony. Łóżko zasłane. Zmęczenie podróżą zamknęłoby im oczy na to, że w szafach jakoś inaczej, zbyt porządny prawdopodobnie porządek. Cudzy. W ogóle by do żadnych szaf nie zaglądali, władowaliby zapasy od Janów do lodówki, jak zwykle, coś tam szybko z tych zapasów przegryźli, na to proszki i poszliby spać. Zmęczeni drogą, ale szczęśliwi, jak zawsze po lecie w domu za skałą. I mieliby dobrą noc, tak im na dziś i na jutro potrzebną. Dopiero rano coś by może zauważyli. Że ktoś tu był.

Ale wrócili za wcześnie. Nie z chęci, z musu. Spadło to na nich bez odroczenia, bez zmrużenia powiek. Był dzień. Ale nie mieli nocy.

O przyzwoitej godzinie ranka zeszli do stróżówki. I dowiedzieli się o wszystkim. Jugosłowiańskim, stróżowskim „tym wszystkim”. Im w końcu nic aż tak złego się nie stało, w porównaniu. Nic z mieszkania nie zginęło, w każdym razie nic, co by stanowiło ich własność. Porewizyjny bałagan powoli zlikwidują. Po południu. Aha, kupić gdzieś trochę cementu! Są takie, w kilogramowych torbach, szybko schnące, wystarczy rozrobić z odrobiną wody. Zamurują skrytkę. Przyszło im nawet na myśl, żeby o to poprosić stróża. On by to zrobił chętnie, bardziej fachowo, a przy tym zarobiłby parę groszy. Ale w tych okolicznościach... Zresztą leżał i chrapał, przepity.

Stanęli pod bramą razem, para bardziej niż kiedykolwiek po syjamsku zrosnięta ze sobą „tym wszystkim”. Mieli wspólny program. Samo znalezienie ślusarza w Paryżu, o tej porze lata, nie będzie łatwą rzeczą. Zmiana zamków była absolutnie konieczna, jeśli nie chcą tamtych zastać u siebie, albo usłyszeć nagle, nocą, że ktoś przekręca klucz w zamku, otwiera drzwi i wchodzi. Prezent ślubny też wymaga pochodzenia po sklepach, zależało im, żeby pasował i Konikowej i sąsiadowi.

Obiad zjedzą gdzieś na mieście. Nie będzie biegała na targ „Czerwonych Dzieci”, żeby zapełnić pustą lodówkę. Jutro i tak wyjazd. Na wesele.

Po południu dokończą porządkowania. Szczęście w nieszczęściu, pokój małego nietknięty. Gdyby Konikowa chciała im zaraz jutro „oddać” syna, gotowy. Młoda para jakoś nie otworzyła tamtych drzwi, nie przestąpiła tamtego progu. Chwała Bogu i za to. Wystarczy zmienić prześcieradła, żeby łóżko było w razie czego gotowe i żeby nie musieć tych gestów wykonywać w gorączce, przy małym, kto wie w jakim stanie.

Zaś wieczorem wezmą nareszcie proszki i, niezależnie od etapu porządkowania, pójdą wcześniej spać. Nastawić budzik, nie zapomnieć nastawić budzika! Odespać to wszystko. Sen jest Bożym darem. Każda noc jest Wielkopiątkowa, Wielkanocna, po każdym złożeniu do łóżka następuje na ogół Rezurekcja. Całkowita lub częściowa. Im wystarczy choćby częściowa.

Po odespanej dobrze nocy inaczej będą jechali, inaczej będą wyglądali na jutrzejszym ślubie. Inaczej sobie jutro poradzą, nawet gdy w powrotnej drodze ich syn będzie siedział w samochodzie, za ich plecami.

Program był niemy, ale wspólny, na milcząco uzgodniony, samą swoją oczywistością. Jak zawsze. Jak od lat. Razem — para syjamskich ryb — pływali pod powierzchnią rzeki Nieszczęście.

Tak było. Tak im się wydawało, że jest. Jeszcze jedno wspólne Pomiędzy. Między „tym wszystkim” wiadomym już, tutejszym i poprzednim, sewenolskim, między dzisiejszymi zakupami i porządkowaniami, a jutrzejszym ślubem i tym, co ich czeka u Konikowej. Pomiędzy dziś rano a jutro wieczorem. Pomiędzy dwiema nocami. Dzisiejszą, nieprzespaną, ogrójcową, wobec ziejącej otworem skrytki. I tą, która — mieli wspólną nadzieję — będzie dobra przy pomocy proszków nasennych, z asekuracją budzika.

Stróżom ani ich małej na razie nie mogli w niczym pomóc.

Wyszli za bramę razem. Przystanęli, wahając się w którą najpierw udać się stronę. Ujądanie kundli z przeciwka zaskoczyło ich, ale w końcu to była drobnostka. Ciekawostka. Słońce już wspinało się ku swemu lipcowemu zenitowi z lipcowym pośpiechem. Świeciło teraz prosto w ich wąską, zwykle zacięzioną uliczkę. Już dopiekało. Grupka robotników, Portugalczyków, Algierczyków czy innych meteków, uwijała się w szatańskim tempie przy maszynie ziejącej żarem. Asfaltowali jezdnię.

Słońce nad Paryżem, dla jednych miła rzecz, udany turystyczny pobyt, dobre światło do pstrykanych fotografii, do pamiątkowych filmów. Dla drugich, dla tych tutaj robotników, przybyłych przecież z południowych stron, dodatkowe umęczenie. Śródziemnomorcy unikają słońca, chronią się przed nim w czarne burnusy, w cieniu fig, barykadują się przed nim w domach o wąskich szparach okien, fortecznych strzelnicach, zamykają na głucho żaluzje, okiennice. Nie paradują na golasa, aby się opalić. Rozlewający wrzącą smołę potępieńcy woleliby sto razy żeby dziś było szaro, zimno, nawet żeby padał deszcz.

Słońce też każdy odbiera inaczej, w tym samym miejscu, tym samym patrzące okiem.

Chyba więc ujądanie znajomych kundli, jeszcze jedna niespodzianka, wraz z tym piekłem na ulicy, zaraz na rogu, grupką cudzoziemców niższego rzędu, trochę do ich stróża w typie podobnych, czarniawych, warkot piekielnej, gotującej asfalt maszyny, wszystko to razem musiało sprawić, że nagle coś w nich pękło. Przepołowili się. Syjamska para rozszczepiła się na dwie samotności, jak drzewo rażone piorunem.

— A nie mówiłem? — krzyknął, wrzasnął na nią, jak stróż na stróżkę. A nie był pijany. — Wszystko twoja wina! Po coś zapraszała na noc tego bandytę? Z tobą tak zawsze!

— Mogłeś jasno powiedzieć, od razu, że nie chcesz, żeby nocował. Czy ja się kiedy upieram? — odwrzasnęła, odwrzasnęło coś z jej środka babskim, pełnym bulgoczącej złości głosem.

— Powiedziałem, że nie chcę! Wiedziałem, czym to pachnie! Ale ty zawsze udajesz, że nie rozumiesz, gdy coś ci strzeli do głowy! Nie kłam, że nie mówiłem! Dobrze pamiętam. To ty nigdy nie pamiętasz tego, czego nie chcesz pamiętać!

— Pamiętam jak było. Fakt. Nic nie powiedziałeś!

— Jak to? Jak śmiesz tak przeinaczać fakty? Kto mu chciał dać na hotel? To było jasne, nie?

— O pieniądzech na hotel powiedziałeś mnie, nie jemu. I potem. A najpierw nic nie powiedziałeś, tylko wyszedłeś z kuchni. To ty zawsze tak! Nic nie mówisz, a potem kto winien? Zawsze ja! Umywasz ręce! Dosłownie, wyszedłeś do łazienki! I dopiero, dosłownie umywszy ręce, powiedziałeś o tych pieniądzech! Nie jemu, mnie! Powiedz mi tutaj, w oczy, że nie było tak, jak ja pamiętam?

Stanęli twarzą w twarz, para wrogów, przewrzaskując warcot maszyny, czerwoni na twarzy, bulgoczący złością, dygocący od wewnętrznego zimna naglej nienawiści, niedospania, zmęczenia i zaskoczenia tym rozszczepieniem się na dwie wrogie połowy. Jazgotali na siebie, jak kundle z przeciwnika. Oni! Publicznie! Nie tylko głosów swoich nie mogący nagle znieść, słów wzajemnie niesprawiedliwych, obelżywych, krzywdzących zarzutów i wyrzutów, ale i wzajemnego widoku, wzajemnej obecności. Jakże sobie nagle obrzydli, jakże zrobili się wulgarni, starzy, jedno w oczach drugiego.

Czyżby rzeka Nienawiść cały czas płynęła pod powierzchnią długiej miłości, długiego przywiązania? Związania? Niechby przyzwyczajenia? Nagła jej reżurgencja zalała ich wrzącą, brudną smołą.

Rozlecieli się w dwie przeciwne strony, nie będąc w stanie ani sekundy jedno ścierpieć obecności drugiego, wstydząc się też jednak trochę świadków małżeńskiej kłótni, robotników, stróżki z przeciwnika, a nawet jej kundli, które niby uspokajała, zezując ku nim z plotkarskim, sąsiedzkim podnieceniem.

— Wszystko przez tę starą idiotkę — myślało mu się, gdy szedł w swoją stronę w lewo. — Zawsze coś musi rozpętać! Nie zapyta przedtem, nie zastanowi się. Ja bym tego młodego Duranda w ogóle nie przepuścił przez próg, już wtedy, w niedzielę. Z jakiej racji? Od razu czułem, że ta wizyta źle pachnie. Ale ona! Taka gościnna, taka towarzyska! Jeszcze im nasze szafy otwierała! Zawsze wszystko przez nią! Z małym też. Żeby

nie jej głupie opory, mielibyśmy, miałbym teraz drugiego syna. Którego już bym jej nie pozwolił, o, nie!, na nic szczepić! To jej latanie po doktorach, trzęsienie się, ledwo dziecko kichnęło! Ze zdrowego zrobiła co? I co teraz? No, a ślub Konikowej? Czy to trzeba było wszystko rzucać, gnać tutaj, przerywać wakacje? Pogadałbym z Marią. Może udałoby się złożyć coś w rodzaju opcji u notariusza. Mielibyśmy pierwszeństwo, gdy dojdzie do sprzedaży domu za skałą. Gotów byłbym nawet porozumieć się ze spadkobiercami po Janie. Też ludzie. A teraz, co? Koniec!

— Zły człowiek! — myślało jej się, gdy biegła w prawo, płacząc, prawie lamentując, po babsku, po słowiańsku. — Zły i hipokryta. Mężczyzna! Wcale nie protestował, gdy zaproponowałam nocleg młodemu Durandowi. Racja, zagalopowałam się. Ale on przy tym był. To była męska sprawa, od razu powiedzieć: nie. Sama z miejsca poczułam, że robimy głupstwo. Więc nie upierałam się. A on od razu mógł wyjąć pieniądze, zamiast myć ręce, jak Piłat. O pieniądzech wspomniał dopiero, gdyśmy śłali łóżko i to miało być na następny dzień. Może nie? Jak można tak przeinaczać, gdy wygodnie? Byle tylko wszystko na mnie zwalić! Albo rano, gdy chłopak udawał, że się nie może rozbudzić, czy to nie do niego należało pójść tam, do pokoju i chłopaka po męsku ściągnąć z łóżka, siłą wyrzucić za drzwi? Zrobił to? Nawet mu nie przyszło do głowy. A teraz, oczywiście, moja wina, tylko i zawsze moja. Albo z małym? Czy musieliśmy tak gnać na ślub? Konikowa wcale nas nie czeka. Po co było skracać wakacje? Czy nie powinni byliśmy zostać z Marią do końca, pomóc jej? Z domem też by się coś może dało załatwić. Ale on nie! Natychmiast za kierownicę i pedał do deski! Cud, że nie spowodował jakiegoś wypadku! Co wtedy z małym?

Odchodzili od siebie, rozchodzili się. Prawie biegiem. Czy kiedykolwiek byli naprawdę razem? Zrastając się dzień po dniu, noc po nocy, czy naprawdę i czy całkiem wspólnie dźwigali wspólny kamień, wspólny garb? Życie? Czy to w ogóle możliwe mieć wspólny garb, nawet w wypadku syjamskich par?

Inni, trafieni podobnym nieszczęściem, porozchodzili się zawczasu. I słusznie. Bardziej naturalne. Co za głupota! Jeszcze się sobie przez to podobali, chwalili, w kontraście z tamtymi, własną lojalność, wierność. Para coraz bardziej śniętych ryb, lubująca się w ściankach ciasnego akwarium. Lubująca się w ascetycznym, milczącym egoizmie we dwoje.

Uliczka ich nie była prosta, zakreślała półkole, zachowując



kształt stóp baszty, być może projektowanej ongiś przez Smoka Spadłego z Nieba. Zaczynała więc i kończyła się przy tej samej ulicy de Turenne. Tego, trafionego kamienną kulą, o którym ludzie z Sewenów mieli porzekadło na wypadek, gdy coś się stało: a jednak to nie jest jak śmierć Turenne!

Więc najpierw biegiem, w złości, a potem wolniejącym stopniowo krokiem rozchodzili się w dwie przeciwne strony swoją ulicą, zapominając że sam jej kształt, przypadek jej półkolistości, nieuchronnie prowadzi ich znowu ku sobie. Uciekając od siebie, zbliżają się. Doszli oboje, prawie równocześnie, jedno do końca, drugie do początku ulicy, na dwu jej stykach z ulicą de Turenne i stanęli bezradnie. Co teraz? W którą stronę? W prawo? W lewo? Gardon złości, nigdy nie podejrzewanych, nigdy żadnym słowem ani gestem, ba, nigdy żadną myślą nawet nie ujawnionych pretensji, jak wybuchł nagłą galopadą, rezuregencją, tak przycichł. Zapadł się pod ziemię.

Stali. Ulica de Turenne była pusta o tej wczesnej porze lipcowego ranka. Jezdnia była tu już wyasfaltowana, smoła twarda.

Co robić dalej, dokąd iść, jeżeli osobno? Stali na dwu rogach tej samej, wspólnej im dotąd ulicy i dzieliło ich kilkadziesiąt metrów de Turenne. Tego samego chodnika. Kilkadziesiąt kroków.

A jeśli... Jeśli to, co zaszło, pierwsza w ich życiu i od razu aż taka kłótnia to nie jest jak śmierć Turenne?

Kilkadziesiąt kroków, kilkadziesiąt złych słów, dwie odwalone skrytki z dwu, jak się okazało, zrobaczywiałych serc, rozdzieliło pozornie syjamską parę. Czy na zawsze? Czy naprawdę zepchnęło ich na dwie przeciwne strony podziału wiatrów i wód? I nigdy rzeki ich nie popłyną do tego samego morza? Nie zestarczą się razem? Nie umrą razem? Jak dotąd pragnęli? Jak zamierzali? I co z małym?

Stali osobno, jak skamienieli, jak nadzy. Tak stoją nad frontem Notre Dame Adam i Ewa, porażeni wiadomością dobrego i złego. Już skazani, już deportowani. Nadzy i osobno. Zaś poniżej sromotnej nagości pierwszej pary kłębi się w tym samym kamieniu fryz Sądu Ostatecznego. Zbawieni na prawo, potępieni na lewo. Czy odwrotnie. Szatan kontroluje Anioła, czy aby sprawiedliwie odważa dusze. Szatan nie wiadomo kto i skąd, ale Anioł, wiadomo, Sprawiedliwości. Czyli Niesprawiedliwości.

Nie widzieli siebie z daleka, bo nie patrzyli ku sobie. Ale każde wiedziało, że drugie tam jest, na drugim rogu. Że się waha. Nad nimi, na samym grzbiecie gór, na linii podziału

wiatrów i wód, na czubkach palców stało i wahało się Przeznaczenie. Ich los.

Nagle, zamiast dalej się rozchodzić, jedno na lewo, drugie na prawo, zaczęli iść ku sobie. Pustą ulicą de Turenne. Bez ludzi, bez świadków. O pozamykanych na lato żelaznych żaluzjach sklepów. O kamiennych głowach nad bramą co drugiej kamienicy, które patrzyły, ale nie widziały.

Najpierw powoli, powłócząc nogami, wstydząc się i wybuchu, i kapitulacji, wstydząc się obnażenia, zdemaskowanych nawzajem skrytek, a potem coraz pręcej. Jeszcze jedno Pomiędzy zmniejszało się za każdym każdym z nich krokiem. Już zobaczyli się. Już się widzą. Już wiedzą, że się schodzą, z powrotem, że zejdą się w pół drogi. Sprawiedliwie. Zaraz znowu będą stanowić parę. Syjamską? Zrośniętą? Czy tylko sklejoną?

Nieważne. Ważny ślusarz. Ważny prezent ślubny. Ważny jutrzejszy wyjazd do Konikowej. Muszą razem. Bo jak?

To był wypadek. Kraksa. Zmęczenie i nerwy. To było „to wszystko”. Nie muszą mówić, za nic siebie nawzajem przeproszać. Nie ma za co. Znowu są razem, bez słów. Przyzwyczajenie? Konieczność? A jeśli nawet, czy to nie jest zawarte w miłości?

A skrytki w sercach? Były? Są? Jeżeli są, to już zamurowane szybko schnącym cementem. Pamiętać nabyć zapas szybko schnącego cementu...

Paryż, 1977 - 1979

# KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Październik 1980

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”) .....	256	20,00
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Etyka i poetyka — Szkice 1970-1978</i> (Seria „Bez Cenzury”) .....	272	65,00
Bartecki, J.: <i>Gospodarka na manowcach</i> (z uwagami Pawła Tenczyńskiego) .....	80	20,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje) .....	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”) ....	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”) .....	128	12,00
Bierezin, J.: <i>Wam</i> (Poezje) .....	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania .....	272	20,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje) .....	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i> .....	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i> .....	160	35,00
Czapski, J.: <i>Oko</i> .....	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje) .....	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973) .....	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i> .....	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i> .....	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i> .....	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i> .....	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956) ..	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961) ..	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966) ..	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „Opowiadania” ..	208	24,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „Teatr” .....	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „Varia” .....	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. XI <i>Wspomnienia Polskie</i> <i>Głós</i> („Dokumenty” Nr 47) .....	256	55,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i> .....	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i> .....	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”) .....	112	9,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i> .....	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i> .....	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i> .....	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjscie</i> .....	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1973-1979)</i> , t. II	368	75,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i> (Seria „Archiwum Rewo- lucji”) .....	256	45,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i> .....	120	10,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i> .....	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i> .....	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje) .....	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i> .....	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i> .....	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li ziźń na Marsie?</i> .....	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i> .....	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”) .....	80	25,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii</i> <i>(1940-1945)</i> .....	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i> .....	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmenty wspomnień</i> (Seria „Archiwum Re- wolucji”) .....	240	13,50
Kołąkowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. II .....	544	110,00
Kołąkowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. III .....	536	110,00
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i> ....	80	7,00
Kowalik, J.: <i>„Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury</i> ..	392	15,00
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie</i> <i>(1939-1962)</i> .....	80	9,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i> .....	280	80,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie roślinie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cen- zury”) .....	104	25,00
Krzyżanowski, Br.: <i>Wileński matecznik 1939-1944</i> (Seria „Bez Cenzury”) .....	264	65,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Do- kumenty”) .....	144	12,00

	Stron	F.
<i>Kultura masowa</i> — opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	145	6,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i> .....	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i> .....	190	9,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i> .....	168	24,00
Madej, B.: <i>Masć na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”) .....	208	30,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i> .....	256	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i> .....	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> .....	196	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> .....	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> .....	176	22,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i> .....	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i> .....	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i> .....	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i> .....	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i> .....	484	45,00
Orłoś, K.: <i>Cudowna melina</i> .....	180	20,00
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i> .....	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i> (przedmowa M. Brońskiego) .....	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i> .....	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i> .....	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka</i> w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”) .....	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i> .....	160	35,00
<i>Program Związku Komunistów Jugostawii</i> (Seria „Doku- menty”) .....	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”) .....	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”) .....	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) .....	288	18,50
Rekucki, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i> .....	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i> .....	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i> .....	200	55,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i> .....	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i> .....	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i> .....	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i> .....	384	55,00
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GULag, T. II (Cz. III i IV)</i> z przesyłką .....	606	72,50

	Stron	F.
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GULag</i> , T. III (Cz. V, VI i VII)	544	110,00
Staliński, T.: <i>Ludzie w akwarium</i> .....	148	25,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i> .....	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i> .....	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”) .....	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i> .....	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i> .....	360	55,00
Swinarski, A. M.: <i>Sasza i bogowie</i> .....	280	15,00
Tarniewski, M.: <i>Porcja wolności</i> (Seria „Dokumenty”) ....	144	35,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i> .....	216	13,50
Vincenz, St.: <i>Po stronie pamięci</i> .....	256	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej) .....	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism</i> , opr. i przekład Cz. Miłosz .....	384	15,00
<i>Węgrzy</i> , opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”) .....	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje) .....	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia) ....	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III .....	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i> .....	654	34,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i> .....	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”) .....	180	45,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i> .....	208	16,50
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”) .....	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”) .....	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 20, 40, 41, 46, 47 i 49 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 53 (sierpień 1980)		
Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i> .....		45,00
<i>(Zeszyt 50-ty ze względu na objętość kosztuje F. 50,00)</i>		

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

ACHÈVE D'IMPRIMER  
LE 24 OCTOBRE 1980  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>).

Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1980.

dar. Et. Mensch. City  
1894



